Warszawa-Berlin, lipiec-sierpień 1990 r. Rok IX, nr 7-8 (163-164)

Pogląd

Magazyn polityczny:
krytyczny
niezależny
pozapartyjny
Cena 5000zł

Polska – Sprzedmiot Europy

Pogląd

miesięczny magazyn polityczny
lipiec-sierpień 1990, nr 7-8 (163-164)

Edward Klimczak
Zjednoczenie — »pod przymusem« 2
Zbigniew Zbikowski
»Solidarność« kontra »Solidarność« 3
Maria Mamczur
Polska — śmietnik Europy 10
Katarzyna Dolińska
Chora żywność 14
Adam Kowalak
Zagrożenie ołowiem 16
»Nie beatyfikujemy narodu« 17
rozmowa z Wiesławem Chrzanowskim, prezesem Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego
Zbigniew Mikołajko
Szkolnictwo — powrót religii? 20
Anna Stelmasiak
Bezrobocie w Polsce 22
Powrót do Seulu 25
rozmowa z Jędrzejem Krakowskim, ambasadorem RP w Korei Płd.
Roman Smigielski
»Pieriestrojka«, czyli rozkład 26
Ewa Ratulanka
Pałac Kultury i Nauki 28
Cezary Stolarczyk
Amerykańska pomoc dla zagranicy 32
Austria dla Mitteleuropy 34
rozmowa z min. Erhardem Buskiem
Witold Pronobis
Mołdawia: Czy Besarabia pozostanie w granicach ZSSR? 35
Ewa Szawarska
Mongolia: Powrót Czyngis-chana 38
Leszek Kaleta
RPA: Biało-czarny konflikt trwa 40
»Pieriestrojka« na czarnym kontynencie 44
Jemen: Zjednoczenie 45
Andrzej Lewandowski
Australia: Kraj ładnej pogody i gospodarczej beztroski 46
Antoni Kuś
Wschodnioniemiecki wywiad 48
Aureliusz M. Pędziwol
»Havel na Wawel!« 50
Maciej Rybiński
Krajobraz Polski 53
Roman Lewandowski
Polacy w Paryżu 55
Jacek Korczak-Mleczko
Sport i polityka 54
Wacław Panek
Kariery muzyczne 60
Niewiadoma przyszłość 62
rozmowa z Andrzejem Krzeczunowiczem, dyrektorem Biblioteki Polskiej w Paryżu
Marta Waliszewska
Z biblioteczki reemigrantki 63
Polacy w świecie 64

Numer zamknięto dn. 08.07.90 r.
Oddano do druku dn. 10.07.90 r.
Projekt okładki: wit

Interlinie

POLSKA JEST WYSYPISKIEM EUROPY STR. 10

fot. Juliusz Sokołowski

Mówi się już o tym coraz głośniej na Zachodzie — wśród ekologów, niż u nas w kraju. Stan niepewności prawnej jak i brak właściwej kontroli na granicach RP (np. dozymetrycznej) powoduje, że pazerni geszefciarze mogą — za sowitą opłatą — sprowadzać do Polski odpady przemysłowe, w tym nawet radioaktywnie skażone, trując środowisko naturalne i nieświadome społeczeństwo. Bez właściwej aparatury i potrzebnej tu fachowości tzw. recycling, czyli wtórne odzyskiwanie surowców z odpadów jest w technologicznie zacofanej Polsce mitem. Co zrobić z tysiącami rdzewiejących beczek z trucizną? — pyta Maria Mamczur w reportażu ze śmietników.

SZANSE POLSKIEJ CHADECJI STR. 17

Wiesław Chrzanowski fot. Jarosław M. Goliszewski

Jeśli nawet w rezultacie "solidarnościowych" przepychanek, bardziej personalnych niż programowych, dojdzie do stworzenia masowych partii politycznych, to nie wypełnią one całkowicie powstającego spektrum politycznego. Jest więc miejsce dla innych, np. dla chadecji. W wielopartyjnych systemach europejskich partie chadeckie odgrywają często czołową rolę polityczną, jak np. w Niemczech — CDU/CSU czy we Włoszech — Democrazia Cristiana. Przypuszczać by należało, że i w Polsce, kraju rzekomo całkowicie katolickim, chadecja powinna być siłą przewodnią. Tymczasem Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, mimo błogosławieństwa Prymasa i aktywnego poparcia części kleru, liczy tylko ok. 3000 członków. Jakie szanse ma w Polsce chadecja? — pytają redaktorzy "Poglądu" Z. Zbikowski i A. Kowalski przewodniczącego ZCh-N-u, prof. W. Chrzanowskiego.

Interlinie

PAŁAC KULTURY I NAUKI IM. STALINA STR. 28

Zbudowany został w stylu określanym przez Rosjan jako "stalinbarokko", w podobieństwie do siedmiu innych "wysotnych zdanij" w Moskwie, przede wszystkim zaś gmachu Uniwersytetu im. Łomonosowa. Miał być symbolem braterstwa "narodów ZSSR z narodem polskim". Stał się symbolem Warszawy – sowieckim symbolem okresu stalinowskiego. Początkowo nazywał się też imieniem Wodza – Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina. Dziś dzieli warszawian i Polaków na dwa obozy: tych, którzy by go własnoręcznie rozebrali na kawałki i tych, którzy mają do niego sentyment. John Kolwaczyk z USA chciałby mieć doń tylko interes – pisze Ewa Ratulanka w artykule "Szczyt wszystkiego".

fot. Robert Łukaszewicz

BEZROBOCIE W POLSCE STR. 22

Znany filozof katolicki ks. Tischner powiedział kiedyś: "Polska praca jest chora". Czy bezrobocie może ją uzdrowić? Jeżeli tak, to terapia ta jest okrutna i wielu pacjentów może jej nie wytrzymać. Prawie pół miliona polskich bezrobotnych, to w porównaniu z 1,8 mln w RFN (na 62 mln ludności) mniej niż połowa niemieckiego bezrobocia. Czy w takim razie wszystko jest w porządku, czy wg modelu niemieckiego, możemy pozwolić sobie na nawet większe bezrobocie? Z pewnością nie, bo inna jest w Polsce wydajność tych, którzy pracują – na utrzymanie dla bezrobotnych – inne są zasiłki dla pozbawionych pracy (w RFN 68% ostatniej pensji netto, bezdzietni – 63% na przeciąg dwu lat).

fot. Kacper

Anna Stelmasiak przedstawia nasze bezrobocie na str. 22.

Jednym zdaniem

■ MOSKWA. Magazyn ilustrowany L'EVENEMENT DU JEUDI (3-9.05.) podaje za KOMSOMOLSKĄ PRAWDĄ, że w Turkmenii 55% dzieci umiera przed ukończeniem pierwszego roku życia – głównie z głodu lub niedożywienia.

■ WARSZAWA. Jak pisze tygodnik ilustrowany LE POINT (20.05.) przedsiębiorcy niemieccy, którzy w swej ofensywie handlowej i przemysłowej w krajach Europy Wschodniej natrafiają na przeszkody spowodowane antyniemieckimi nastrojami – przy tworzeniu joint ventures w Polsce i Czechosłowacji zapraszają do współpracy firmy włoskie lub francuskie.

■ WIEDEŃ. Kanclerz Austrii Franz Vranitzky wysłał do premiera Czechosłowacji Mariana Čalfy list, w którym wyraża "głębokie zaniepokojenie Austriaków" tym, że Czechosłowacja planuje uruchomienie do 2000 roku ośmiu reaktorów atomowych. W Austrii całkowicie już zrezygnowano z tego źródła energii. (LIBERATION, 23.05.)

■ BERLIN. Erich Honecker "przebywa wśród swoich" – został przeniesiony do wojskowego szpitala w Poczdamie, nadal zarządzanego przez Armię Czerwoną – podaje paryski tygodnik LE POINT (13.05.)

■ BERLIN. Tygodnik LE POINT (27.05.) donosi, że szpieg Günter Guillaume, który spowodował w 1974 r. upadek kanclerza Willy Brandta, przebywa cały czas w NRD i otrzymuje po 36 latach służby wynagrodzenie w wysokości 2,5 tys. marek.

■ BUKARESZT. Paul Michai Haiducu – były agent Securitate – donosi tygodnik LE POINT (27.05.) – który ponosi odpowiedzialność za egzekucję pisarzy Paula Gorny i Virgila Tanase, wydalony z Francji, był widziany na bukareszteńskim lotnisku w towarzystwie grupy oficerów.

■ BUDAPESZT. Centrowy dziennik LE MONDE (24.05.) przytacza wypowiedź premiera Węgier Jozsefa Antalla: "Przynależność Węgier do Układu Warszawskiego jest sprzeczna z życzeniem narodu". Antall opowiedział się też za rozpoczęciem rozmów między pozostałymi krajami członkowskimi układu, "który jest już niepotrzebny".

■ MOSKWA. LE MONDE (2-3.06.) informuje, że mimo ograniczeń w światowym handlu bronią, nadal pierwsze miejsce na liście eksporterów zajmuje Związek Sowiecki, dzięki sprzedaży sięgającej 11,8 mld dolarów rocznie.

■ MOSKWA. Podczas konferencji prasowej kończącej pobyt Margaret Thatcher w ZSSR Michaił Gorbaczow, wypowiadając się na temat planowanej przebudowy gospodarki sowieckiej,

UWAGA! Następne wydanie »Poglądu« ukaże się we wrześniu.

Jednym zdaniem

z wielką sympatią mówił o Miltonie Friedmanie, z którym się spotkał w USA. "To tak jakby prezydent Iranu Rafsandżani cytował Salmana Rushdiego" – komentuje THE GUARDIAN z 9.06.

■ BONN. Jak oświadczył rzecznik zachodnioniemieckiego kontrwywiadu około 6000 byłych agentów Stasi mieszka w RFN. Prokurator federalny wszczął postępowanie przeciw 200 byłym agentom, ale dotychczas jedynie 12 zostało aresztowanych. (THE GUARDIAN, 6.06.)

■ WARSZAWA. CIA opublikowała dane dotyczące przewidywanego poziomu bezrobocia we Wschodniej Europie. W Polsce, gdzie dochód na jednego mieszkańca wynosi 4565 dolarów, bez pracy znajdzie się przypuszczalnie 1,5 mln osób, czyli 9% siły roboczej. (NEWSWEEK, 28.05.)

■ PRAGA. Francuski L'EVENEMENT DU JEUDI (7-13.06.) informuje, że Franz Kafka wraca do czechosłowackich księgarń. Jego dzieła wprawdzie nie były zakazane w ojczyźnie, ale prawie ich nie wydawano: w 1962 r. ukazała się "Ameryka" (11 tys. egzemplarzy), w 1963 "Metamorfoza" (15 tys. egz.), w 1969 "Zamek" (15 tys. egz.)

■ MOSKWA. Tygodnik L'EVENEMENT DU JEUDI (31.05-6.06.) komentując ogłoszenie niepodległości przez Republikę Rosyjską: wszystko dzieje się tak, jakby Związek Sowiecki znajdował się w okresie października 1917 r. z Gorbaczowem w roli Kiereńskiego. Problem polega na tym, że Jelcyn jest zarazem Leninem i Korniłowem.

■ SOFIA. Bułgarzy postanowili usunąć ciało Georgi Dymitrowa, "zwykłego obywatela", z sofijskiego mauzoleum. (LE POINT, 3.06.)

■ WILNO. W tym samym numerze tygodniowy magazyn polityczny LE POINT informuje, że po 50 latach Litwa, Łotwa i Estonia wznowiły kontakty ze "Spink and Son" – brytyjskim przedsiębiorstwem produkującym medale dla dworu angielskiego, a kiedyś także dla krajów bałtyckich. Zamówiono przedwojenne odznaczenia cywilne i wojskowe, a także nowe – dla upamiętnienia walki z sowieckim okupantem.

■ WARSZAWA. LE POINT w numerze z 3.06. informuje, że szef zespołu doradców premiera Mazowieckiego, Waldemar Kuczyński, "pomniejszył" rolę prof. Jeffrey'a Sachsa, kreowanego na przywódcę duchowego polskiej reformy i określił go jako "pomocniczego" konsultanta rządu.

■ BUDAPESZT. Tygodnik L'EVENEMENT DU JEUDI (24-30.V.) powołując się na węgierski

Uwaga! Bieżące i archiwalne numery »Poglądu« do nabycia w redakcji: ul. Hoża 37 m 31, 00-681 Warszawa tel. 22/218881

Niemcy

Edward Klimczak

Zjednoczenie — »pod przymusem«

Wymiana bezwartościowej marki NRD i zastąpienie jej najtwardszą walutą świata – DM, to praktycznie likwidacja wschodnioniemieckiego państwa, które wchodząc w unię monetarną z RFN przekazało swoją suwerenność finansową, a zatem i polityczną Bonn. W tym momencie proces zjednoczeniowy Niemiec znalazł się – jak w szachach – "pod przymusem", tj. jeden z graczy wykonał taki ruch (szach?), którym zmusił swojego partnera do wykonywania ruchów z góry przez niego przewidzianych, aż do otrzymania mata. O ile atakujący jednak źle obliczył rozgrywkę, to sam może wpaść w zastawioną przez siebie pułapkę i tym samym pozbawić się zwycięstwa. Niemiecko-niemiecka pułapka polegać może na tym, że Republika Federalna nie wytrzyma gospodarczego obciążenia, jakie niesie ze sobą finansowanie kapitalistycznej "pierestrojki" 16 milionów "braci i sióstr" za Łabą – i jeszcze tysiąc kilometrów dalej na Wschodzie. Pierwszą oznaką gospodarczej nieefektywności może być inflacja, której marka zachodnia jak dotąd właściwie nie zna. Inflację wywołują podwyżki cen albo znaczne podwyżki płac, za którymi zwykle idą – w przypadku produkcyjnej niewydolności gospodarki – kolejne podwyżki cen. Tak zaczyna się spirala inflacji.

W dniu 1 lipca na pierwszy ogień poszło 25 mld DM, które zastąpiły wschodnie banknoty z podobizmami Marksa, Engelsa, Clary Zetkin i innych czołowych marksistów-leninistów. Dokonano likwidacji socjalistycznego pieniądza i – symbolicznie – likwidacji socjalistycznej ideologii. Te 25 mld to pierwszy zastrzyk, gdyż miesięcznie potrzeba w NRD na pensje i wypłaty ok. 6 mld DM. Łatwo obliczyć więc, że zjednoczenie już w tym roku kosztować będzie RFN 60 mld DM, nie licząc oczywiście rządowych i prywatnych inwestycji, których wielkość nie jest jeszcze znana. Na inflację marki zachodniej "pracują" strajkujący robotnicy w NRD, którzy otrzymawszy pierwsze wypłaty w twardej walucie stwierdzili, że nie są w stanie sprostać twardym cenom produktów z RFN. Żądają znacznych podwyżek zarobków. Na inflację pracują ich przedsiębiorstwa ogłaszające jedno po drugim upadłość, gdyż nikt nie chce kupować ich niskojakościowych produktów. Na inflację pracuje również NRD-owska administracja, która nie spieszy się z wydawaniem zezwoleń zachodnioniemieckim firmom na podjęcie działalności gospodarczej. Inflacjogennie muszą działać i podwyżki cen w NRD, gdzie niektóre produkty jak i usługi są nawet droższe niż w RFN (np. założenie telefonu w RFN = DM 65,-, a w NRD = DM 150,-).

W NRD panuje tymczasem chaos; nie działają już tu własne mechanizmy władzy, chyba że siłą inercji. Niebezpieczne jest to – jak podał hamburski magazyn polityczny *Der Spiegel* z dn. 25.06. – że z inwestowaniem w NRD zwlekają poważni przedsiębiorcy przemysłowi, a więc z sektora produkcji. W awangardzie są banki, firmy ubezpieczeniowe oraz handel. Pionierami zachodniej przedsiębiorczości są handlarze narkotyków i różnej maści gangi otwierające domy publiczne (Eros-Center), nocne lokale, pisma pornograficzne, peep-shows (striptease) lub hale gier hazardowych. Wszystko to "za zgodą decydentów (starych-nowych?) od polityki i administracji".

Oba rządy niemieckie czują się więc zmuszone do szybkiego działania, aby skrócić okres chaosu do minimum. Dlatego też projekt kanclerza Kohla sfuzjowania administracji obu państw wspólnymi wyborami do Bundestagu jeszcze w tym roku, został znakceptowany nawet przez opozycję dotychczas krytykującą proces zjednoczeniowy jako zbyt szybki. Na drodze do ostatecznego zjednoczenie nie ma więc żadnych wewnątrzpolitycznych przeszkód, a za usunięcie przeszkód zewnętrznych rząd Kohla gotów jest słono zapłacić. Pierwsze 5 mld DM poszło już do Moskwy. Pójdą i następne. Na pytanie, czy mnożona w mennicy twarda marka może zmiękнąć – będzie można udzielić odpowiedzi chyba jeszcze w tym roku.

Berlin, 8.07.1990 Edward Klimczak

»Solidarność« kontra »Solidarność«

Zbigniew Żbikowski

Ku układowi dwubiegunowemu

Teoria krążenia elit utrzymuje, że ludzie odchodzą, a mechanizmy sprawowania władzy pozostają. Nowa ekipa wpasowuje się w stare struktury i w ten sposób następuje samopowielanie układu. W Polsce, aspirującej do demokracji, zjawisko to już staje się zauważalne. Ludzie nowej władzy z miesiąca na miesiąc coraz bardziej upodobniają się w zachowaniach i wypowiedziach do polityków minionego ustroju. Politycy spoza ukształtowanego po "okrągłym stole" układu, uzyskują w ten sposób potężną broń w walce o władzę. Posługując się niezadowoleniem mas jako orężem można wygrać każdą niemal bitwę.

Wie o tym Lech Wałęsa, wiedzą jego sojusznicy, a także konkurenci w wyścigu do urzędów i stanowisk. Latem roku 1990 Polska pod pewnymi względami przypomina ten sam kraj sprzed lat dziesięciu, pod innymi będąc zupełnie inna.

Podobnie jak latem 1980 r. narasta niezadowolenie społeczne wynikające ze stale obniżającego się poziomu życia. Wówczas jednak ekipa Gierka tłumaczyła "przejściowe trudności" tym, że "za szybko poszliśmy do przodu". Natomiast przeciwnicy rządu Mazowieckiego z obozu Wałęsy atakują jego działalność za coś odwrotnego – że za wolno się posuwamy w reformach, stąd nasze kłopoty. Dziesięć lat temu komuniści oskarżali powstającą "Solidarność" o to, że chce władzy, co miało być zamachem na najwyższą świętość zawarowaną konstytucyjnie, przeciwnicy ustroju zaś odpowiadali, że żadnej władzy nie chcą. Dzisiaj oponenci obecnego gabinetu chcą władzy jak najwyraźniej, a rząd zapewnia, że tak wcale nie jest i o żadnym konflikcie Mazowieckiego z Wałęsą oraz skupionymi wokół niego doradcami mowy być nie może. Mimo że niedawni partnerzy z jednej płyty styropianowej, na której spali podczas strajku w stoczni, czyli szef "Solidarności" i szef rządu, przestali się sobie kłaniać – jak utrzymuje warszawska kawiarnia – a Zbigniew Bujak zaczął mówić do swoich niedawnych kolegów, teraz zaś przeciwników, na "pan".

Pęknięcie wewnątrz "Solidarności" uważane przez wielu zwolenników, czy wręcz miłośników ruchu za coś gorszącego, nie powinno budzić aż takich emocji. Współczesne demokracje europejskie uwielbiają przecież układy dwubiegunowe – tak jest w dowolnym kraju Europejskiej Wspólnoty – i Polska najwyraźniej ku takiemu układowi zmierza. W sytuacji gdy lewica postkomunistyczna nie przedstawia żadnej realnej siły politycznej, a odradzająca się tradycyjna prawica jest w stanie odegrać najwyżej rolę języczka u wagi, dynamizująca zmiany i całe życie polityczne polaryzacja musiała powstać wewnątrz dominującego obozu. Anarchia, chaos, destabilizacja, spadek autorytetu na arenie międzynarodowej, brak wiarygodności u partnerów – wszystkie te zwroty przeciwników starcia dwóch skrzydeł już były przerabiane, właśnie dziesięć lat temu. Powiada się, że różnice pomiędzy solidarnościową centroprawicą i centrolewicą są właściwie minimalne i mają głównie charakter personalny. Być może.. W końcu różnice między demokratami a republikanami w Stanach Zjednoczonych nie są aż tak duże, ale dzięki temu, że istnieją, politycy amerykańscy będący akurat przy władzy nie mogą spokojnie zajmować się swymi interesami pod osłoną tworzonego przez siebie prawa. Muszą liczyć się ze swymi przeciwnikami.

Bez prawdziwych, godnych siebie pod względem siły przeciwników, sprawowanie władzy przemienia się w bezterminowe "piastowanie urzędów". Tymczasem w demokratycznym kraju każdy powinien mieć szansę skompromitowania się jako prominent. Działacze Porozumienia Centrum chcą tego spróbować już jesienią. Dopóki nie planują dyktatury, nie należy im z chęci skorzystania z tej szansy czynić zarzutu.

Warszawa, 30.06.1990 r. Zbigniew Żbikowski

Jednym zdaniem

dziennik MAGYAR NEMZET związany z kołami rządowymi informuje, że rząd węgierski najprawdopodobniej wystąpi do Związku Sowieckiego o odszkodowanie za dewastację parku narodowego Bugac, gdzie Armia Czerwona prowadziła ćwiczenia, oraz za zrujnowane mieszkania zajmowane przez wojskowych.

■ BONN. Statystycznie jedno gospodarstwo domowe w RFN zadłużone jest na sumę 9.021 DM (łącznie 247,2 mld DM); jednocześnie bardzo oszczędni Niemcy mają na kontach 2,712 biliona DM. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 29.05.)

■ BONN. RFN jest największym zachodnim partnerem Polski; w 1989 roku obrót handlowy między oboma krajami wzrósł o prawie 39% do rekordowej sumy ponad 8 mld DM. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 29.05.)

■ GENEWA. Jak podaje Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) rocznie na skutek palenia papierosów umiera 2,7 mln ludzi; w najbliższej przyszłości liczba ta może powiększyć się do 10 mln rocznie. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 31.05.)

■ PEKIN. Jak podaje chińska agencja prasowa Nowe Chiny, regionalny parlament w Tybecie opracowuje nową ustawę zaostrzającą kontrolę urodzin w celu "podniesienia jakości" ludności tybetańskiej. (TAGESSPIEGEL, 31.05.)

■ BONN. W 1988 roku kraje RWPG wyeksportowały statystycznie na jednego mieszkańca towarów na sumę 900 dol.; dla porównania kraje EWG 3.075 dol. (TAGESSPIEGEL, 31.05.)

■ BONN. Rocznie znika z powierzchni Ziemi 22,6 mln ha lasów tropikalnych Amazonii, czyli mniej więcej tyle, ile wynosi powierzchnia RFN (248 tys. km²). (TAGESSPIEGEL, 31.05.)

■ BONN. Rząd Helmuta Kohla wyda w br. 25 mln DM na prozjednoczeniową reklamę dla mieszkańców NRD. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 1.06.)

■ WARSZAWA. W dn. 24.05. pierwsza partia Żydów rosyjskich skorzystała z warszawskiego lotniska na Okęciu jako stacji przejściowej udając się samolotem izraelskich linii lotniczych EL AL do stolicy Izraela Tel Awiwu. (TAGESSPIEGEL, 1.06.)

■ BERLIN. Zachodnioberliński, lewicowy dziennik TAGESZEITUNG (1.06.) ubolewa nad decyzją wschodnioberlińskiej Izby Ludowej o likwidacji dotychczasowego godła państwowego – młota i cyrkla.

■ BONN. Jak podaje ewangelicki tygodnik BERLINER SONNTAGSBLATT (3.06.) rocznie wyjeżdża na urlopy za granicę 33 miliony obywateli RFN.

■ WASZYNGTON. USA i ZSSR podpisały umowę zbożową; przez 5 lat, począwszy od 1 stycznia 1991 roku, Stany Zjednoczone będą dostarczać Związkowi Sowieckiemu od 10 do 14 mln ton zboża. (FAZ. 5.06.) ■

SZKOCJA: POTWÓR Z LOCH NESS POWAŻNYM PRACODAWCĄ

Nareszcie rozwiązano zagadkę tajemniczego potwora (zdrobniale "Nessi"), który regularnie na rozpoczęcie sezonu turystycznego wypływa na powierzchnię jeziora w szkockiej miejscowości Loch Ness. Jak podaje londyński TIMES, obliczono, iż "firma" "Nessi" ma rocznie obroty w wysokości 25 mln funtów. Pieniądze te wydaje rok rocznie ok. 500.000 turystów, którzy przyjeżdżają do Szkocji, by zobaczyć potwora. Eksperci d/s gospodarki zaliczają firmę "Nessi" do jednej z największych w Szkocji, zatrudnia ona bowiem około 2.500 osób. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 29.05.)

KTO NAJDŁUŻEJ STRAJKUJE?

Bawarski dziennik SÜDDEUTSCHE ZEITUNG (29.05.) zapytując, kto najwięcej na świecie strajkuje – podaje kilka danych. W statystyce przewodzi Hiszpania, w której pracownicy różnych branż strajkują łącznie 733 dni w roku, następnie Grecja (612), Włochy (465), Finlandia (449), Irlandia (373), Wielka Brytania (362), Dania (220), Portugalia (123), Norwegia (120), USA (94), Szwecja (87), Francja (54), RFN (45), Holandia (13), Japonia (7), Austria (2). Listę zamyka Szwajcaria z 0,3 "strajkowego" dnia. W statystyce nie uwzględniono krajów Europy Wschodniej.

PIERWSZY PRYWATNY BANK W POLSCE

Jak donosi dziennik SÜDDEUTSCHE ZEITUNG (8.06.) Narodowy Bank Polski wydał licencję na otworzenie pierwszego prywatnego banku pod nazwą: "Bank Leonard SA". Bank został założony przez dziesięć prywatnych osób z kapitałem założycielskim w wysokości 10 miliardów zł. Głównym akcjonariuszem jest właściciel firmy odzieżowej "Inter-Kim", Leonard Prasniewski.

NIEMCY W WYBORACH KOMUNALNYCH W POLSCE

Prawie połowa z 66 miast i gmin w województwie opolskim będzie w przyszłości kierowana przez obywateli polskich przyznających się do narodowości niemieckiej – informuje zachodnioniemiecki konserwatywny dziennik FRANKFURTER ALLGEMEINE ZEITUNG (6.06.). Jak pisze dziennik – przedstawiciele niemieckiej mniejszości narodowej w 25 miastach i gminach w województwie opolskim otrzymali więcej jak 2/3 głosów. W niektórych gminach czy miastach otrzymali oni nawet ponad 90%, jak np. w Tarnowie Opolskim, Izbicku, Turawie, Leśnicy czy Pawłowiczkach. FAZ donosi, iż w

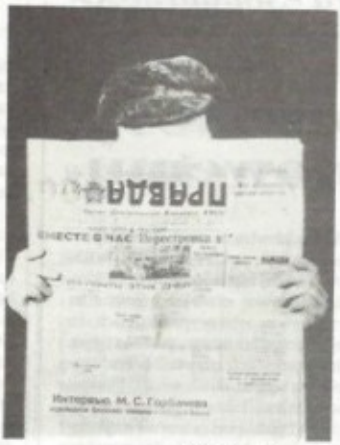

fot. Waldemar Kremser

pierwszych wolnych komunalnych wyborach w Polsce brały udział także inne mniejszości narodowe. I tak, we wschodnich rejonach Polski skorzystali z tego Litwini, Białorusini i Ukraińcy.

W województwie opolskim niemiecka mniejszość narodowa wystawiła w 36 gminach około 500 kandydatów, z czego 360 odniosło sukces. Większość kandydatów niemieckiej mniejszości narodowej kandydowała z własnych list, część jednak w ramach miejscowych Komitetów Obywatelskich "Solidarności" – donosi dziennik SÜDDEUTSCHE ZEITUNG z dn. 6.06. Gazeta podaje, że w Opolu, gdzie mniejszość niemiecka "prawie w ogóle nie jest reprezentowana", nie wystawiono żadnego kandydata-Niemca.

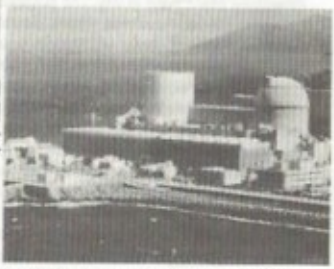

Elektrownie atomowe (od prawej) we Francji, Republice Federalnej Niemiec i Japonii.

MOŁDAWIA POPIERA LITWĘ

Mołdawska Republika uznała formalnie deklarację niezależności Republiki Litewskiej z marca br. Jak donosi sowiecka agencja prasowa TASS, parlament Mołdawii – Najwyższy Sowiet – wypowiedział się za podjęciem dyplomatycznych, politycznych, kulturalnych i gospodarczych stosunków z Litwą i zaproponował wymianę stałych przedstawicieli. Jak pisze SÜDDEUTSCHE ZEITUNG (2-3-4.06.) – krok podjęty przez mołdawski parlament nie był zaskoczeniem, ponieważ w republice zamieszkałej w większości przez Rumunów istnieje silny ruch na rzecz odzyskania niepodległości. Gazeta przypomina, że Mołdawia, podobnie jak kraje bałtyckie, w czasie II wojny światowej została zaanektowana przez ZSSR.

CO CZWARTY WĘGIER POWINIEN ZOSTAĆ AKCJONARIUSZEM

Nowy minister finansów Węgier Ferenz Rabar twierdzi, iż Węgry czynią pierwszy krok w kierunku prywatyzacji przemysłu. Od 100 do 150 państwowych firm o szacowanej wartości 2,2 do 3,2 mld DM powinno w ciągu najbliższych 18 miesięcy ulec prywatyzacji. Co czwarty z 10 mln Węgrów będzie mógł, co jest życzeniem rządu węgierskiego, zostać akcjonariuszem – donosi zachodnioberliński TAGESSPIEGEL z dn. 3.06.

ENERGIA ATOMOWA NA ŚWIECIE

25 krajów na świecie wytwarza energię atomową w celach pokojowych – pisze TAGESSPIEGEL z 2.06. Udział energii atomowej w globalnej produkcji prądu jest różny, zależy to przede wszystkim od poziomu techniki atomowej, posiadania złóż energonośnych typu gaz, węgiel, ropa naftowa, czy

też ilości posiadanych elektrowni wodnych. Oto lista rankingowa obrazująca procentową ilość "atomowego" prądu w energetyce danego kraju: Francja (75%), Belgia (61%), Węgry i Korea Płd. (po 50%), Szwecja (45%), Szwajcaria (42%), Hiszpania (38%), Finlandia, Tajwan (po 35%), RFN (34%), Bułgaria (33%), Czechosłowacja, Japonia (po 28%), Wlk. Brytania (22%), Stany Zjednoczone (19%), Kanada (16%), Związek Sowiecki (12%), NRD (11%), Jugosławia (5,9%), Holandia (5,4%), Indie (1,6%), Brazylia (0,7%). Listę zamyka Pakistan z 0,2%.

WIĘŹNIOWIE POLITYCZNI W ZSSR

Mimo "dramatycznych zmian" w Związku Sowieckim rząd tego kraju musi spełnić "pewne warunki", by w przyszłym roku mogła odbyć się w Moskwie trzecia konferencja praw człowieka KBWE – powiedział sekretarz generalny Międzynarodowej Federacji Helsińskiej (International Helsinki-Federation) Nagler, po powrocie ze Związku Sowieckiego. Wizyta ta miała służyć zbadaniu na miejscu przestrzegania praw człowieka. Sekretarz generalny IHF wymienił cztery problemy. Po pierwsze – jeszcze nie wszyscy więźniowie polityczni zostali zwolnieni. Nagler przekazał w Moskwie listę ze 170 nazwiskami więźniów politycznych, m. in.z Michałem Kazakowem, który po złożeniu podania o emigrację w Leningradzie od 15 lat przebywa w łagrze.

Mimo wcześniej zaplanowanej wizyty w sławetnym Instytucie Psychiatrii im. Sorbskiego, w którym osadzani byli (są? – przyp. Pogląd) dysydenci sowieccy, Nagler nie odwiedził tego "instytutu". Odmowa Sowietów została umotywowana prostym argumentem – przebywają tu tylko ludzie chorzy.

Trzecia sprawa – to prześladowanie osób, które w przeszłości złożyły podania o emigrację; dotyczy to przede wszystkim Żydów sowieckich, którzy od momentu złożenia podania o wyjazd są nieustanie szykanowani i w dalszym ciągu mają trudności z opuszczeniem kraju.

Czwarty problem – to trudności z otrzymaniem sowieckiej wizy dla osób działających w zagranicznych organizacjach obrony praw człowieka, jak to miało miejsce nawet w przypadku delegacji IHF. Dopiero po kilku interwencjach w sowieckiem MSZ-cie wizę wydano. Delegacja IHF otrzymała ją jednak dopiero dwie godziny przed odlotem do Związku Sowieckiego.

Sekretarz generalny podkreślił, że rozmowy z obrońcami praw człowieka z różnych republik sowieckich odbywały się bez żadnych ograniczeń, ludzie ci mogli swobodnie przyjechać na spotkanie do Moskwy. W czasie rozmów podkreślono, iż obecnie w ZSSR do najważniejszych problemów praw człowieka zaliczyć trzeba etniczne i narodowe nienawiści czy zawiści.

Przebywający na Zachodzie, były sowiecki obrońca praw człowieka i dysydent Jurij Orłow, honorowy prezydent IHF, jest zdania, że w rozwiązaniu konfliktów narodowościowych w ZSSR jest w stanie pomóc jakiś znany polityk o nieskazitelnym morale i prestiżu. Skłócone narody sowieckie byłyby w stanie wysłuchać rad tylko takiej osoby. W raporcie podkreśla się dalej, iż prawo sowieckie w dalszym ciągu ogranicza podstawowe prawa obywatelskie. Kościół bardzo często uzależniony jest od stalinowskich autorytetów w danych regionach, a warunki w więzieniach sowieckich nie odpowiadają nawet minimalnemu standardowi więzień Stanów Zjednoczonych oraz że swoboda poruszania się wewnątrz Związku Sowieckiego dla Tatarów Krymskich, Niemców, Meszetów i Kurdów jest nadal ograniczona. (FAZ, 7.6.)

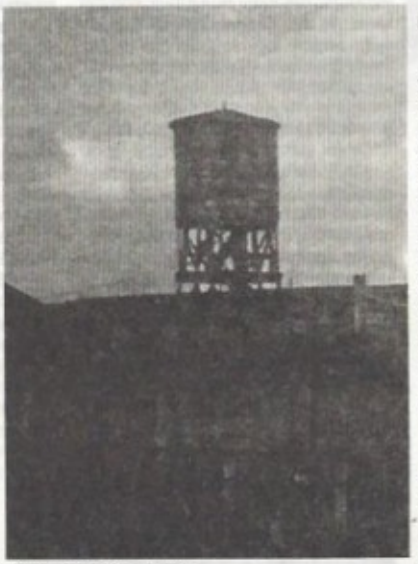

Jeden z sowieckim gułagów.

NOWOŚCI Z SOWIECKIEJ HISTORII

Jak donosi FAZ (9.06.) skazywani na śmierć przez Stalina i Berię przeciwnicy polityczni wykorzystywani byli do wypróbowywania nowych metod zabijania, w tym gazów. Zachodnioniemiecki dziennik powołując się na sowieckie, anglojęzyczne wydanie tygodnika MOSKOWSKIJE NOWOSTI (MOSCOW NEWS) podaje szczegóły aresztowania byłego szefa KGB (do 1953), w którym brał m.in. udział późniejszy szef partii i państwa Leonid Breżniew. Beria został jeszcze w grudniu 1953 roku skazany na śmierć.

Szef KGB Beria i jego podwładni byli odpowiedzialni za eksperymenty na ludziach. Wykonywano więc wyroki śmierci różnymi metodami, w tym przy pomocy nowych gazów bojowych. Beria dysponował odpowiednim laboratorium, w którym "naukowcy" eksperymentując na skazańcach zabijali swoje ofiary zatrutym jedzeniem, zastrzykami czy odpowiednio spreparowanymi laskami z zatrutymi końcówkami.

PIĘĆ NIESZCZĘŚĆ WAŁĘSY

Lewicowy francuski dziennik LIBERATION (8.06.) zamieszcza artykuł pt. "Do czego dąży Wałęsa", wg którego Wałęsa jest typem polityka, czerpiącego całą swoją siłę z entuzjazmu mas. Kiedy entuzjazm słabnie, charyzma nagle jest postrzegana jako nieudolne poszukiwanie popularności. Superpesymiści mówią, że nieszczęścia chodzą parami. Pierwsze: Wałęsa postanowił zostać prezydentem. Drugie: nie będzie dobrym prezydentem, na co daje dowody każdego dnia. Trzecie: nie wie o tym. Czwarte: ma złych doradców, którzy dowolnie nim manipulują. Piąte: jego doradcy zdecydowali się osiągnąć swój cel.

KTO TWORZY TEN REŻIM?

LE MONDE z dn. 10-11.06. zamieszcza wywiad Gabriela Meretika, autora bestselleru "Noc generała", z Wałęsą, który mówi: "Nie ma różnic między mną a Adamem Michnikiem, jest tylko inne postrzeganie sytuacji w Polsce, budowy jej przyszłości. To, co się dzisiaj dzieje, przypomina w pewnym stopniu to, co się działo, kiedy Lenin i Stalin tworzyli swój reżim. Zostaliśmy sami na placu boju, rząd nie ma opozycji, ale nie ma i bazy. Niektórzy usiłują za wszelką cenę ocalić jedność. Jedność jest potrzebna w walce, jedność w codziennej pracy jest niemożliwa. Obecnie mam wrażenie, że próbujemy, jak kiedyś partia, zachować jeden blok. To jest niedopuszczalne, by Henryk Wujec był jednocześnie w komitetach obywatelskich i grupie parlamentarzystów.

Co zrobiliśmy? Elitę za wszelką cenę, ze mną na czele, jak gdyby inni się nie liczyli. Jeśli będziemy kontynuowali postawę "zostawcie nam działanie", to może być dla Pol-

ski bardzo niebezpieczne. "Solidarność" dziś przypomina Front Jedności Narodu. Tak ładnie się biliśmy, żyliśmy w tak piękny sposób. Po co niszczyć ten piękny sztandar? Nie zostawiajmy go *Gazecie Wyborczej*, która staje się brudną ścierką i będzie nią prędzej czy później, kiedy Michnik odejdzie.

Marzę o tym, by pójść na ryby. Jestem centrystą, trochę na prawo. Ponieważ jestem z tego ludu... chrześcijaninem. Nie mam żadnego doświadczenia partyjnego. Mógłbym zrobić partię z "Solidarności", największą. Mogę zresztą zawsze to zrobić. I wszyscy inni byliby tym niemile zdziwieni. Wiele razy mówiono o mnie, że zrobiłem coś wielkiego. Otóż ja nie chcę być wielkim człowiekiem. Chcę tylko zbudować wielką Polskę. Nie mam ambicji politycznych, chcę tylko zaprowadzić w Polsce porządek.

Porozumienie Centrum rzuciło moją kandydaturę na prezydenta, chcą się wyróżnić. To są przyjaciele, Centrum jest mi bliskie, ale absolutnie nie kieruję tym ruchem, nie uczestniczę w nim. Cieszę się z jego istnienia, gdyż to wzmacnia pluralizm. Naprawdę nie chcę być prezydentem. Ale to przeznaczenie spłatało mi brudnego figla. Jest tyle różnic, tyle konfliktów, że jestem do tego zobligowany. Nikt nie będzie dostatecznie silny, by mnie zatrzymać. Jestem zdolny do tego, by zdobyć większość i muszę to zrobić." (Wałęsa ma prawo porównywać siebie do kogo chce, nawet do Stalina. Porównanie Michnika do Lenina jest jednak obrazą dla każdego polskiego inteligenta – zocer.)

CZERNOBYLSKIE DZIECI

Borys Jelcyn oświadczył na początku maja w Londynie, że mimo "głasnosti" informacje o skutkach katastrofy są fragmentaryczne i zatajają dramatyzm sytuacji. Po awarii elektrowni w rejonie Czernobyla rodzi się 12 razy więcej dzieci ze zniekształceniami (bez nóg, bez rąk, z zajęczą wargą). Początkowo rodzicom i dziennikarzom mówiono, że to na skutek nadużywania przez rodziców alkoholu. Dzieci z Białorusi masowo zapadają na choroby nowotworowe. W szpitalu w Mińsku nie można wykonywać zabiegów chemioterapii, gdyż nie ma tam odpowiednio sterylnego pomieszczenia. (PARIS MATCH, 10.5.)

INTELIGENCJA POPEŁNIŁA BŁĄD

Mircea Dinescu, znany rumuński poeta, komentując dla lewicowego dziennika LIBERATION (22.05.) miażdżące zwycięstwo w wyborach prezydenckich Iona Iliescu powiedział: "Inteligencja zrobiła duży błąd podtrzymując kabaret polityczny na Placu Uniwersyteckim – to popchnęło w stronę Frontu Ocalenia Narodowego ludzi jeszcze nie zdecydowanych. Inteligencja wręcz afiszuje się pogardą dla mas. Generalnie społeczeństwo rumuńskie jest bardzo konserwatywne, nie chce gwałtownych reform socjalnych, zatraciło instynkt demokracji. Iliescu wygrał dzięki swoim uśmiechom i zdrowemu rozsądkowi".

REWOLUCJA RUMUŃSKA W RĘKU ZSSR

Tygodnik LE POINT (22.05.) zamieszcza obszerny artykuł napisany na podstawie zwierzeń dwóch generałów rumuńskich: Nicolae Militaru i Nicolae Radu, którzy twierdzą, że z całą pewnością rewolucja rumuńska była spiskiem wspieranym i zdalnie kierowanym przez Moskwę. Część Securitate zawsze współpracowała ze Związkiem Sowieckim, a pomysł, aby zdetronizować Ceausescu pojawił się już w roku 1980, ale wówczas KGB nie wyraziło na to zgody. Tymczasem według źródeł pochodzących z tajnych służb zachodnich, ZSSR poinformował na początku roku 1989 Francję i Włochy, że chwila taka właśnie nadeszła. Ostateczna decyzja zapadła po wystąpieniu Ceausescu na XIV kongresie partii, gdy sugerował on restytucję Besarabii.

Wiele spraw dotyczących wybuchu i przebiegu rewolucji rumuńskiej nie daje się wyjaśnić. W Rumunii – piszą autorzy artykułu – często można było dowiedzieć się, że ktoś z o s t a ł zatrzymany, ale nigdy tego, że b ę d z i e aresztowany. Tymczasem wszyscy wiedzieli, że zatrzymanie pastora Tokesa nastąpi 16 lub 17 grudnia. Wokół jego siedziby zaczęli gromadzić się ludzie, jednocześnie w Timisoarze wybuchły zamieszki, trzeba więc było mocniejszego akcentu. Wojsko strzeliło w tłum, zginęło kilka osób. Plotka mówiła o 12 tysiącach zabitych. Korespondenci agencji Tanjung pisali, że od 16 grudnia widzieli w Timisoarze "obserwatorów" sowieckich.

Na balkonie budynku KC, z którego przemawiali przywódcy Frontu nikt nie odniósł najmniejszych obrażeń, budynek nosi niewiele śladów po kulach, choć plac wyglądał jak po bombardowaniu. Snajperzy Securitate, jak się potem okazało, często strzelali ze ślepych nabojów. Jeden ze studentów, którzy wyłapywali terrorystów powiedział, że w kwietniu rozpoznał dwóch z pięciu przez siebie zatrzymanych – na wolności.

Gen. Militaru zwierza się dziennikarzom LE POINT: "Największym problemem dla mnie i dla Iliescu było skierowanie rewolucji w pożądanym przez nas kierunku. Między innymi stąd też informacja o masowych grobach w Timisoarze".

W środowisku Securitate od 1983 r. mówiło się, że gdyby przywódcy Rumunii "coś się przydarzyło" – zastąpi go Ion Iliescu.

Zadowolony z siebie stary-nowy prezydent Rumunii Iliescu

WATYKAN: EPILOG SKANDALU FINANSOWEGO

Po trwającym prawie 8 lat śledztwie w sprawie upadku mediolańskiego Banco Ambrosiano, kiedy to zdefraudowane zostało 1,3 miliarda dolarów, 35 osób stanęło przed włoskim sądem. Nie ma wśród nich arcybiskupa Paula Marcinkusa, który rok temu zrezygnował z posady prezesa banku watykańskiego, a teraz jest członkiem watykańskiej administracji. Bank, którym kierował miał największe udziały w Banco Ambrosiano. Nakaz aresztowania arcybiskupa Marcinkusa został wydany, nie stanie on jednak przed sądem, gdyż stanowiłoby to ingerencję w wewnętrzne sprawy Watykanu. (THE EUROPEAN, 1-3.06.)

ZADŁUŻENIE ZSSR ROŚNIE

Zadłużenie ZSSR w zachodnich bankach wynosi 42,06 miliarda dolarów. Deficyt w handlu z Zachodem potroił się w ubiegłym roku osiągając poziom 6,5 mld dol. Kryzys spowodowany został nie przewidzianą wcześniej koniecznością importu zboża za 6 mld dol. W pierwszym kwartale bieżącego roku import z krajów zachodnich wzrósł o 1/3, a eksport spadł o 1/4. Od roku 1985 zadłużenie ZSSR szybko rośnie, mimo corocznej sprzedaży złota wartości 4 miliardów dolarów. (INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE, 5.06.)

KŁOPOTY SOWIECKIEJ GOSPODARKI

Wystąpienie premiera Nikołaja Ryżkowa w Radzie Najwyższej ZSSR dotyczące jego programu odejścia od centralnego planowania, ani razu nie zostało przerwane oklaskami. Trudno o optymizm, skoro w pierwszych 4 miesiącach bieżącego roku dochód narodowy spadł o 1,7%, a zarobki wzrosły o 13,4%. Od stycznia do kwietnia 9,5 miliona dni roboczych zostało straconych z powodu strajków, o 1/3 więcej niż w całym roku 1989. Przewiduje się, że bezrobocie z obecnego oficjalnego poziomu 2 mln, może wzrosnąć do 10 mln. (THE INDEPENDENT, 25.05.)

BAŁTYCKA STREFA BEZPIECZEŃSTWA

Moskwa rozpoczęła wycofywanie broni jądrowej średniego zasięgu z terytoriów Litwy, Łotwy i Estonii z obawy o jej bezpieczeństwo w nowej sytuacji politycznej. Hans Binnendijk, dyrektor Międzynarodowego Instytutu do spraw Studiów Strategicznych z siedzibą w Londynie przewiduje, że Moskwa będzie dążyła do stworzenia nadbałtyckiej strefy wolnej od broni jądrowej. (THE TIMES, 22.05.)

BIEDA W TURKMENII

Achmuhammed Welsapar, młody turkmeński pisarz, przełamał wieloletnią zasłonę milczenia dotyczącą danych o umieralności niemowląt w Turkmenii, publikując na łamach MOSKOWSKICH NOWOSTI artykuł o warunkach życia w tej republice. Jedna trzecia z 3,5 mln jej mieszkańców żyje za 75 rubli miesięcznie przy oficjalnej granicy ubóstwa wynoszącej 90 rubli. W zeszłym roku 55 na 1000 dzieci urodzonych w Turkmenii nie przeżyło roku z powodu niedożywienia i związanych z tym komplikacji. Turkmenia jest jedyną republiką w ZSSR, w której nie zarejestrowano dotychczas żadnej nieoficjalnej organizacji. (THE INDEPENDENT, 25.05.)

RADIOAKTYWNY SEMIPAŁATYŃSK

W ciągu ostatnich 40 lat w Semipałatyńsku, głównej sowieckiej bazie prób jądrowych, miało miejsce 700 wybuchów, w tym 100 naziemnych. Według danych sowieckiej Akademii Nauk podwyższony poziom promieniowania jest przyczyną wzmożonej zachorowalności na raka, schorzeń genetycznych i nadumieralności niemowląt. Przeciwnicy semipałatyńskiej bazy nuklearnej mają poparcie Komunistycznej Partii Kazachstanu i Najwyższego Sowietu republiki. Jeśli baza zostanie zlikwidowana, a Moskwa obiecała to zrobić w ciągu trzech lat, sowieckie próby jądrowe będą się odbywać na Nowej Ziemi, wyspie za Kręgiem Polarnym, co pięciokrotnie podwyższy koszty. (THE EUROPEAN, 1-3.06.)

POLACY W OCZACH NIEMCÓW: ZBIOROWE PIJAŃSTWO

Zachodnioberliński lewicowoliberalny dziennik TAGESSPIEGEL (14.06.) po raz kolejny przedstawia Polaków w krzywym świetle. Tym razem zainteresował się polskim autobusem turystycznym na granicy sowiecko-polskiej. Powołując się na PAP, TAGESSPIEGEL donosi, iż Polacy powracający z wycieczki z ZSSR odmówili przeprowadzenia kontroli celnej. Położyli się na drodze blokując przejście graniczne, zmuszając do interwencji policję, która usunęła protestujących. Celnicy znaleźli w polskim autobusie 575 flaszek wódki, dlatego też autobus został zawrócony na stronę sowiecką. Po pewnym czasie polscy turyści przyjechali z powrotem. Okazało się, że w autobusie nie znaleziono już żadnej pełnej flaszki. Stan pasażerów autobusu wskazywał, gdzie podziała się zawartość owych 575 butelek, kończy informację TAGESSPIEGEL sugerując, iż Polacy wypili ponad 200 litrów wódki.

POZWOLENIE NA PRACĘ DLA POLAKÓW?

Premier Tadeusz Mazowiecki podczas pobytu na konferencji Międzynarodowej Organizacji Pracy w Genewie, gdzie został zaproszony jako gość honorowy, zwrócił się z wezwaniem o przyznanie Polakom pracującym sezonowo lub na czarno w krajach Europy Zachodniej legalnego statusu. "Polska gotowa jest do rozmów z każdym z krajów z osobna." (TAGESSPIEGEL, 15.06.)

O POLSKICH HANDLARZACH

Od 1-go lipca kończy się zabawa – oświadczył Zygmunt Jańczyk, rzecznik prasowy warszawskiego Urzędu Celnego –

Berlin Zach.: Polscy handlarze przez Aldim

wszyscy będą jednakowo traktowani. Do tej pory opłaty celne pobierane były tylko od firm importowo-eksportowych. Handlujący polscy turyści deklarując np. kilkadziesiąt kg bananów jako sprzęt elektroniczny, byli dotąd przepuszczani bez kontroli. Hurtowy import towarów będzie możliwy tylko za pośrednictwem firm importowo-eksportowych. Handlujący turyści przestaną funkcjonować i na przejściach granicznych zapanują znów normalne warunki. Jak pisze lewicowy zachodnioberliński TAGESZEITUNG (11.06) Polacy bardzo szybko przystosują się do nowych warunków. Doskonale znając przepisy celne wylapują istniejące luki. I tak funkcjonują już standardowe tzw. "zestawy wiedeńskie", towary, które legalnie można wywieźć i wwieźć, o wartości nie przekraczającej sumy 200 dol. Celnicy są bezsilni i często reagują agresywnie i wulgarnie. I tak np. austriaccy urzędnicy celni zwracają się do polskich turystów na "ty" i jeżeli złapią przynajmniej jednego turystę na szmuglowaniu towaru, odsyłają cały autobus z powrotem do Polski. Podobnie zachowują się celnicy zachodnio- i wschodnioniemieccy. Od czasu do czasu dochodzi nawet do rękoczynów. TAGESZEITUNG pisze, że od 1-go lipca handlujących turystów czekają ciężkie czasy, także ze strony władz polskich. Już teraz dziennie od 1000 do 1200 osób odsyłanych jest z granicy, a na weekend nawet do 4000, ponieważ posiadają towar, którego ilość wskazuje na charakter handlowy – podaje Jańczyk. Ale fantazja polskich turystów nie zna granic. Ostatnio polski chłop próbował przeszmuglować na Zachód ...krowę! ■

PREZYDENT
VICE PREZYPENT
PREMIER RZĄDU RP
AUTOR RZĄDU
PRZEWODNICZĄCY NSZZ SOLIDARNOŚĆ
KOMITET OBYWATELSKI PRZY LECHU WAŁĘSIE
OKP
AUTOR OKP
① PRZYŚPIESZACZ
② VICE MINISTER SPRAW ZAGRANICZNYCH
③ LAUREAT POKOJOWEJ NAGRODY NOBLA
POROZUMIENIE CENTRUM
STOCZNIA GDAŃSKA
I SIKANKOWY OD GASZENIA STRAJKÓW
PLURALIZM
ELEKTRYK.

STRAŻAK NR. 1. RZECZPOSPOLITEJ.

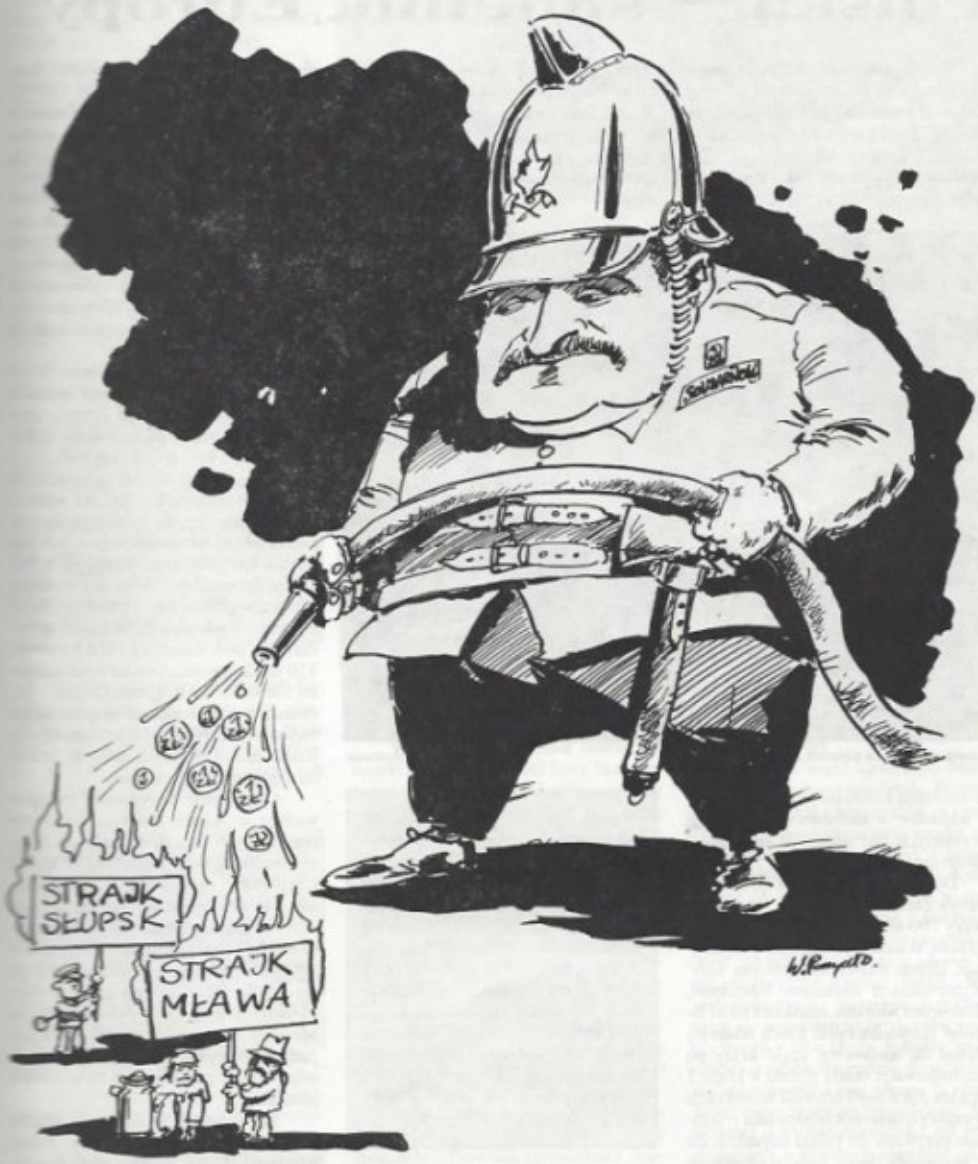

Maria Mamczur

Polska — śmietnik Europy

W ubiegłym roku austriacka sekcja międzynarodowej organizacji ochrony środowiska naturalnego Greenpeace obwieściła: "Polskę wybrano na śmietnisko Europy!", a wiedeński dziennik *Der Standard* skomentował: Jak świat długi i szeroki, pozbawieni skrupułów handlarze zarabiają kolosalne sumy na turystyce odpadów w kierunku krajów mniej rozwiniętych, nie mających możliwości należytego ich wykorzystania.

Do 1989 roku wysłano do Polski z Europy Zachodniej, głównie z Austrii, 9 tysięcy 200-litrowych beczek z metalami ciężkimi, skażoną ziemią, zużytymi bateriami, olejem transformatorowym, nasyconymi olejami ubraniami roboczymi, metalowymi wiórami, resztkami farb i lakierów. Niewielką część z nich udało się odesłać do nadawców, część krąży po Czechosłowacji, reszta została w kraju. 1 lipca ub. roku Sejm uchwalił nowelizację do ustawy o ochronie środowiska — o zakazie przywozu do Polski odpadów. Za jej naruszenie grozi kara pozbawienia wolności. Nadal jednak napływają do Polski oferty z RFN, Austrii, Szwecji, Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych. Nadal polscy ekolodzy wespół z chemikami głowią się nad tym, co zrobić z kilkoma tysiącami niebezpiecznych beczek, bo Austria, mimo zapewnień o życzliwości i współpracy, przyjąć ich nie chce.

"Polskę wybrano na śmietnik Europy!" fot. Juliusz Sokołowski

W dniach 28-31 marca br. przebywała w Polsce pani minister ochrony środowiska w rządzie austriackim, Marlies Flemming. Zapytana podczas konferencji prasowej przez polskiego ministra Bronisława Kamińskiego, czy Austria zgodziłaby się wybudować wspólnie z Polską fabrykę do utylizacji zgromadzonych już śmieci odpowiedziała, że projekt jest interesujący, ale musi być przekonsultowany w parlamencie austriackim. Do tej pory (koniec czerwca 1990 r.) nie było odpowiedzi.

Co znajduje się w beczkach? Na przykład dioksyny. Silna trucizna, która nie ma odpowiednika w przyrodzie. Spala się w temperaturze powyżej 1200°C. Także fenol — spala się w temperaturze 800°C. Takiej temperatury nie można osiągnąć na wolnym powietrzu, a tak próbowano czynić — wypalając zawartość beczek na terenie gospodarstw rolnych. Przy niższych temperaturach następuje spalanie niepełne. Do powietrza dostają się silnie toksyczne, rakotwórcze związki, jak tlenek azotu, chlorowodór, chlor, wolne rodniki węglowodorowe, które przy dużej kondensacji uszkadzają wątrobę.

Beczki są silnie skorodowane. Gazy nagromadzone pod wpływem wysokiej temperatury, na przykład ogrzane promieniami słonecznymi, są w stanie rozsadzić je nawet przy lekkim wstrząsie.

Kilka tysięcy beczek zgromadzono w różnych miejscach Polski. Ich większe skupiska znajdują się na terenie prywatnego zakładu rzemieślniczego w Janowie (gmina Karczew, woj. chełmskie), w Bukówce (gmina Żabia Wola, woj. skierniewickie), w gminie Zator (między Oświęcimiem a Wadowicami), w Łodzi, w Nadarzynie pod Warszawą i w Chorzowie. 550 sztuk przewieziono na teren poligonu Ślubowo, do Instytutu Chemii i Radiometrii, gdzie naukowo opracowuje się metody ich utylizacji. Obliczono, że utylizacja jednej beczki kosztować będzie co najmniej 1,5 mln złotych.

Organizacja Greenpeace przeprowadziła w Austrii śledztwo. Eksporterem trefnych beczek okazały się firmy austriackie JAV i Lima, oraz Oettrad Corporation mająca filię w Lichtensteinie. JAV i Pettrad Corporation należały do tych samych właścicieli — dwu trzydziestolatków: Gerharda Stummera i Michaela Messany z Wiednia. Obaj po ujawnieniu afery zniknęli z pola widzenia dziennikarzy. Greenpeace ustaliła, że Messany zbierał w różnych firmach odpady i obiecywał, że znajdzie dla nich odpowiedni śmietnik. Brał za to wielkie pieniądze.

Jak twierdził w ub. roku attaché handlowy ambasady Austrii w Polsce Konstantin Bekos, firmy polskie: Remex, Impex Metal i Skanslas podpisały z firmami austriackimi (Lima, Pettrad Cor-

poration i ERG Edelmetallruchgewinnun GmbH) umowę na import do Polski odpadów "celem wtórnego odzyskania surowców". Firmy zachodnie miały dostarczyć aparaturę. Nie dostarczyły. Po ujawnieniu afery miały wziąć z powrotem odpady. Nie wzięły.

Firma Lima jest w likwidacji, jej właściciel siedzi w więzieniu. Zlikwidowano Pettrad Corporation, JAV, ERG Edelmetallruchgewinnun GmbH.

Attaché handlowy jest zdania, że Austria może przyjąć z powrotem tylko swoje śmieci. Problem w tym, że nie wiadomo, które śmieci są z Austrii, bo wspomniane firmy importowały odpady również z Francji, Włoch, Szwajcarii i RFN.

Firma Remex oświadczyła: nigdy nie zajmowaliśmy się importem odpadów przemysłowych z jakiegokolwiek kraju. Zawarliśmy natomiast kontrakt z firmą szwajcarską na wytwarzanie farb, lakierów, bejc i impregnatów do drewna z powierzonych przez kontrahenta półfabrykatów i przy zastosowaniu jego maszyn i technologii.

Po ujawnieniu śmierdzącej afery zaszły w Remexie istotne zmiany kadrowe. Wiele osób uwikłanych w tę sprawę straciło pracę. Nieoficjalnie mówi się (informatorzy zastrzegli sobie anonimowość), że Remex został oszukany zarówno przez pana Dogora, jak i przez panów Messany i Stummera.

Attaché handlowy Konstatin Bekos: W kserokopiach rachunków pisanych pro forma, a wystawianych przez Remex dla Pettrad Corporation, napisano: dostawa zużytych farb i lakierów (alt Lack) – do uzdatnienia.

Konstantin Bekos przestał urzędować w Polsce jeszcze w końcu ubiegłego roku. Jego następca, dr Rezl, nie miał nic do powiedzenia. Odsyłał mnie po informacje prosto do ambasadora. W sekretariacie ambasady stwierdzono, że o takich sprawach powinien wiedzieć radca handlowy.

Za granicą właściciele firm pośredniczących działali przez skrytkę pocztową, do której wpływały oferty sprzedaży odpadów i ich kupna. Pieniądze płynęły prosto na konto pomysłowych pośredników, którzy często nie wiedzieli dokładnie, jakim towarem handlują.

Czyje to śmieci? fot. Juliusz Sokołowski

W Polsce Remex miał dostarczać resztki farb i lakierów dla firmy Skanslas, której właścicielami są: pan Dogor, obywatel zachodnioniemiecki i jego żona Teresa. Skanslas zakupił beczki i pertraktował z prywatną firmą Chemrol z Izdebna Nowego w gminie Grodzisk Mazowiecki (właściciel: pan Wasilewski, mieszka w Warszawie). Chemrol część lakierów miał uzdatnić we własnym zakresie, część sprzedał prywatnym rzemieślnikom. Czekano tylko na aparaturę.

Tymczasem do Polski trafiły przeterminowane baterie. Wspomniane firmy sprzedały je spółdzielni "Ruch". Spółdzielni "Społem" zaoferowały przeterminowane zachodnioniemieckie kosmetyki (które zresztą niebawem znalazły się w sprzedaży). Prywatni rzemieślnicy mieszali stare farby z rozpuszczalnikiem, zabarwione lakiery przepuszczali przez filtry i sprzedawali z zyskiem – jako zachodnie produkty.

Chemrol część zawartości beczek wypalał na wolnym powietrzu. Potem je częścił, malował i wypuszczał na rynek. Dopiero gdy przy wypalaniu beczek spalił się pracownik Chemrolu (31-letni P., żonaty, dwoje dzieci), wszczęto dochodzenie. Wówczas ustalono, że w ciągu trzech miesięcy – dniami i nocami – przyjeżdżały do Chemrolu austriackie "tiry", że potem widziano w okolicy gęsty, smolisty dym, a ludzie zaczęli odczuwać dolegliwości związane z pojawieniem się w powietrzu produktów spalania fenolu – bóle głowy, mdłości, "puchnięcie" wątroby. Twierdzili, że wcześniej nie informowali o tym nikogo "z obawy przed nieszczęśliwym wypadkiem". Szło przecież o wielkie pieniądze i, jak przypuszczano, o wysoko postawione osoby. Działo się to wówczas, gdy premierem był Mieczysław Rakowski.

Beczki do utylizacji sprowadzone z Austrii — własność p. Kopra

fot. Jarosław M. Goliszewski

W Izdebnie Nowym, gdzie spłonął człowiek, beczek już nie ma. Nowy właściciel gospodarstwa twierdzi, że nie wie, gdzie się one podziały. Po prostu wywieziono je kiedyś, być może na jakieś wysypisko śmieci. Pozostały tylko tłuste plamy na ziemi po oleju transformatorowym oraz kilka ciężkich transformatorów. Gospodarz sądzi, że plamy wyparują, ale zdaniem ekologów miejsca przesiąknięte olejami pozostaną martwe przez wiele lat.

Więc tak: wokół sielanka kalafiorowa, zboże kołysze się na wietrze, a ciężki olej w głębie. W tle okazały budynek tuczarni świń.

Po ujawnieniu afery polscy celnicy jeszcze kilkakrotnie zatrzymywali na granicy śmiecionośne transporty. Wprowadzono zakaz przywozu śmieci, ale ochroniarze, ekolodzy i celnicy zdają sobie sprawę, że interes jest interesem. Sami nie są w stanie wytropić wszystkich przypadków związanego ze "śmierdzącym" interesem przemytu. Trudno w końcu badać każdą puszkę z sokiem pomarańczowym.

Niektórych winnych zanieczyszczeń dosięgnął polski wymiar sprawiedliwości.

Pan Wasilewski zapłacił... 3 tysiące zł kary — za niewłaściwe użytkowanie gruntu rolnego. Postępowanie karne w związku z pośrednim spowodowaniem śmierci pracownika umorzono w grudniu na mocy amnestii.

Państwo Dogor — przyłapani na próbie wywiezienia beczek z trucizną w inne miejsce — mają odpowiadać przed sądem za spowodowanie niebezpieczeństwa społecznego.

Wobec pana Jaworskiego (firma Andatex), który przejął odpady od pani Dogor i gromadził je nad Drwęcą (!), prowadzi się postępowanie sądowe.

Wszystkie osoby związane z tym skandalem okazały się niewypłacalne. Prawdopodobnie koszty utylizacji kilku tysięcy 200-litrowych beczek z trucizną poniesie skarb państwa.

Pan K., rzemieślnik z Bukówki, czuje się oszukany. Zapłacił Austriakom grube pieniądze (za sprawą p.p. Wasilewskiego i Dogora) nastawiając się na produkcję klejów odzyskiwanych ze zużytych lakierów. Pierwsze dostawy były dobre, potem jednak w beczkach pojawiły się szmaty nasycone olejami, wióry i ziemia (skażona radioaktywnie?).

Po wybuchu skandalu pojawiły się kontrole. Pana K. ukarano grzywną 20 mln zł. Pojawił się komornik. Ukarany powiada, że nikt nie zainteresował się tym, co zrobić z trefnymi beczkami. Stoją więc one nadal tam, gdzie stały. Pan K. doprowadzony do ruiny zlikwidował zakład. Twierdzi, że kary dotknęły przede wszystkim oszukanych — drobnych rzemieślników. Główni sprawcy skandalu wyszli z afery cało. Dogor odsprzedał beczki Jaworskiemu, podobno za 6 tys. marek, a Wasilewski wyjechał do Austrii. Messany podobno znowu był widziany w Polsce.

A do Państwowej Inspekcji Ochrony Środowiska nadal płyną oferty podpisane przez firmy polskie i zachodnie — z prośbą o ekspertyzę ekologiczną. Jak twierdzi jej dyrektor Wojciech Świątek, większość wniosków załatwiana jest odmownie. Na Zachodzie jednak oferty te, kierowane do przedsiębiorstw polskich, dotyczące przywozu śmieci — prefabrykatów, traktowane są niemal jako pomoc Polsce. Ekolodzy twierdzą, że sugerowanie, jakobyśmy w ramach nowej sytuacji i "nowej przedsiębiorczości", mieli coś z tych śmieci odzyskiwać, sprzyja tylko zwiększeniu liczby ofert — bezsensownych, często bezczelnych.

Kilka przykładów:

W 1989 r. firma Raremin z San José (USA) zaproponowała do składowania 7 mln ton śmieci: odpadów z tworzyw sztucznych, odpadów infekcyjnych, radioaktywnych i zanieczyszczonej ziemi.

Pewna firma z RFN i BHZ Polkolor — chciały składować 5 mln ton szlamów rzecznych w KWB Bełchatów.

Z kolei Widera Import-Export z Bochum w RFN i polska Euro-Wiga, sp. z o.o. z Zielonej Góry zaproponowały przyjęcie zużytych olejów.

W 1990 r. złożono jak dotąd 13 ofert, między innymi:

— AMSEA Sea and AIR Services Ltd z Londynu — zaoferowały odpady komunalne do segregacji i przerobu,

— Hacker Bau und Brennstoffhandel Gelsenkirchen (RFN) — odpady z regeneracji olejów (do spalania energetycznego),

– DRGS Management AG i ZUG (obydwie firmy ze Szwajcarii) – odpady komunalne i przemysłowe odpady specjalne do składowania,

– ISG Industrie – Service GmbH z Wiednia i PZ "Slavia" z Lubska, w woj. zielonogórskim – zużyte rozpuszczalniki chlorowcopochodne (dioksyny!) do rektyfikacji (ok 3000 t),

– Torsen Skytt, Bromma (Szwecja) – zużyte kondensatory wysokonapięciowe, ok. 20.000 ton rocznie.

Wnioski nie wyglądają optymistycznie.

Rynek polski jest nadal rozchwiany, większość polskich biznesmenów zdolna jest w tej chwili robić interesy jedynie na "krótką metę" (niewielkie koszty, niewielki udział myśli naukowej, technologii, niewielki nakład pracy, ale możliwie wysokie zyski). Postępująca liberalizacja prawa, mająca wpływać na uzdrowienie gospodarki, sprzyja często krótkowzrocznym interesom geszefciarzy. Świadomość ekologiczna ludzi parających się robieniem szybkich interesów jest żadna. Można więc przyjąć, że za kilka lat Polska utonie we własnych i cudzych śmieciach, a nasi najbardziej "przedsiębiorczy" biznesmeni przeniosą się na czysty Zachód. W każdym razie stać ich będzie na to.

Izdebno k. Grodziska Mazowieckiego: transformator z olejem do przeróbki (fot. nr 1); betonowe klepisko i ziemia wokół zanieczyszczone chemikaliami i olejami (fot. nr 2)
fot. Jarosław M. Goliszowski

Maria Mamczur

Wisła — kloaka Europy

Hamburski lewicowy tygodnik DIE ZEIT (23.05.-1.06.) podjął temat Wisły, określając ją jako pływające laboratorium chemiczne. Tylko Nowa Huta rocznie "zaopatruje" Wisłę w 1060 kg trującego fenolu. Łącznie dostarcza ona 67 mln m^3 ścieków, w tym 35 ton związków żelaza i 215 ton ropy. Nowa Huta nie jest jednostkowym przypadkiem. Rocznie do polskich rzek dostaje się 12 mld m^3 ścieków przemysłowych i komunalnych, z czego aż połowa tylko do Wisły. 5 mld m^3 ścieków powinno być oczyszczone zanim dostanie się do rzek. Ale na 3.800 wielkich zakładów przemysłowych tylko co trzeci posiada mniej lub bardziej funkcjonujące oczyszczalnie ścieków, zaś 13 z 49 miast wojewódzkich, w tym drugie co do wielkości miasto Polski – Łódź, nie posiada w ogóle oczyszczalni.

Zawartość rtęci w Wiśle przekracza 99-krotnie dopuszczalne normy. Zawartość soli w wys. 7‰ równowarta jest zawartości soli w Bałtyku. Ponad 60% wody 1047-kilometrowej rzeki nie nadaje się nawet do przemysłowego wykorzystania, bowiem w związku z dużą zawartością soli następuje szybka korozja rur. Mimo tego oczywistego zagrożenia, Warszawa pokrywa zapotrzebowanie na wodę pitną w 3/4 z ...Wisły.

Nie lepiej wygląda sytuacja w Zatoce Gdańskiej, gdzie od lat istnieje zakaz kąpieli. Gdański Instytut Gospodarki Wodnej podaje, że do Bałtyku, przede wszystkim z Wisły, rocznie dostaje się 260.845 ton azotu (przykładowo w RFN 24.538 ton); związków fosfatu 22.917 ton (RFN – 3.153 t). Erik Brammer, szwedzki koordynator akcji ratowania Wisły z siedzibą w Sztokholmie twierdzi, że co najmniej 1/3 związków chemicznych dostających się do Bałtyku pochodzi z Wisły. Rezultat – nadmierny rozwój wodorostów i martwe dno.

Również w metalach ciężkich jak cynk i miedź, Polska jest w czołówce truciicieli Bałtyku (tuż za nią Szwecja). Jak twierdzi Helmut Schreiber z bońskiego Instytutu Europejskiej Polityki Ochrony Środowiska (Institut für Europäische Umweltpolitik), konieczne jest 500 do 600 miliardów DM, by polską gospodarkę wyposażyć w nowoczesną technikę ochrony środowiska. Tylko na ratowanie Wisły potrzebna jest suma w wysokości 90 mld dol. Najpilniejsze jest zbudowanie 820 oczyszczalni ścieków dla miast i zakładów przemysłowych. Są to astronomiczne sumy, których Polska niestety nie ma, zaś ma do spłacenia prawie 40 miliardów dololarów długów.

Bońskie ministerstwo ochrony środowiska opracowuje plan ekologiczny dla Europy, w którym Polska jest szczególnie brana pod uwagę. Jedno jest dzisiaj pewne – likwidacja przestarzałego polskiego przemysłu jest nieodzowna i konieczna. ■

Katarzyna Dolińska

Polska dieta

fot. Jarosław M. Goliszewski

Ewa R., Polka z Gdańska, wyszła za mąż w Wielkiej Brytanii i tam urodziła córkę. Niedawno odwiedziła rodzinę, przywożąc po raz pierwszy trzyletnią Ingę. Dziadkowie nie upilnowali wnuczki, mała wypiła mleko prosto z butelki — tak jak w domu — i wylądowała w szpitalu. Przyjaciółka Ewy "pocieszyła ją", że jej pięcioletni synek już dwa razy wymagał pomocy medycznej: po zjedzeniu szpinaku i wczesnych szklarniowych pomidorów. Takie zdarzenia w Polsce są na porządku dziennym.

Polak oprócz tego, co widzi na talerzu, spożywa — nie wiedząc o tym — metale jak ołów, kadm, cynk, cynę, miedź, silnie trujące pierwiastki promieniotwórcze, związki azotu, antybiotyki, środki ochrony roślin, chemiczne środki konserwujące i detergenty. Ponad 90% kalorii mieszkaniec Polski czerpie z żywności przetworzonej. W poszczególnych fazach produkcji działają na nią katalizatory, środki filtrujące, substancje przenikające z maszyn, opakowań, a ponadto pozostałości środków utrzymania czystości: dezynfekujących i odkażających. Źródłem zanieczyszczeń metalami może być też sprzęt gospodarstwa domowego, naczynia do gotowania, naczynia ceramiczne, zwłaszcza z kolorowymi zdobieniami na wewnętrznej powierzchni.

Ołów do naszych żołądków dostarcza przemysł — w różny sposób, np. poprzez wadliwie lutowane puszki do konserw czy opakowania z tworzyw sztucznych. Duże stężenie tego metalu wykryto w lodach i wyrobach cukierniczych, a więc produktach spożywanych przez dzieci. Polskie normy są przeważnie zawyżone (np. dopuszcza się trzykrotnie większe niż w Szwecji stężenie ołowiu w lodach), a mimo to notuje się wysokie przekroczenia tego metalu w wielu produktach: trzykrotnie w wodach gazowanych i dwukrotnie w napojach bezalkoholowych, czterokrotnie w koncentracie pomidorowym. Zbyt duże ilości ołowiu zawiera 80% warzyw i owoców, szczególnie natka, sałata, porzeczka.

Cyna do niedawna uznawana za niezbyt toksyczną występuje najczęściej w puszkowanych sokach owocowych. Jej nadmiar powoduje atrofię trzustki, zmiany w mózgu, zmniejszenie poziomu wapnia w kościach.

Zawartość cynku emitowanego przez hutnictwo, a także przenikającego ze sprzętu gospodarstwa domowego, przekracza normy przede wszystkim w kompotach i sokach pitnych. W 1982 r. zanotowano sześciokrotne przekroczenia w napojach bezalkoholowych, dwukrotnie w konserwach warzywnych, trzykrotne w marynatach. Nadmiar tego metalu w organizmie wywołuje zmiany nowotworowe.

Miedź może kumulować się w wątrobie, nerkach, mięśniu sercowym. Jest niezbędna do życia, ale długotrwałe jej spożywanie może wywołać ostre zatrucia, zwłaszcza u dzieci.

Do pierwiastków najbardziej niebezpiecznych należy również rtęć. Źródłem zanieczyszczenia rtęcią są ścieki z fabryk papieru, tworzyw sztucznych, farb i lakierów, lamp oraz wieloletnie nawożenie gleb odpadami komunalnymi. Stężenie rtęci w tkankach ryb może przewyższać trzy tysiące razy jej zawartość w wodzie. Często występuje w zielonych częściach roślin. Jej największe stężenie — ponad 20-krotne przekroczenie normy — zanotowano w pieczarkach. Związki rtęci przenikają do mózgu, powodując uszkodzenia kory mózgowej, zaburzenia psychiczne, utratę wzroku, ogólne porażenie.

Równie szkodliwy jest arsen, atakujący układ nerwowy, pokarmowy, wywołujący schorzenia płuc, serca i zmiany rakotwórcze. Związki tego pierwiastka pozostają w glebie po zastosowaniu chemicznych środków chwastobójczych, duże ich ilości wykryto w konserwach rybnych, drobiu i grzybach.

Pierwiastki promieniotwórcze: stront i cez, często występują w mleku ze względu na pokrewieństwo chemiczne. Stront towarzyszy wapniowi, osadza się w kościach, po kilkunastu latach może doprowadzić do schorzeń nowotworowych.

Azotyny i azotany są produktami rozkładu chemicznych substancji azotowych. Poważne zagrożenia występują w sąsiedztwie przemysłu azotowego, a także w wyniku częstego nawożenia gleby, szczególnie w uprawach szklarniowych. W porównaniu z połową lat sześćdziesiątych ilość stosowanych nawozów mineralnych w 1982 roku wzrosła dwukrotnie.

Azotyny i azotany w postaci saletry stosuje się u nas przy przetwórstwie serów (w wielu krajach już zrezygnowano z tej metody) oraz w konserwach mięsnych – nadają przetworom barwę i wpływają na powstawanie charakterystycznego smaku. Azotany przyspieszają korozję puszek, co może prowadzić do zatruć cyną. Szczególnie wrażliwe są niemowlęta do trzeciego miesiąca życia – tu źródłem zatruć może stać się woda zawierająca związki azotu – zanieczyszczonych jest wiele studzien wiejskich. Objawy, to bóle głowy, spadek ciśnienia, drgawki, wymioty. Dzienna dawka azotanów wg kodeksu żywnościowego międzynarodowych organizacji żywienia i zdrowia FAO/WHO wynosi 5 mg na kilogram masy ciała. W polskich odżywkach dla niemowląt stwierdzono następujące stężenia (na kilogram produktu): w mleku w proszku do 31 mg, w mieszankach do 144 mg, w mleku humanizowanym do 127 mg, w przecierach i sokach do 301 mg.

Do konserwowania produktów spożywczych, a także pasz stosuje się u nas głównie benzoesan sodu. Wyniki badań przeprowadzonych na szczurach dowiodły, że powoduje on powiększenie wątroby, śledziony, a przy ośmioprocentowej dawce w diecie – zmniejszenie masy ciała. Benzoesan sodu spożywany jest przez krowy w konserwowanych kiszonkach, przechodzi do mleka, szczególnie więc narażone są dzieci.

Poważne zanieczyszczenie mleka powodowane jest także powszechnym stosowaniem w hodowli antybiotyków. Nawet najmniejsze ich ilości nie powinny znaleźć się w pożywieniu człowieka, tymczasem wykryto je również w cielęcinie i drobiu. Wyniki badań (niepublikowane) w 1982 r. wykazały dużą zawartość streptomycyny w mleku. Antybiotyki powodują uczulenia i alergie, a ponadto odkładają się w kościach i zębach, przenikają do szpiku kostnego, do płynu mózgowo-rdzeniowego, przez łożysko kobiety ciężarnej do płodu.

Nasze produkty żywnościowe "bogate" są również w herbicydy i pestycydy. Zatrucie herbicydami – środkami chwastobójczymi – następuje poprzez skórę lub przewód pokarmowy, prowadzi do zmian morfologicznych i chemicznych we krwi, uszkodzenia wątroby, nerek, tarczycy. Najbardziej niebezpiecznym pestycydem, czyli środkiem owadobójczym jest DDT, od kilkunastu lat nie stosowany w Polsce, ale z powodu swej trwałości nadal występujący w głębie. Jego związki odkładają się w tkance tłuszczowej człowieka. Badania wykazały, że zawartość DDE – jednego ze związków DDT w mleku kobiet jest dziesięciokrotnie wyższa niż w mleku krowim. Znaczne jego ilości stwierdzono też w tkankach noworodków. W latach 1981-82 badano próbki herbaty najczęściej spożywanej w Polsce, importowanej z Indii, Chin, Sri Lanki i ZSSR. Wszystkie były zanieczyszczone pestycydami, a zwłaszcza DDT, w stopniu kilkunastokrotnie przekraczającym normy.

Badania stopnia skażenia żywności w Polsce są rozproszone, wykonywane przez szereg ośrodków i instytucji w sposób nieskoordynowany, publikowane w pismach specjalistycznych. Tymczasem nawet podstawowe produkty, czyli zboże, ziemniaki i mleko zawierają wiele szkodliwych substancji. W ziemniakach i zbożach w dużych ilościach występują: rtęć, kadm i metale ciężkie, w mleku: antybiotyki i pierwiastki promieniotwórcze – 50% substancji radioaktywnych, które przedostają się do organizmu człowieka spożywanych jest właśnie w mleku. Niezwykle skażone są również ryby bałtyckie, a więc np. dorsze zawierają pestycydy, rtęć, ołów, kadm, a z produktów przetworzonych najbardziej niebezpieczny wydaje się koncentrat pomidorowy w puszkach, ze względu na duże przekroczenia norm ołowiu, cynku, arsenu.

Szczególną uwagę powinno się zwracać na produkcję żywności przeznaczonej dla dzieci. Tymczasem w popularnych sokach Bobo-Frut zanotowano nadmierne ilości kadmu, a w 90% przetworów owocowo-warzywnych dla dzieci poważnie przekroczone zostały normy azotynów, zwłaszcza w produktach zawierających marchew i dynię. W czerwcu i listopadzie 1983 roku badano po-

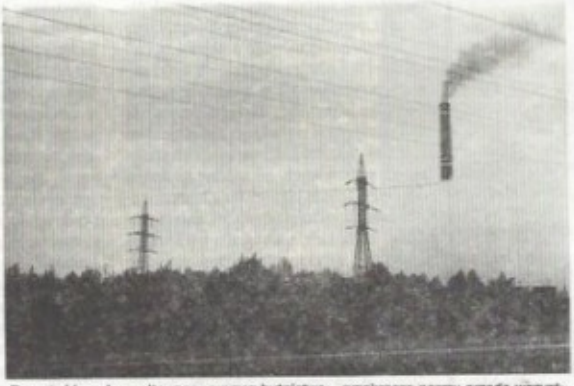

Zawartość cynku emitowanego przez hutnictwo... przekracza normy przede wszystkim w kompotach i sokach pitnych.
fot. Kacper

Nawet podstawowe produkty, czyli zboże, ziemniaki i mleko zawierają wiele szkodliwych substancji.

Pryskany czy naturalny? fot. Kacper

siłki w przedszkolach. Zawierały one 40% dopuszczalnej normy rtęci, 60% normy ołowiu i 60% normy kadmu. Normy te jednak dotyczą ludzi dorosłych, a wynik uwzględnia średnie skażenie — w niektórych placówkach odnotowano stopień przekroczenia szkodliwy dla zdrowia.

"Zdrowa żywność" — takie hasło pojawia się dopiero od niedawna na rodzimych opakowaniach. Na razie jednak można o tym mówić w kategoriach eksperymentu. Stopień uświadomienia i poziom oświaty z zakresu higieny żywności są u nas jeszcze niskie. Większość społeczeństwa żyje w stanie błogiej nieświadomości w myśl zasady: "Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal."

Maciej Janowski, weterynarz z woj. stołecznego: "Producenci żywności nie zawsze przestrzegają norm, okresów karencji, zaleceń naukowców. Nie ponoszą bowiem żadnej odpowiedzialności za swoje zaniedbania. Jeśli w mleku odwiezionym do skupu stwierdzi się nadmierną ilość antybiotyków, to po prostu odmawia się przyjęcia dostawy. Na Zachodzie rolnik zapłaciłby wysoką karę i stracił kontrahenta."

Marzena Bartycka, lekarz pediatra z Warszawy: "Rodzice bez przerwy pytają, jak zdobyć dla dziecka zdrowe warzywa i owoce. Jak odróżnić »pryskane« od »naturalnych«. Często sami zaczynają uprawiać je na działce, by mieć pewność, że są czyste. Niestety, w wielu rejonach kraju właśnie uprawy z ogródków działkowych bywają najbardziej niebezpieczne dla zdrowia."

Katarzyna Dolińska

Ochrona zdrowia

Adam Kowalak

Zagrożenie ołowiem

Dwaj warszawscy socjologowie, B. Kamiński i M. Okulski, zauważają w książce pt. "Świat obecny i świat przyszły": "Gdy Rzymianie odkryli, że naczynia z brązu powlekane ołowiem nie dają obserwowanych poprzednio objawów zatrucia tlenkiem miedzi, nie uświadomili sobie, że za ten postęp przyjdzie im drogo zapłacić. (...) Powolne, niezauważalne zatruwanie organizmu związkami ołowiu, powodujące chroniczne osłabienie, apatię, utratę apetytu, zaburzenia koordynacji ruchu, patologiczne zmiany mózgu, systemu nerwowo-mięśniowego i układu pokarmowego i ponadto zwiększenie częstości poronień przyczyniło się w znacznym stopniu do upadku imperium". Wielu badaczy wiąże upadek imperium rzymskiego z chronicznym zatruciem ołowiem ludzi na wysokich stanowiskach państwowych, od rodziny cesarskiej począwszy. Tezę tę potwierdzają laboratoryjne badania zawartości ołowiu w kościach patrycjuszy rzymskich, a ich wyniki wskazują na wielokrotne przekroczenia obowiązujących dziś norm.

Także w wiekach późniejszych zwiększone ilości ołowiu stwierdzono w kościach ludzi bogatych. Prosta ludność używająca naczyń glinianych i drewnianych przyswajała mniejsze ilości tego pierwiastka. Dopiero w XVI-XIX wieku znacznie zwiększył się krąg osób narażonych na zatrucie związkami ołowiu. Badacze z Michigan w USA przeprowadzili statystyczne porównanie wyników analiz toksykologicznych włosów ludzi żyjących w latach 1871-1923, z analizami prowadzonymi w 1972 roku. Włosy ludzi żyjących w ubiegłym stuleciu zawierały większy procent ołowiu. Np. włosy dziecka z XIX w. — 150 mikrogramów Pb/gram suchej masy, a z bieżącego stulecia — około 15 mikrogramów Pb/g. Można to tłumaczyć warunkami życia w ubiegłych stuleciach: budową ołowianych cystern na wodę pitną, ołowianych rur wodociągowych, używaniem ołowianych zabawek, farb, kosmetyków, "cukru ołowianego" itp.

W dzisiejszym świecie zanieczyszczenie ołowiem wiąże się przede wszystkim z szerokim zastosowaniem jego związków w różnych gałęziach przemysłu. W niektórych krajach — również w Polsce — pierwiastek ten używany jest w postaci metalicznej lub w związkach chemicznych w garbarstwie, papiernictwie, poligrafii, hutnictwie, ochronie roślin, przy produkcji amunicji oraz benzyny samochodowej. Obecnie komunikacja jest drugim, po przemyśle, źródłem rozprzestrzeniania się tego metalu.

Największe stężenie ołowiu w środowisku, a więc i największe narażenie na jego oddziaływanie, występuje w rejonach przemysłowych. Na terenie Górnośląskiego Ośrodka Przemysłowego ilość ołowiu i innych metali ciężkich w powietrzu i glebie przekracza kilkadziesiąt razy dopuszczalne normy. Stwarza to szczególne zagrożenie dla rodzących się tam dzieci, które już w łonie matki narażone są na szkodliwe działanie tych substancji. W trakcie badań prowadzonych przez prof. Bożenę Hager-Małecką, u 300 dzieci zamieszkałych w bliskości Huty Metali Nieżelaznych w Szopienicach stwierdzono ołowicę. Aż 10% szopienickich dzieci uczęszczało do szkół specjalnych, wszystkie były bledsze, niższe, chudsze i często chorowały. Okazało się, że oddychały one powietrzem, w którym stężenie ołowiu przekraczało normy o 50%, a maksymalne stężenie w ciągu roku przekroczone było 1000 krotnie. Podobnych miejsc w naszym kraju jest przynajmniej kilkanaście, warto więc dodać, że według danych amerykańskich 25% dzieci opóźnionych w rozwoju cierpi na nieodwracalne uszkodzenia mózgu właśnie na skutek zatrucia ołowiem.

Często na terenach szczególnie skażonych produkuje się również żywność. Np. w województwie katowickim użytki rolne stanowią 49% powierzchni, z czego około 50% nie nadaje się, ze względu na stopień zanieczyszczenia, do produkcji środków spożywczych dla ludzi i zwierząt, 17% nadaje się pod uprawy tylko w ograniczonym zakresie. Jednak skażona ziemia jest nadal uprawiana, a wyprodukowana na niej żywność (m.in. 80% warzyw na terenie tego województwa) stanowi dodatkowe zagrożenie dla ludności.

Gdyby dowożono zdrową żywność dla dzieci, młodzieży i kobiet w ciąży zamieszkujących GOP, zachorowalność młodego pokolenia na ołowicę, astmę, choroby układu krwionośnego, nowotwory i szereg innych chorób zmalałaby o 30%. Wydaje się rzeczą bezsporną, że koszty transportu tej żywności byłyby zdecydowanie niższe od wydatków na leczenie chorych.

W krajach rozwiniętych emisja związków ołowiu jest coraz skuteczniej harnowana. Zmienia się technologie przemysłowe, instaluje filtry oraz wprowadza benzynę bezołowiową. Od tego, co zrobimy w najbliższym czasie, zależy kondycja umysłowa i społeczna Polaków.

»Nie beatyfikujemy narodu«

rozmowa z prof. Wiesławem Chrzanowskim, prezesem Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego

— Mówi się, że ma Pan wielkie ambicje polityczne.

— A to ciekawe, bo do tej pory miałem opinię człowieka o mentalności mafijnej, który lubi działać z ukrycia, specjalnie się nie afiszując. Wyczytałem te rewelacje w jakiejś podziemnej broszurze.

— Nie chodzi o metody, ale o ambicje, które mają Pana doprowadzić do najwyższych urzędów.

— Nie, to błąd, jeśli jacyś ludzie mnie tak postrzegają. Traktuję siebie jako ideologa, a nie praktyka czy specjalistę od rządzenia.

— Dlaczego więc wybrał Pan tę ideologię i optuje Pan za pierwiastkiem narodowym w momencie, kiedy otwierają się granice i serio mówi się o wspólnym, europejskim domu?

— Ja tę ideologię wybrałem dobre pół wieku temu. Naturalnie, uległa ona pewnym modyfikacjom, ale wciąż ma do spełnienia swoje zadania. Dzisiaj poszukuje się modelu ustrojowego dla społeczeństwa masowego. A taki model musi opierać się na założeniach ideowych, na wartościach. Z mojego punktu widzenia jest to przeciwstawienie się formule dominującej obecnie w Europie Zachodniej, tzn. odrzucenie pełnego relatywizmu w zakresie zasad, na których opiera się życie zbiorowości. Wiele społeczeństw jest już taką wolnością i dowolnością zmęczonych. Czytałem na ten temat bardzo ciekawe wypowiedzi neokonserwatystów amerykańskich. Irving Kristol na przykład twierdzi, że II wojna światowa wcale nie zamknęła problemu patriotyzmu i uczuć narodowych, bo jak daleko można spojrzeć w przyszłość, będą to główne czynniki motorycznego rozwoju na świecie. To jedna kwestia. Druga polega na tym, że rola religii obecnie szalenie wzrosła. Ludzie mają dość tego mgławicowego, "humanitarnego" systemu wartości, młodzież chce korzystać z wyraźnie określonych zasad. Kristol zwraca nawet uwagę na to, że w istocie religie będą stanowić oparcie również dla tych, którzy nie wierzą.

— I na takiej analizie sytuacji opiera Pan szanse Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego na zwiększenie wpływów politycznych?

— Chodzi tu o wartości ważne dla rozwoju naszego kraju, a nie o szukanie koniunktury dla partii.

— Czy Pańskiej partii są np. eks-pezetpeerowcy?

— W znikomej ilości, na palcach jednej ręki można ich policzyć.

— Podobno spotkania członków ZCh-N odbywają się w kościołach...

— Nie, w kościołach się nie odbywają, co najwyżej w salach katechetycznych.

— A jednak o tych spotkaniach księża mówią z ambon.

— Mogę stwierdzić, że poparcie księży dla ZCh-N jest nieporównywalnie mniejsze niż dla komitetów obywatelskich "Solidarności". Owszem, istnieje grupa księży, która nas popiera, ale choćby tutaj, w Warszawie przed wyborami samorządowymi, księża dość powszechnie mówili o komitetach, a przemilczali Zjednoczenie, mimo tego, że są u nas członkowie Służby Kościelnej "Totus Tuus".

— To ciekawe, ponieważ komitety plasują się o wiele dalej na lewo niż Zjednoczenie.

— Komitety "Solidarności" nie są spójne ani jednorodne w swojej orientacji i w niektórych miejscowościach do wyborów szliśmy razem. Niadawno w Łodzi odbyło się spotkanie komitetów porozumienia obywatelskiego, w których nasi koledzy odgrywają dużą rolę, choćby poseł Niesiołowski, Łopuszański, prezydent Łodzi Grzegorz Palka. A przyjechały tam komitety z Konina, Radomia, Piotrokowa, Leszna, Gdańska itd.

Prof. Wiesław Chrzanowski fot. Jarosław M. Goliszewski

WIESŁAW CHRZANOWSKI, lat 67, profesor prawa. W czasie okupacji działał w organizacjach młodzieży narodowej. Żołnierz Armii Krajowej, walczył w Powstaniu Warszawskim. Po wojnie był m.in. prezesem Zarządu Ogólnopolskiego "Chrześcijańskiego Związku Młodzieży. W 1948 r. aresztowany, oskarżony o próbę obalenia ustroju "przez stworzenie masowego ruchu katolicko-narodowego" i skazany na 8 lat więzienia. Na wolność wyszedł w 1954 r. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych pozostawał w ścisłym kontakcie z prymasem Stefanem Wyszyńskim. W związku z zakazem pracy w zawodzie adwokata pracował jako radca prawny w różnych instytucjach. W 1975 r. otrzymał doktorat, a w 1979 habilitację z zakresu prawa cywilnego na UMCS w Lublinie. Po sierpniu 1980 r. organizował niezależne związki zawodowe. Jest współautorem statutu NSZZ "Solidarność".

— Nie można więc powiedzieć, że w komitetach obywatelskich "Solidar-

ności" widzicie wyłącznie konkurenta.

— Pewne tendencje w ruchu "komitetowym" postrzegamy w zupełnie innych kategoriach, jako próbę tworzenia blokady w rozwoju nowoczesnego życia politycznego, w artykułowaniu pewnych kierunków i nurtów. Ostatnie wydarzenia wskazują jednak na to, że w ruchu tym występują różne tendencje.

— A druga partia chadecka, Stronnictwo Pracy, to sojusznik czy konkurent?

— Jeśli chodzi o Stronnictwo Pracy, jesteśmy otwarci na współdziałanie, czy w perspektywie na połączenie się, ale oni mają teraz całą masę problemów wewnętrznych i my nie chcemy się do tego mieszać. Dla uściślenia, my nawiązujemy tylko do myśli chrześcijańsko-demokratycznej, toteż jednoznaczne kwalifikowanie nas jako partii chadeckiej jest uproszczeniem.

— Istnieją też chyba różnice programowe.

— Jeżeli ujmować to w tradycyjnych podziałach, to my jesteśmy bardziej na prawo, a oni na lewo, chociaż to sprawę zbyt upraszcza. W każdym razie są tam ludzie, którzy chcieliby przyjąć socjaldemokratyzujący kierunek, np. wiceprzewodniczący Rady Naczelnej, mój kolega, z którym razem siedziałem w więzieniu, prof. Tadeusz Przeciszewski. Druga różnica jest pokoleniowa. My staramy się nawiązywać do kilku nurtów przedwojennych, ale nie jesteśmy ich kontynuacją. Również pierwiastek narodowy staramy się kształtować inaczej. Nie beatyfikujemy narodu, a korzystamy z nauki Jana Pawła II i sposobu, w jaki on stawia ten problem. Na pytanie "czym jest?", naród odpowiada swoją kulturą, z której wynikają normy i zasady życia w zbiorowości. Przyznajemy prawo do tożsamości wszystkim mniejszościom narodowym, a to znaczy, że nie traktujemy przynależności do narodu jako aspektu jurydycznego, bo takim aspektem jest obywatelstwo.

— Czy może być członkiem Zjednoczenia obywatel, który deklaruje swą narodowość jako niepolską?

— W naszym statucie nie ma żadnego zakazu, w deklaracji członkowskiej w ogóle nie ma rubryki "narodowość", czyli przeszkody formalnej nie ma. Z tym, że zakładamy ochronę wartości narodowych i sprawą sumienia będzie ich respektowanie.

Władysław Siła-Nowicki, Wiesław Chrzanowski, Ryszard Reiff na koktelu w warszawskim hotelu "Marriott"
fot. Jarosław M. Goliszewski

— Podejrzewam, że to za sprawą czystości sumienia, czyli pewnej życiowej wygody, Pana partia tak mocno zaangażowała się w kampanię antyaborcyjną. Bo sama ustawa o zakazie przerywania ciąży, jeśli nawet zostanie uchwalona, niewiele przecież zmieni w praktyce...

— A czy powinniśmy pozwolić na kradzież? Przecież prawnie zakazując kradzieży zdajemy sobie sprawę, że w ten sposób nie wyeliminuje się samego zjawiska.

— Nie wiem, czy jest to dobre porównanie, ale mam inną wątpliwość: dlaczego również Kościół nalega na regulację prawną? Nie wystarczą już przykazania? Przestał wierzyć w swoich wiernych?

— Można to ująć podobnie; nie stosujemy kary za zabójstwa, tylko oddziaływujemy na ludzi perswazją, żeby jeden drugiego nie zabijał. A jeśli zabije, no to trudno... Kary istnieją i ludzie się zabijają, ale gdyby znieść kary, procent zabójstw wzrósłby niepomiernie. To wiąże się z katolicką i liberalną koncepcją człowieka. Koncepcja katolicka zakłada, że człowiek jest skażony grzechem pierworodnym, czyli: człowiek ma sumienie i może dążyć do dobra, ale to nie znaczy, że on z natury jest dobry.

— Zróbmy inaczej, wyłączmy z tych rozważań katolików i tę koncepcję, jakoby życie ludzkie rozpoczynało się w momencie poczęcia...

— Ale dzisiejsza biologia nie pozostawia co do tego żadnych wątpliwości. Problem więc przebiega w innej płaszczyźnie: w jakiej fazie mamy życie chronić? — bo przecież z drugiej strony wysuwane są koncepcje, żeby zgodzić się na eutanazję. Mamy zwolenników antyaborcji, zakazu przerywania ciąży, którzy wychodzą z założeń całkiem niereligijnych, ale właśnie na zasadzie akceptacji życia, które istnieje.

— A ta cała dyskusja o miejscu nauczania religii. Pańska partia twierdzi, że to koniecznie musi odbywać się w szkole.

— Mamy tak znaczną część nauczycieli zateizowanych, że dla mnie sama obecność katechety w szkole, to już jest zmiana klimatu, to istnienie kogoś, kto dla młodzieży może być autorytetem, nauczycielem, powiernikiem. I uważam, że ta dyskusja o tolerancji jest czymś bardzo zastępczym. W mojej klasie mieliśmy czterech prawosławnych, ewangelika, kalwina, przez pewien czas żyda i nigdy na tle religii nie dochodziło do żadnych sporów i konfliktów. Nietolerancja powstała wtedy, gdy w 1957 roku religia do szkół powracała. Ci, którzy nie chodzili na religię, podejrzewani byli o to, że mają ojca partyjnego albo ubeka. Sprawa chodzenia bądź niechodzenia na religię przesunęła się na płaszczyznę polityczną. Ale i ten problem z czasem wygaśnie.

— Zobaczymy... Żalił się Pan publicznie, że jeden z członków Zjednoczenia nie został przyjęty do pracy w urzędzie prezydenta, bo właśnie do tej partii należy. Tak było?

— Tak, odmówiono mu, tłumacząc, że w tym urzędzie przynależność do partii nie jest wskazana.

— W ogóle do partii, czy do tej partii — Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego?

— Jemu nie powiedziano tego wprost, więc trzeba zdać się na przypuszczenia... W tym urzędzie eks-partyjnych, wtedy jeszcze partyjnych, nie brakowało.

— Czy to może znaczyć, ZCh-N jest źle widziany?

— Nie, nie ma tu jakiejś generalnej zasady, wielu członków Zjednoczenia piastuje wysokie funkcje, mamy dyrektora departamentu w jednym ministerstwie, u min. Halla pracuje kilka osób...

— A skąd wziął się ten zarzut antysemityzmu?

— Poważny zarzut pojawił się tylko jeden i był związany z naszym plakatem. Z tym, że zarzucający nie wzięli pod uwagę, że jest on w zasadzie reprodukcją z *Przeglądu Wiadomości Agencyjnych* z 1987 roku, pisma "Solidarności". Wtedy rzecz dotyczyła Jerzego Urbana, teraz, kiedy go nie ma, potraktowano ją szerzej i nieprawdziwie.

— Wystąpienia członków ZCh-N w parlamencie zwykle dzielą opinię publiczną na dwie równe części i w ten sposób partia zyskuje tyluż sympatyków co przeciwników. Czy możemy spodziewać się, że na jesieni poseł Łopuszański bądź Jurek wystąpi z propozycją, aby np. zakazać rozwodów?

— Sądzę, że akurat ta sprawa nie będzie na jesieni aktualna, natomiast trzeba wziąć pod uwagę jedno: ton i sposób występowania naszych kolegów łączy się i z tym, że nowe partie są propagandowo spychane i ośmieszane, nie daje się im możliwości kontaktu ze społeczeństwem, ani nie zapewnia takich warunków działania, jakie pozostawiono partiom z byłego układu...

— Sejm jako trybuna partyjna?

— Ależ tak już bywało, że sąd i Sejm stawały się jedyną dostępną trybuną. I dlatego jeśli oni mają swoje 10 minut, to starają się skoncentrować w nich taki ładunek treści, żeby zwróciły na to uwagę wszystkie środki przekazu i dotarło to do możliwie najszerszego kręgu ludzi.

Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe powstało w listopadzie 1989 roku. Obecnie liczy 3 tys. członków. Należy do niej 6 członków Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego – posłowie Marek Jurek, Jan Łopuszański i Stefan Niesiołowski oraz senatorowie Stefan Bembiński, Tadeusz Ulma i Antoni Żurawski. W majowych wyborach samorządowych kandydaci z ZCh-N obsadzili około 130 miejsc w radach gminnych. Członkami Zjednoczenia są prezydenci Łodzi i Konina oraz wiceprezydenci Sopotu i Gorzowa.

— Przyznam się, że o te rozwody zapytałem niezbyt serio, ale wydaje mi się, że to może być serio...

— Jeśli chodzi o zakaz rozwodów, to nie sądzę, jednak rozważane jest wprowadzenie do ustawy instytucji prawnej separacji, która była u nas kiedyś stosowana. Ta sprawa pojawi się też w ramach rokowań, jakie odbywają się między Stolicą Apostolską a naszym państwem i dotyczą m.in. systemu fakultatywnego przy zawieraniu małżeństw.

— Pan oczywiście jest przeciwnikiem rozwodów.

— W generalnych założeniach tak, chociaż nie twierdzę, że nie ma konfliktów w małżeństwach. Sam byłem adwokatem i wiem, jak wygląda to na co dzień.

— Prowadził Pan sprawy rozwodowe?!

— Prawo kanoniczne zna pojęcie separacji i może orzekać separację, a wtedy trzeba ułożyć stosunki majątkowe, ułożyć przyszłość dziecka...

— A czy podjąłby się Pan obrony "płodobójczyni", że użyję takiego terminu...

— Gdyby chodziło o obronę, przyjąłbym każdą sprawę. Co więcej, ludzie pewne sprawy prymitywizują, bo nie znają prawa karnego. Jeśli występuje np. konflikt życia, matki i płodu, to nie znaczy, że zabicie płodu jest czynem akceptowanym, ale po uwzględnieniu tzw. stanu wyższej konieczności, czyn ten nie podlega karze.

— Proszę ujawnić, z czego Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe się utrzymuje i jakie ma dochody?

— ZCh-N utrzymuje się doprawdy symbolicznie, bo nie ma żadnego pracownika etatowego, a jeśli chodzi o wydatki związane z kampanią wyborczą, to dość poważnie wspomogło nas nasze koło w Londynie...

— To jedyne zagraniczne koło?

— Powstaje koło w Göteborgu, mamy członków we Francji i Austrii... Płacimy składki, co najmniej 1000 zł miesięcznie, są ludzie, którzy wpłacają i 10 tys. Czasem otrzymujemy dary, mamy przyjaciela za granicą, trochę nas sponsoruje. Ale są to i dochody, i zasoby nikłe. A jeśli zbiera się nasz zarząd czy Rada Naczelna, to każdy płaci za siebie, za podróż, nocleg, wyżywienie i nie dostaje żadnej rekompensaty.

— Dziękujemy Panu za rozmowę.

Pytania zadawali
Adam Kowalski i Zbigniew Żbikowski

■ BERLIN. Do końca br. wyłączona zostanie z sieci z powodu złego stanu technicznego elektrownia atomowa w miejscowości Greifswald/NRD. (FAZ, 2.06.)

■ MOSKWA. Związek Sowiecki ma zamiar wyłączyć z sieci elektrownię atomową w Czernobylu; na Ukrainie powstała już specjalna komisja mająca opracować plan wyłączenia trzech funkcjonujących jeszcze reaktorów. (FAZ, 2.06.)

■ MONACHIUM. Obowiązująca do niedawna polsko-niemiecka umowa rentalna umożliwiała obywatelom polskim osiedlającym się w RFN otrzymanie renty, która średnio wynosiła 1.535,50 DM – podaje za bawarskim MÜNCHENER MERKUR konserwatywny dziennik FAZ (02.06.).

■ MOSKWA. Moskwa płaci swoje długi złotem – donosi lewicowoliberalny dziennik TAGESSPIEGEL (2.06.) powołując się na tokijski dziennik NIHON KEIZAI; Moskwa rzuciła na rynek 100 ton złota o wartości 1,2 mld doi.

■ KOLONIA. Jak podaje kolońki Instytut d/s Gospodarki, koszty utworzenia nowego miejsca pracy w RFN wynoszą przeciętnie 188 tys. DM. (TAGESSPIEGEL, 3.06.)

■ BERLIN. Zjednoczenie Niemiec i związana z tym reforma szkolnictwa spowoduje, iż armia nauczycieli języka rosyjskiego w NRD pozostanie bez pracy. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 5.06.)

■ BERLIN. W maju br. uciekło do NRD 197 Żydów ze Związku Sowieckiego. (TAGESZEITUNG, 6.06.)

■ BERLIN. Z dniem 1 czerwca br. może ponownie rozpocząć oficjalne działanie neofaszystowska Narodowa Partia Niemiec (NPD); władze alianckie Berlina Zachodniego nie przedłużyły zakazu upływającego dn. 31.05.90. (TAGESZEITUNG, 6.06.)

■ BONN. W maju br. 672 Polaków złożyło podanie o azyl w RFN. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 6.06.)

■ BEJRUT. Ofiarą 15-letniej wojny domowej w Libanie padło ponad 40 tys. dzieci. (SÜDEUTSCHE ZEITUNG, 6.06.)

■ PRAGA/WIEDEŃ. Rządy Czechosłowacji i Austrii planują utworzenie wspólnych patroli granicznych mających zwalczać nielegalnych handlarzy dziełami sztuki, handlarzy narkotyków oraz wyłapywać Wietnamczyków, którzy nielegalnie przekraczają granicę uciekając do Austrii. (TAGESSPIEGEL, 6.6.)

■ TOKIO. Japonia planuje w ciągu najbliższych 20 lat budowę 40 elektrowni atomowych. (FAZ, 6.06.) ■

Zbigniew Mikołajko

Powrót religii?

2 maja br., na 249 sesji plenarnej Konferencji Episkopatu Polski, biskupi "wypowiedzieli się jednomyślnie za pełnym powrotem nauki religii do szkół". Stanowisko Episkopatu zaskoczyło wszystkich. Rozgorzały spory i dyskusje, jedni byli "za", drudzy "przeciw", inni budowali rozmaite warianty kompromisu. Tyle tylko, że Kościół nie jest na kompromis podatny. I nie chodzi o wysoką hierarchię, która pospieszyła z deklaracjami dobrej woli wobec ludzi odmiennych przekonań i zapewnieniami o tolerancji. "Polskie społeczeństwo – stwierdził ks. Alojzy Orszulik – żyje w zasadzie wartościami chrześcijańskimi. Ten system wartości powinna uwzględniać szkoła, szanując jednocześnie przekonania rodziców dzieci, którzy tego systemu wartości nie przyjmują. W szkole nie mogą mieć miejsca wypadki nietolerancji."

Na niższych piętrach kościelnej hierarchii pojęcie tolerancji pojmowane jest jednak dość szczególnie. "Jestem zdania – napisał w liście do *Gazety Wyborczej* ks. dr Zdzisław Musialik z Radziejowa – że religia powinna nie tylko powrócić do szkół, ale że powinna być obowiązkowa dla wszystkich dzieci." I dodaje: "... mądrzy rodzice, nawet, gdy są ateistami, nie tylko nie zabronią dziecku uczęszczania na lekcje religii, ale zachęcą do tego. Nie zapominajmy, że najskuteczniejszym sposobem wyhodowania fanatyzmu i nietolerancji jest wychowanie człowieka w ignorancji wartości, którymi żyją inni ludzie."

Nic dziwnego, że wśród przedstawicieli mniejszości wyznaniowych narasta poczucie zagrożenia. W liście do premiera Mazowieckiego przeciwko wprowadzaniu religii do szkół wypowiedzieli się – z obawy przed dyskryminacją uczniów niekatolików i w przeświadczeniu, że jej nauczanie, stanowiące nieodłączny składnik misji Kościoła, nie powinno być przymusowe – zwierzchnicy siedmiu Kościołów zrzeszonych w Polskiej Radzie Ekumenicznej (m.in. protestanci, prawosławni, starokatolicy).

Z różnych względów przeciwko obowiązkowej nauce religii wypowiadają się także wybitni intelektualiści, pisarze, artyści i działacze polityczni. Przy czym, nie jest tu ważna orientacja: przeciwnikami przymusu szkolnego są ludzie prawicy zarówno liberalnej (Janusz Korwin-Mikke), jak i chadeckiej (Władysław Siła-Nowicki). Za obowiązkowym nauczaniem religii opowiada się właściwie tylko część prawicy "solidarnościowej" (Jarosław Kaczyński i Porozumienie Centrum) oraz tzw. prawica narodowa (np. Wiesław Chrzanowski, prezes ZChN), sprowadzając tę kwestię do spraw polityki i roli instrumentu w walce o pozycję, władzę. Instrumentu dogodnego, bo stoi za nim niepodważalny autorytet Kościoła i – w domniemaniu – katolicka większość społeczeństwa. "Przywrócenie religii w szkole – powiada mecenas Chrzanowski – będzie istotnym etapem w rugowaniu pozostałości narzuconego systemu komunistycznego." Natomiast senator Kaczyński cel ten uznaje za jeden z najistotniejszych politycznych wyróżników programu Porozumienia Centrum.

Bez sensu jest powoływanie się zwolenników nauczania religii w szkole na akceptację społeczną i masowość polskiego katolicyzmu. W pierwszym wypadku nie stoi za taką akceptacją żadne doświadczenie zbiorowe – po wojnie uczono religii w szkołach bardzo krótko. W drugim, deklarowana masowość praktyk religijnych i wyznawanej wiary nie prowadzi wcale automatycznie do akceptacji zasad katolicyzmu w całej rozciągłości, w tym wypadku – do przyzwolenia na naukę (i to obowiązkową) re-

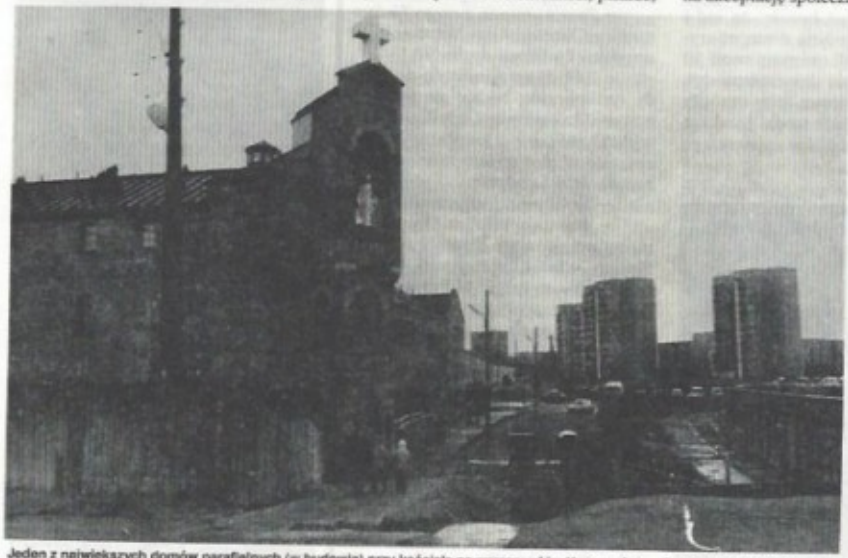

Jeden z największych domów parafialnych (w budowie) przy kościele na warszawskim Ursynowie fot. Jarosław M. Goliszewski

ligii w szkołach. Mamy wszak w Polsce "katolicyzm selektywny", to jest taki, którego zasady moralne i prawdy wiary, w praktyce i w deklaracjach, akceptowane są wybiórczo, w drodze budowania rozległych kompromisów między sytuacją życiową wyznawców i kościelnym nauczaniem. Tworzy się więc dramatyczny rozdział między autentycznymi postawami a religijną przynależnością.

Brakuje aktualnych danych na temat stosunku obywateli do obowiązkowej nauki religii w szkole. Można jednak sądzić, że aprobata ta nie przekroczy 50% społeczeństwa (tylu bowiem ludzi dopuszczało na jesieni ubiegłego roku wpływ Kościoła na szkolny program religioznawstwa) i nie będzie niższa niż 14-15% (tyle osób dopuszczało w tej samej ankiecie CBOP-u możliwość ingerencji Kościoła w pracę mass mediów i instytucji kulturalnych). Warto też zwrócić uwagę, że (według badań Zakładu Socjologii Religii "Pallotinum" z 1988 r.) w świadomości młodzieży religia jako wartość, która powinna być uznawana, zajmuje odległe, dziewiąte miejsce (z 47,7% aprobaty), przy czym uczniowie wymieniają ją jeszcze dalej — na dziesiątej pozycji (z 46,7%) i wyprzedza tylko "ideały socjalistyczne" (z 13,3%). Wszystkie inne wartości (prawda, wolność, godność, demokracja) w przypadku uczniów biją ją więc na głowę. Oczywiście stopień akceptacji religii w szkole będzie zależał od środowiska — silniejszy on będzie zapewne na wsi i w małych miasteczkach, niż w środowiskach wielkomiejskich, czyli takich, w których uznanie norm katolicyzmu nie przekracza w wielu wypadkach (nawet gdy chodzi o czynnych parafian) 50%. Są to zarazem ośrodki bardziej pluralistyczne, bardziej podatne na funkcjonowanie różnych wartości odmiennych, o większej skłonności do tolerancji, a przynajmniej obojętności. Jednocześnie istnieje w nich większa możliwość wyborów, np. przeniesienia dziecka ze szkoły "zarażonej" fanatyzmem do innej.

Brak doświadczenia własnego w nauczaniu religii w szkole usiłuje się zastąpić — i jest to istotna sfera manipulacji — doświadczeniem cudzym, czyli niby tej Europy, do której mamy jakoby powrócić. 13 maja br. w kazaniu na Skałce Prymas Polski kardynał Józef Glemp powołał się na przykład "państw o wysokim stopniu cywilizacji, takich jak Włochy, Hiszpania, Niemcy, Anglia, Norwegia i Szwecja, gdzie wychowanie religijne łączą ze szkołą". Ale gdyby pójść wskazanym tropem, okazałoby się, że zmierzamy w kierunku odmiennym, niż owe "cywilizowane kraje". W Norwegii i Szwecji, a także w RFN nauka religii jest nadobowiązkowa. Innowiercy mają możność uczenia się jej w gminach wyznaniowych, pozostali mogą korzystać z alternatywnych lekcji etyki (Niemcy) lub religioznawstwa (Skandynawowie). W RFN (gdzie dwa lata temu zmiany wymusiła niska frekwencja na religii) nauczycielami są wyłącznie teologowie świeccy (luteranie i katolicy), niezależni od Kościołów materialnie i organizacyjnie. W Anglii uczestnictwo w nauce religii nie jest także obowiązkowe, a jego kształt zależy od dyrektora szkoły, nauczycieli, miejscowego kościoła, władz lokalnych (rozpiętość form jest bardzo duża — od katechizacji do religioznawstwa). Na bliższą uwagę z polskiego punktu widzenia zasługują Hiszpania i Włochy: oba kraje nominalnie katolickie, oba z doświadczeniem totalitaryzmu. Tyle tylko, że w odróżnieniu od Polski obowiązkowa nauka religii była tam dziedzictwem upadłych reżimów. Hiszpania usunęła religię ze szkół dziesięć lat temu i upaństwowiła szkolnictwo (w czasach Franco było ono własnością Kościoła). We Włoszech obowiązkowa nauka religii (na mocy tzw. układów lateraneńskich, czyli konkordatu zawartego przez Mussoliniego z Watykanem), trwała do 1988 r. Obecnie nauka ta jest nieobowiązkowa, a w szkołach średnich zależy od woli uczniów, nie zaś rodziców. We Włoszech (podobnie zresztą jak we Francji) istnieje bardzo wiele szkół prywatnych, głównie katolickich, co rozwiązuje w znacznym stopniu sytuacje konfliktowe.

I jeszcze jedno: religia w polskich szkołach może pojawić się w sytuacji szczególnej — masowego postkomunistycznego lęku, w aurze zawiedzionych nadziei i nowych obaw przed zmianami, przed ekonomicznym niepowodzeniem, sporych odłamów społeczeństwa. A "Człowiek postkomunizmu — pisze ks. prof. Józef Tischner w *Przeglądzie Katolickim* — nie tylko podejrzewa wszystkich o zdradę, ale podejrzewa również, że inni jego podejrzewają... W zarażonej komunistycznymi strukturami wyobraźni łatwo znajdują pokarm stare przesądy: nacjonalizm, ksenofobia, antysemityzm, populizm i nieutulona tęsknota za wczorajszymi obietnicami, które się nie spełniły."

Zbigniew Mikołajko

Warszawa, kościół św. Zygmunta

fot. Jarosław M. Goliszewski

Anna Stelmasiak

Bezrobocie w Polsce

Do 30 maja br. biura pośrednictwa pracy zarejestrowały w całej Polsce 443,2 tys. bezrobotnych, co – wyłączając rolnictwo indywidualne – odpowiada 3,29% ogółu zatrudnionych w gospodarce narodowej. Przeszło 40% spośród bezrobotnych to ludzie, którzy przez co najmniej trzy ostatnie miesiące nie pracowali. Wielu z nich nie pracowało nigdy. Dzisiaj, jak wszyscy bezrobotni, korzystają z przyznanych im zasiłków. Najniższe zasiłki wynoszą 120 tys. zł, najwyższe nie mogą przekroczyć 735 tys. zł miesięcznie.

Zapowiedzi zwolnień grupowych w bliskiej przyszłości zgłosiło 6900 zakładów. Zwolnień tych najwięcej będzie w województwach: warszawskim (do zwolnienia 29.506 osób), katowickim (24.033), rzeszowskim (13.912) i kieleckim (12.575), są one przewidziane do końca sierpnia. Najliczniejsze zwolnienia z pracy, rzędu 1000-4000 osób, zapowiedziały kopalnie "Jaworzno" i "Nowa Ruda" w woj. wałbrzyskim, WSS "Społem" i WPHW w Katowicach, a także warszawskie Zakłady Radiowe im. Kasprzaka.

Fundusz Pracy, z którego są wypłacane, stanowi 0,66% dochodu narodowego (na Zachodzie od kilkunastu do 20%).

Najwięcej bezrobotnych zarejestrowało się w województwach: katowickim, łódzkim, bydgoskim, olsztyńskim i kieleckim. Przeszło 42 tys. bezrobotnych straciło pracę z "przyczyn leżących po stronie zakładu pracy".

Niepokojącym zjawiskiem stało się zwalnianie z pracy wysoko kwalifikowanych specjalistów, w tym wielu dyrektorów. W przedsiębiorstwach podległych ministrowi przemysłu odwołano w I kwartale br. 10% dyrektorów naczelnych. Gdyby proces ten posuwał się w dotychczasowym tempie, 40% dyrektorów straciłoby pracę jeszcze w tym roku. Wielu dyrektorów powinno odejść ze względu na brak kompetencji. Jednak coraz częściej uchwalane jest wotum nieufności wobec dyrektorów, którzy proponują redukcję personelu lub zwolnienia masowe. Ci "zawodowcy" o predyspozycjach menadżerskich bywają zastępowani przez mało wymagających, uległych związkom i radom pracowniczym, kolegów. Z punktu widzenia "zdrowia ekonomicznego" przedsiębiorstw, dla których konieczne jest uwolnienie się od zbędnego personelu, tego typu praktyki są zabójcze.

Kilkadziesiąt tysięcy bezrobotnych specjalistów to przede wszystkim rezultat braku postępu technologicznego. Przyjmuje się do pracy robotników wykonujących niskokwalifikowane, proste czynności, natomiast zwalnia inżynierów informatyków, automatyków, elektroników i specjalistów z innych, "awangardowych" dziedzin. Bezrobocie wśród tzw. fachowców, czyli specjalistów na stanowiskach robotniczych, szacowane na 120 tys. osób, potwierdza tę niepokojącą tendencję. Jednocześnie wyraźnemu zmniejszeniu ulega zatrudnienie ludzi zawodowo zajmujących się organizacją pracy.

Częste są również paradoksy: z jednej strony występuje wysokie bezrobocie np. wśród ekonomistów, z drugiej właśnie ekonomiści o wysokich kwalifikacjach (obsługa komputerów, znajomość języków obcych, gotowość do podejmowania samodzielnych decyzji itd.) są poszukiwani do objęcia dobrze płatnych stanowisk, związanych z marketingiem czy obsługą nowych systemów finansowych. W tym wypadku chodzi o rzeczywiste – a nie formalne, "papierkowe" – kwalifikacje specjalistów, ich aktualny poziom wiedzy i umiejętności. Wielu dyplomowanych inżynierów i magistrów ze względów ambicjonalnych i również w obawie przed obniżeniem swojej "wartości handlowej", w ogóle nie rejestruje się w biurach pośrednictwa pracy.

Najgorsza, przynajmniej statystycznie rzecz biorąc, jest sytuacja kobiet. Na jedno wolne miejsce pracy

przypada ich trzy razy więcej niż mężczyzn. Liczba ofert pracy dla kobiet stanowi 21% wszystkich ofert, z tego 6.930 (77,5%) to propozycje stanowisk robotniczych. Ale też aż 47% z 201,6 tys. bezrobotnych kobiet nie przepracowało nawet 3 miesięcy przed zarejestrowaniem się. Znaczna część pojawia się w biurach pośrednictwa jedynie po zasiłki, nie mając intencji podjęcia jakiejkolwiek pracy.

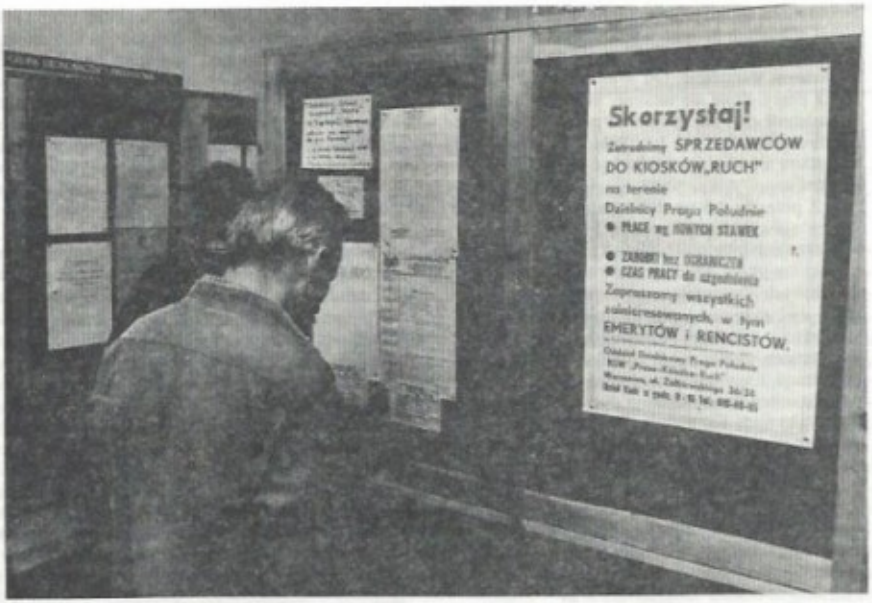

"Kobiety ambitne" straciwszy pracę dającą wiele satysfakcji osobistych i zawodowych, bezskutecznie szukają czegoś na podobnym poziomie. Barbara B., lat 35, mieszkanka Warszawy, wykształcenie wyższe historyczne, nigdy nie pracowała jako historyk, zajmowała natomiast "odpowiedzialne stanowisko" w zakładzie administracyjnym, który uległ likwidacji, od końca kwietnia poszukuje atrakcyjnej pracy "w swoim zawodzie". Rola gospodyni domowej odpowiada jej "wyłącznie na krótką metę". Małgorzata J., lat 28, narzeka na skostniałe układy personalne w uczelni, w której pracowała 4 lata i na "politykę pozbywania się pracowników, gdy brakuje pieniędzy na pensje". Usunięta z "tej tylko przyczyny", nie otrzymała żadnych propozycji. Maria D., po farmacji i Krystyna F., po studiach medycznych, bezskutecznie poszukują pracy w jednym z miast wojewódzkich. Praca dla lekarzy bez "odpowiednich układów" jest — jak twierdzą — nie do załatwienia.

Są też inne ambicje i sytuacje. Maria M., lat 46, wykształcenie podstawowe. Jej 35-letni mąż nie pracuje, Maria musi więc utrzymać jego, siebie i dziewięcioro dzieci w wieku od półtora do 15 lat. Pracowała "na etacie" do kwietnia tego roku. Skierowana została do tzw. prac interwencyjnych i natychmiast tę propozycję przyjęła. Barbara K., 32 lata, matka sześciorga dzieci od roku do 9 lat, rozwiedziona. Pracowała w "różnych miejscach przez ponad 10 lat". Ostatnia umowa o pracę "wygasła". Oferowany jej etat sprzątaczki dostał jednak ktoś inny. W jednym ze szpitali odmówiono jej pracy w charakterze salowej ze względu na "brak predyspozycji do zawodu". Utrzymuje rodzinę z zasiłku dla siebie i na dzieci. Iwona D., lat 27, panna, wykształcenie podstawowe, pracowała jako pomoc kuchenna do sierpnia 1989 r. Jest w zaawansowanej ciąży i nie ma szans na pracę.

Utrata pracy przez mężczyzn wiąże się nie tylko ze wstrząsem psychicznym ale również z utratą pozycji w rodzinie. "Czuję się nie jak głowa rodziny ale gorzej niż noga" — powiedział Marek K., absolwent Politechniki Warszawskiej, specjalność: organizacja techniki transportu wewnętrznego i magazynowania. Gdy w 1983 r. kończył studia, miała to być specjalność szczególnie przydatna w rozwoju przemysłu. Bezrobotny od marca br. z powodu likwidacji jego stanowiska. Utrzymywany przez żonę, co wywołuje u niego rozgoryczenie, choć — jak twierdzi — "żona nie ma pretensji". Podobnie czuje się Paweł S., lat 28, z zawodu technik-mechanik. Pracował od 1985 r., zwolniony z grupą specjalistów "nie umie żyć bez pracy". Słysząc o zwolnieniach nie przypuszczał, że i jego kiedyś to może spotkać. "Musi sobie coś koniecznie znaleźć, bo również żona jakoś dziwnie patrzy".

Stefan K., lat 60, inżynier elektryk, pracował w biurach projektowych, na budowach, potem był kierownikiem w prywatnym warsztacie. Od 3 miesięcy szuka pracy, czuje się fatalnie, uważa, że nadszedł czas dla młodych i przedsiębiorczych, i "za 2-3 lata Polacy ze wszystkim się uporają, trzeba być cierpliwym"...

Z przeszło 9,5 tys. bezrobotnych, którzy zgłosili się od stycznia br. do warszawskich biur pośrednictwa pracy, największą grupę wśród pracowników umysłowych stanowią inżynierowie elektrycy i elektronicy. Nie ustępują im specjaliści z dziedziny ekonomii (z wykształcenien wyższym i średnim) i administracji. Licznie reprezentowani są lekarze weterynarii, rolnicy z wyższym wykształceniem (!), a poza Warszawą również prawnicy. W najbliższym czasie sytuacja na rynku pracy znacznie się pogorszy, bo przybędzie 310 tys. absolwentów szkół wszelkiego typu, a ofert na stanowiska nierobotnicze było na początku czerwca 5.280, w skali całego kraju.

Przewiduje się stosowanie ulg podatkowych oraz "innych bodźców", mających zachęcić zakłady pracy do zatrudniania absolwentów. Powstaje specjalna fundacja, a jednym z jej celów ma być program zapobiegania bezrobocia wśród ludzi młodych. Absolwentom, podobnie jak innym bezrobotnym, udzielane są i będą pożyczki na działalność gospodarczą (20-krotność przeciętnej płacy, możliwość umorzenia w 50%). W "najbliższym czasie" zorganizowane zostaną 6-8-miesięczne kursy marketingu, bankowości, maklerstwa, informatyki i ubezpieczeń, ponieważ specjaliści z tych dziedzin są najbardziej poszukiwani. Największy problem rysuje się z zatrudnieniem absolwentów studiów humanistycznych. Do niedawna bezrobocie wśród humanistów miało charakter raczej incydentalny (brakowało pracy dla dyplomantów najbardziej "egzotycznych" kierunków, na które nabór był mały). Obecnie, w ślad za zmianami w gospodarce i ono musi się ujawnić z całą mocą. Finansowane przez Ministerstwo Pracy i Polityki Socjalnej, być może do spółki z Ministerstwem Edukacji Narodowej, wspomniane wcześniej kursy mają dać szanse głównie umysłom "ścisłym". W powołanym przez min. J. Kuronia Banku Kadr też znajdą się ludzie o predyspozycjach menadżerskich, "sprawni organizacyjnie", poza tym już sprawdzeni w swoich zawodach. Do tej pory zgłosiło się przeszło 1300 osób, z czego tylko 1/3 odpowiada stawianym wymogom. Najczęściej zgłaszają się ekonomiści, informatycy, handlowcy i prawnicy.

Od 1 stycznia do 30 maja br. urzędy pośrednictwa skierowały do pracy 75,9 tys. bezrobotnych. Dla 1702 osób zorganizowano przyuczenie do zawodu krawca, szwaczki, maszynistki biurowej, księgowego, a także kierowcy i motorniczego tramwajów. Utworzono 34 tys. miejsc "pracy interwencyjnej", najwięcej w Katowicach, Legnicy, Wrocławiu i Lublinie. Jest to praca na poczcie, w przedsiębiorstwach gospodarki komunalnej i mieszkaniowej, zajęcia przy porządkowaniu terenu oraz takie, na które akurat jest zapotrzebowanie. Od początku roku udzielono 944 pożyczek przedsiębiorstwom (na tworzenie dodatkowych miejsc pracy) i 835 pożyczek bezrobotnym (na podjęcie działalności gospodarczej na własny rachunek). Wielu z nich już otworzyło sklepy spożywcze, konfekcyjne, z kosmetykami, zakłady ślusarskie, malarskie, fotograficzne, czy zdecydowało się np. na handel obwoźny.

W biurach pośrednictwa pracy brakuje nie tylko lokali czy nowoczesnego sprzętu, ale i (o ironio!) pracowników. W okresie lutowego szczytu na jedną zatrudnioną tam osobę przypadało średnio 100 interesantów i 40 rozmów telefonicznych dziennie. Szczególnie trudna jest sytuacja poza Warszawą. Nie ma pieniędzy na pożyczki, a szczątkowe informacje o potrzebach zakładów pracy uniemożliwia (np. w woj. lubelskim) prowadzenie kursów zawodowych. Działalność większości tych biur ogranicza się więc do rejestrowania bezrobotnych i wypłaty zasiłków. Zwraca się uwagę na nieścisłości w przepisach. Przy obecnym sposobie klasyfikowania zawodów często trudno sprecyzować własne kwalifikacje, co pozbawia bezrobotnych wielu atrakcyjnych ofert. Problemy te, dyskutowane w czasie narady wojewodów trzy miesiące temu, miały doczekać się rozwiązania. Przewiduje się też powołanie rad zatrudnienia na szczeblu rejonowych biur pracy, z zakresem działania analogicznym do wojewódzkich rad zatrudnienia (min. Kuroń przekazał już środki na utworzenie 800 etatów). Biura te mają być lepiej wyposażone i prowadzone.

W projekcie nowej ustawy o zatrudnieniu proponuje się ograniczenie prawa do zasiłku oraz jego wielkości osobom, które pracę porzuciły, odmówiły przekwalifikowania się lub podjęcia "prac interwencyjnych". Proponuje się też wypłacanie zasiłków dla bezrobotnych przez okres nie dłuższy niż 12 miesięcy. Wprowadzone mają być obowiązkowe badania lekarskie, orzekające o przydatności do pracy.

W porównaniu ze styczniem, wzrost liczby bezrobotnych w maju był przeszło siedmiokrotny. Nie odpowiada to jednak skali spadku produkcji materialnej. Porównując spadek zatrudnienia, spadek produkcji (ok. 25%) i wydajności pracy, bezrobotnych powinno być o 700 tys. więcej. Zwolnienia pracowników na dużą skalę mogą więc dopiero nastąpić...

Anna Stelmasiak

Zdjęcia Jarosław M. Goliszewski

Powrót do Seulu

rozmowa z Jędrzejem Krakowskim, ambasadorem RP w Korei Płd.

– Dlaczego właśnie Panu zaproponowano stanowisko ambasadora w Republice Korei?

– Myślę, że decydującym powodem było to, że jestem jednym z niewielu polskich ekonomistów znających ten kraj. W 1988 r. przez parę miesięcy pracowałem w renomowanym Koreańskim Instytucie Rozwoju w Seulu, gdzie wszyscy pracownicy mają doktoraty zrobione na najlepszych amerykańskich uniwersytetach.

– Jak Pan trafił do tego Instytutu?

– W latach 1986-87 pracowałem w Brookings Institution w Waszyngtonie, zajmowałem się sprawami przystąpienia Polski do Międzynarodowego Funduszu Walutowego, problemami wyjścia Polski z zadłużenia. Ponieważ Republika Korei mogłaby tu być dla nas wzorem, byłem częstym gościem koreańskiego Instytutu, który w Waszyngtonie miał swój udział. Potem, czekając na objęcie stanowiska na uniwersytecie w Canberrze, miałem parę miesięcy czasu, więc skorzystałem z nawiązanych kontaktów i wyjechałem do Seulu. Mój pobyt sfinansowało International Cultural Society of Korea. Kiedyś szef tej fundacji opowiadał mi, jak znakomite osoby korzystały z jego pomocy, więc zapewniłem go, że jeśli chodzi o mnie, to też dobrze zainwestował swoje pieniądze. Miałem na myśli wykorzystanie w kraju zdobytej w Seulu wiedzy i doświadczeń. Do głowy mi wówczas nie przyszło, że wrócę do Korei w charakterze ambasadora.

JĘDRZEJ KRAKOWSKI (l. 50), żonaty, córka, wnuczka, absolwent Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Krakowie, dr nauk ekonomicznych, b. działacz ruchu samorządowego w Polsce, pracownik Akademii Ekonomicznej w Katowicach, z której w stanie wojennym został wyrzucony. Internowany, do stycznia br. przebywał za granicą, pracując na amerykańskich i australijskich uniwersytetach. Autor monografii "Wymienialność walut. Zasady i praktyka międzynarodowego funduszu walutowego". (fot. Jarosław M. Goliszewski)

– Czy w 1984 roku wyjeżdżając z Polski na stypendium do Australii wyjeżdżał Pan z kraju na zawsze?

– Nigdy nie myślałem o emigracji. Wyjechałem z Polski w sytuacji dość skomplikowanej. Byłem internowany, usunięto mnie z uczelni, byłem bez pracy, żyłem z pomocy i wsparcia finansowego "Solidarności" i kolegów z SDP. Z ochotą więc skorzystałem z pierwszego stypendium zagranicznego. Nawiasem mówiąc, część mojej pierwszej pensji australijskiej odesłałem do kraju, jako zwrot pobieranej zapomogi. Nie wyobrażałem sobie życia poza krajem. Może dlatego będąc za granicą cały czas zajmowałem się sprawami polskimi. Mógłbym powiedzieć za Nowakiem-Jeziorańskim, który na pytanie "Kiedy pan wyjechał z kraju?" odpowiedział: "Ja nigdy stąd nie wyjeżdżałem". Byłem w Australii współorganizatorem i doradcą biura "Solidarności", które było agendą biura w Brukseli. Ostatnio też uczestniczyłem w zakładaniu "The Australian »Solidarity« with Poland Found", które dzięki Polakom w Australii rozwija się całkiem nieźle, jakby na przekór nagonkom organizowanym przez niektórych działaczy polonijnych. Na uniwersytecie uchodziłem za specjalistę od krajów Europy Wschodniej i nawet jesienią 1988 r. wysłano mnie służbowo do Polski. Pamiętam, że wtedy przyjaciele w rozmowach ze mną używali dwóch argumentów: "żyjesz za granicą, to widzisz problemy wyraźniej" oraz "niczego nie rozumiesz, bo żyjesz za granicą".

– W Canberrze miał Pan ciekawą pracę, ustabilizowane życie prywatne, dom, rodzinę. Co się stało, że w styczniu zdecydował się Pan zerwać uniwersytecki kontrakt, spakować się i wrócić do kraju?

– Dodam, że miałem jeszcze 10 minut jazdy samochodem do kryształowo czystej rzeki, żyłem wśród nieskażonej przyrody i czasem zdarzało mi się żałować, że nie jestem Australijczykiem. Przyjechałem do Polski, bo zadziałał imperatyw współczestnictwa, czułem, że tu będę bardziej potrzebny, a jeśli chodzi o pracę, to byłem pewny, że otrzymam wiele interesujących propozycji.

– Otrzymał je Pan?

– Tak.

– Jakie to były propozycje?

– Tego nie mogę powiedzieć.

– Czy czuje się Pan przygotowany do objęcia stanowiska ambsadora?

– Do tej pracy przygotowuje mnie MSZ. Przeszedłem już intensywny, tygodniowy kurs w dobrym towarzystwie mecenasa de Virion, Jacka Balucha, Tomasza Jastruna, Bolesława Michałka, na którym wprowadzono nas w tajniki służby dyplomatycznej. Wiem już, że będę musiał nabrać pewnych nowych przyzwyczajeń, bo mam naturę raczej wojownika niż dyplomaty, nigdy też nie byłem

dokończenie na str. 57

Roman Śmigielski

»Pieriestrojka«, czyli rozkład

W połowie maja, w muzeum sztuki nowoczesnej Louisiana w duńskiej miejscowości Humlebaek, odbyła się konferencja zatytułowana "Pieriestrojka i skandynawska droga". Przed dwoma laty, w tym samym miejscu odbyło się spotkanie literatów z ZSSR i z emigracji (pisałem o nim na łamach *Poglądu* – nr 146/147). Podobnie jak wtedy głównym mówcą ze strony sowieckiej był profesor historii, Jurij Afanasjew. O ile przed dwoma laty, był on jeszcze zagorzałym zwolennikiem "pieriestrojki", to teraz wydaje się być godnym następcą Andrieja Sacharowa. Goście sowieccy okazali się delegatami parlamentarnej opozycji. Podkreślali oni, że zachodnie zachwyty nad Gorbaczowem są całkowicie niezrozumiałe dla ludzi żyjących w ZSSR. Wszystkie te "Gorbomanie" i "Gorbazmy" (szczególnie podczas ostatniej wizyty Gorbaczowa w RFN), doprowadziły do tego, że jakakolwiek krytyka jego poczynań ze strony opozycji spotyka się ze sprzeciwem na Zachodzie: "Przecież macie »głasnost«, wybrano was do parlamentu, możecie wyjeżdżać na Zachód. Czego jeszcze chcecie? Uspokójcie się, przestańcie przeszkadzać Gorbaczowowi, który sprawi, że ZSSR powoli stanie się częścią cywilizacji."

Jurij Afanasjew, współzałożyciel tzw. grupy międzyregionalnej w parlamencie sowieckim, który przed miesiącem wypisał się z KPZS, uznaje historyczne zasługi Gorbaczowa, ale dodaje natychmiast, że "pieriestrojka" się skończyła i bez zmiany fundamentu jest ona tylko próbą zachowania socjalizmu w wersji bolszewickiej. To właśnie prowadzi do napięć i kolizji, o których ludzie na Zachodzie nie chcą słuchać. To, co Gorbaczow teraz robi, nie służy ani jemu, ani społeczeństwu. Afanasjewowi nie wydaje się, aby 28 Kongres KPZS miał jakiekolwiek znaczenie, gdyż jego zdaniem rola partii komunistycznej jest już zakończonym rozdziałem w historii ZSSR. Partia staje się stowarzyszeniem ludzi starych, którzy w przyszłości nie będą mieli żadnego wpływu na życie w ZSSR. Główne błędy Gorbaczowa to nieadekwatne reakcje na wydarzenia w republikach, nieumiejętność, niechęć i niemożność widzenia, jakich zmian potrzeba w gospodarce, aby wydostać się z bolszewickiej formy socjalizmu, a także

nieumiejętność odnoszenia się do opozycji, do mniejszości. Jego zachowanie się i polityka zdominowane są tonem "pana i władcy". Wszystkie jego działania mają charakter monologiczny. Nieumiejętność dialogu stoi w sprzeczności z tym, co on sam deklaruje. Właśnie jego "nowe myślenie" wymaga dialogu. Dzisiejszą sytuację określa Afanasjew następująco: "Jeszcze do niedawna siedzieliśmy wszyscy w Gułagu, w tej chwili przekraczamy właśnie jego bramy. Cieszymy się z tego, ale jest to radość więźnia."

Natomiast Galina Biełaja, profesor literatury, nie owija niczego w bawełnę: "U nas nie ma »pieriestrojki«, tylko rozkład sowieckiej cywilizacji".

Receptę gospodarczą podał banalnie i prosto szwedzki minister finansów, Kjell Olof Feldt. Brzmi ona być może banalnie i prosto, ale jak się okazuje (również w Polsce) są kłopoty z konsekwentnym jej wprowadzaniem: "Gdybym był ministrem finansów w gospodarce planowej, która jest w głębokim kryzysie, wprowadzałbym gospodarkę mieszaną, opartą o nowy, brutalny podział zysków i własność prywatną. Skończyłbym z systemem sztucznego określania cen. Trzeba przejść do gospodarki rynkowej,

Dla ludzi żyjących w ZSSR zachwyt nad Gorbaczowem jest niezrozumiały: na zdjęciu Raisa Gorbaczowowa z żoną kanclerza, Hannelore Kohl podczas ostatniej wizyty Gorbaczowa w RFN.

gdzie ceny odzwierciedlają faktyczne koszty produkcji plus zysk, który jest do zaakceptowania na skalę międzynarodową. Nam w Skandynawii wypracowanie takiego systemu zajęło 100 lat." Feldt podkreślił, że jeśli chodzi o "pieriestrojkę" – jest pesymistą. W Polsce przygotowywano się do tego 10 lat. Polska odnowa zaczęła się od dołu. "Solidarność", jako ruch narodowy, przyjęła na siebie brzemię odpowiedzialności. W ZSSR góra chce wymusić ogromne ofiary i zmiany na opornej ludności.

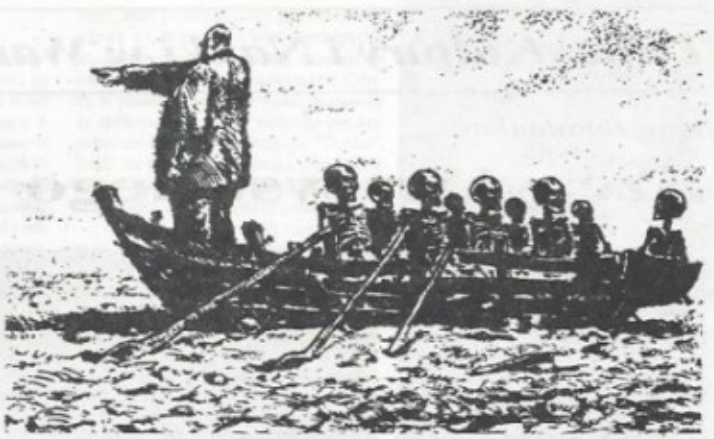

Wicedyrektor Zakładów Samochodowych "Lada", Aleksander Jasinskij, widzi to podobnie, choć może ostrzej: "Ta konferencja udowodniła, że ZSSR potrzebuje radykalnych zmian w gospodarce. Polska jest tu dobrym przykładem. Rząd Mazowieckiego ma społeczne zaufanie. Rząd Ryżkowa na takie zaufanie liczyć nie może. Rząd Ryżkowa jest niekompetentny i nie ma żadnego autorytetu. Dlatego takie radykalne kroki jak w Polsce – terapia szokowa – nie są w ZSSR możliwe. Gdybyśmy na coś takiego poszli w 1986 roku, dziś mielibyśmy mniej lub więcej normalną gospodarkę. Teraz wszystko się rozlatuje. W pierwszym kwartale br. zanotowaliśmy spadek produkcji. W zeszłym roku, mimo że nie było spadku produkcji, sklepy były puste. Nie działają żadne mechanizmy rynkowe – wszystko jest nadal na kartki, bony i asygnaty." Na pytanie, ile jeszcze zostało czasu, Jurij Afanasjew odpowiedział, że czasu już nie ma. Litwa, Tbilisi, Erewań, Baku, Fergana – to nie są epizody, to coraz dłuższy łańcuch. Prawdopodobieństwo eksplozji stale rośnie. Dlatego też trzeba działać natychmiast, a tak się nie dzieje.

Igor Griazin, prawnik z Estonii, również należący do grupy międzyregionalnej parlamentu, też nie ma zaufania do rządu Ryżkowa: "Wychodzimy z założenia, że wszystkie umowy podpisane przez obecny rząd nie zostaną dotrzymane". Przykładem jest sprzeciw Moskwy na podniesienie cen wódki, piwa i tytoniu wprowadzonych przez rząd Estonii, w wyniku suwerenności gospodarczej uzyskanej przez kraje nadbałtyckie w styczniu br. Jednocześnie ZSSR zwrócił się do rządu Mazowieckiego o podanie wysokości długu Litwy i Estonii w stosunku do Polski. "Czyli zostaniemy przejęci jako masa upadłościowa". Igor Griazin choć jest członkiem komisji konstytucyjnej Najwyższego Sowietu ZSSR, nie dostaje dokumentów tej komisji, ani też nie jest wzywany na jej posiedzenia. Przykładem oficjalnego bezprawia jest blokada Litwy. W związku z blokadą Armenii przez Azerbejdżan, Najwyższy Sowiet uchwalił prawo zabraniające blokad i nazwał takie metody terroryzmem. Pierwszym, który to prawo złamał, okazał się prezydent ZSSR, wprowadzając blokadę Litwy. Wracając do głównego tematu konferencji, Aleksander Jasinskij stwierdził, że Dania i ZSSR postawiły sobie to samo zadanie: "My zaczęliśmy budowę socjalizmu w 1917 roku. Nasz eksperyment się nie powiódł. Natomiast udał się duński eksperyment budowy socjalizmu. Na samym początku, za Lenina, w okresie NEP-u o takim właśnie socjalizmie myśleliśmy – z jednej strony wolność dla prywatnej inicjatywy, z drugiej strony wysoki stopień zabiezpieczeń socjalnych. Ale duński socjalizm jest bardzo drogi. Duńczycy dobrze pracują i dlatego dobrze żyją, a mimo to mają za granicą dług w wysokości 50 miliardów dolarów. Jakbyśmy u nas wprowadzili duński socjalizm, doprowadzilibyśmy cały świat do bankructwa."

Anatol Pankow z moskiewskiego Sowietu wyraził się bardziej precyzyjnie: "Łatwiej przenieść do ZSSR zamek Hamleta (leżący 10 km na północ od Humlebaek) niż model skandynawski. Ale metodę użytą do tworzenia tego modelu, możemy użyć w »pieriestrojce«, gdyż głównym jej celem jest socjalne zabezpieczenie ludności."

Profesor Jurij Ryżow użył natomiast następującej analogii: "Wyobraźmy sobie, że lecimy samolotem, który ma automatycznego pilota. Gdy ustawimy kurs i cel, automatyczny pilot wykonuje korekty, gdy występują jakieś turbulencje. Te korekty sprawiają, że samolot nie leci prosto. Tak leci samolot skandynawski. Nasz, sowiecki samolot ma problemy ze startem i start może zakończyć się katastrofą."

Mieszkający w RFN Chronid Liubarski stwierdził, że skandynawski socjalizm (chyba miał – podobnie jak inni – na myśli Szwecję, bo zarówno w Danii, jak i w Norwegii od dłuższego czasu rządzą konserwatyści) jest w ZSSR bardzo popularny i staje się jakby nową religią (podobnie wygląda to wśród niektórych polityków w Polsce) i w związku z tym największą tragedią Związku Sowieckiego jest brak wiedzy i wykształcenia, jeśli chodzi o socjalne i polityczne myślenie.

Na zarzuty bezkrytycznego uwielbienia Gorbaczowa na Zachodzie starał się odpowiedzieć redaktor naczelny szwedzkiego dziennika *Dagens Nyheter*, Afne Ruth. Do tej pory Zachód miał konkretne korzyści z Gorbaczowa. Doprowadzenie do rozbrojenia, demokratyzacja państw Europy Środkowowschodniej nie byłyby bez Gorbaczowa możliwe. Dlatego też patrzymy na niego pozytywnie. Nie widzimy tego, co przeżywają obywatele ZSSR – proces reform, może z wyjątkiem wolności słowa, nie doprowadził do żadnych zmian.

Galina Biełaja podsumowała konferencję dość optymistycznie, co stanowiło kontrast do pesymizmu większości delegatów z ZSSR. "Po powrocie z tej konferencji powiemy, że jeśli jest to możliwe w Danii, to znaczy, że to w ogóle jest możliwe."

Roman Śmigielski

Pałac Kultury i Nauki w Warszawie

Ewa Ratulanka

Szczyt wszystkiego

Otrzymaliśmy go w darze, jako "symbol wieczystej, nienaruszalnej przyjaźni", tak to przynajmniej ujęto w "Protokole o nieodpłatnym przekazaniu przez rząd ZSSR rządowi PRL gmachu wysokościowego ("wysotnogo zdanija") – Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie". Dokument ten podpisali 21 lipca 1955 r. na Placu J. Stalina, dziś Defilad, premier Cyrankiewicz i ambasador Ponomariénko. Symbol przyjaźni swoim ogromem, brzydotą i obcością przytłoczył miasto i w pierwszym roku swego istnienia, jak chce anegdota, rozżarzył się na iglicy nie od pioruna, tylko z powodu gromów ciskanych pod jego adresem. Felietonista *Tygodnika Powszechnego* nazwał go szczytem wszystkiego. Tadeusz Konwicki pisał o nim: "ogromna, spiczasta budowla, budząca strach, nienawiść i magiczną grozę" oraz "pomnik pychy". Wyjątkowo nie lubił go Stefan Kisielewski, wymyślał pałacowi, że jest kościołem nowej wiary, marksistowską cerkwią, bezdusznym molochem, nowoczesnością mniemaną. Jerzy Kosiński, pochodzący z Polski pisarz mieszkający w Stanach Zjednoczonych, nie lubił pałacu za "inwazję w przestrzeni". Kiedy po 30 latach nieobecności przyjechał z wizytą do Warszawy, przeżył szok: "Jaki ten pałac jest mały!"

* * *

Wszystko było pomyślane z takim rozmachem, żeby świat to zauważył. Najpierw wybudowano specjalne osiedle-miasteczko Jelonki, w którym zamieszkało 3500 budowniczych sowieckich – te drewniane slumsy stoją do dziś. Potem przyjechało 1000 wagonów ze wschodu z materiałami budowlanymi pochodzącymi również z Polski. Wszystko odbywało się w rekordowym tempie: 29 kwietnia 1952 r. rozpoczęto usuwanie min, gruzów i prowadzenie badań geologicznych, 2 maja kopano już ziemię pod fundamenty, 15 czerwca wykop był gotowy i w ciągu następnych 15 miesięcy stanęła skorupa pałacu. Potem zamontowano iglicę i wykańczano wnętrza.

Pałac ma wysokości 230,68 m i jest najwyższym budynkiem w Polsce. Sama

iglica, wyłożona od zewnątrz żółtymi lustrami mierzy 43,75 m. Na 42 kondygnacjach nad ziemią i 2 pod ziemią znajduje się 3288 pomieszczeń o powierzchni 12,3 ha i kubaturze 817 tys. m³. Razem z Placem Defilad pałac zajmuje 36 hektarów ziemi w środku miasta.

Takimi "pałacami" Moskwa chciała uraczyć wszystkie siedem "bratnich stolic". Prażanie ukryli swój kawałek Moskwy za jednym ze wzgórz i nie pokazują go turystom, niektórym w ogóle udało się wymigać od przyjęcia daru. Warszawa miała najmniej szczęścia – "stalinowski barak" przez długie lata uchodził za jeden z jej symboli.

* * *

Najpierw przeznaczony był dla lepszych. Pracowników wpuszczano za przepustkami, zwiedzać go mogli tylko wyróżniający się przodownicy pracy w zorganizowanych grupach. Powołano w tym celu specjalne Biuro Przewodnickie. Na początku 1954 r. Bierut podpisał uchwałę prezydium rządu nr 30, według której dyrektora pałacu powoływał i odwoływał sam premier, zastępców dyrektora mógł powołać zwykły szef Urzędu Rady Ministrów, natomiast pozostałych pracowników byle minister. Gmaszysko sprawiało wrażenie najbardziej strzeżonej twierdzy i może stąd wzięło się tyle domysłów na temat jego podziemi. Ludzie mówili, że są tam więzienia, miejsca kaźni, a pod trybuną rządową zbudowano wielki schron, połączony z pałacem i budynkiem KC PZPR. Nikt tego dziś nie potwierdza. Istnieje połączenie techniczne z pomieszczeniami pod trybuną: są to dwie sale o pow. 200 m^2, od dołu wyłożone boazerią, na górze obite materiałem, plus dwie łazienki, w sumie nic wielkiego. W piwnicach płynie strumyk, którego nie udało się skierować w inne koryto, i mieszka tam mnóstwo kotów.

* * *

Bratni podarunek miał być nie tylko najpiękniejszy, ale miał też zawierać w architekturze polskie tradycje, toteż główny projektant pałacu, Lew Rudniew, przywiózł ze sobą grupę kolegów, którzy rozjechawszy się po kraju "podpatrywali". W efekcie wszystko, co pałac ma poprzyklejane, to zlepek elementów "klasycznych", ruskich i polskich. Np. attyki na bocznych skrzydłach są żywcem wzięte z krakowskich Sukiennic, kasetony w salach – z Wawelu, baldachim Sali Kongresowej mieni się pasami słuckimi. Rzeźby, w niszach na zewnątrz pałacu, przywiezione zostały ze wschodu: sylwetki wielkie, umięśnione, z grubymi karkami, na modłę socrealizmu, ale zatrzymane w klasycznych pozach. Na suficie sali im. Broniewskiego wymalowane są atletyczne kobiety w powłóczystych szatach, które z taką czułością trzymają w rękach koła zębate, jakby to była cytra. "Russkaja Grecja" – określił te cuda Kisielewski.

* * *

Ogromne cielsko pałacu czynne jest niemal całą dobę, a w jego labiryntach można się nieźle zadekować, toteż ciągną tu przeróżni ludzie, w tym wielu podróżnych z pobliskiego Dworca Centralnego, żeby posiedzieć czy zdrzemnąć się gdzieś za kotarą. Ochrona przepędza studentów, którzy grywają nocami w karty, narkomanów i bezdomnych. Gdyby w pałacu był jeszcze hotel, można by tu spokojnie mieszkać, wszystko jest bowiem na miejscu. Restauracja "Trojka", barki na piętrach, biblioteki, trzy teatry, sale wystawowe, punkty medyczne, basen, łazienki, poczta i straż pożarna.

Pałac przyciąga i jest nawet obiektem kultu, posiadając nadprzyrodzoną moc; wielu ludzi pisze listy: "Kochany Pałacu, załatw mi..." – życzenia są różne, proszą o pracę, o rozmowę ze świętym Mikołajem, który mieszka na najwyższym piętrze, a pewien fizyk chciał dostać lokum pod iglicą, bo "zamierza liczyć pioruny".

Przyciągał też samobójców, póki nie założono krat. W sumie siedem osób wyskoczyło, w tym para narzeczonych, którym rodzice nie pozwolili się pobrać. Wyskoczyli trzymając się za ręce, ale przedtem zdjęli buty.

Pałac przyciągnął również uwagę pewnego studenta szkoły pożarniczej, który napisał o nim pracę magisterską oraz pewnej pani, która codziennie przychodzi i uskarża się, że nie może spać z powodu promieniowania iglicy.

* * *

Przekazany nam "gmach wysokościowy" miał skupiać najważniejsze wydarzenia polityczne, kulturalne i naukowe. Pierwszym oficjalnym gościem zagranicznym był Nikita Chruszczow, ale po czerwonym dywanie wchodził tylko szach Reza Pahlavi. W Sali Kongresowej koncertowali najsłynniejsi artyści, a w czasie recitalu Juliette Greco czarny kot przeleciał przez scenę. Tu odbywały się zjazdy partii, kongresy, sympozja, targi książek, spotkania teatralne. W jakiś sposób to, co działo się wewnątrz, odbijało to, co na zewnątrz. Oto co można wyczytać w kilkunastotomowej kronice pałacu.

Rok 1956

Wrzesień – Miesiąc Pogłębiania Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. *Trybuna Ludu* przedrukowuje pozdrowienia radzieckich budowniczych pałacu dla polskich budowniczych.

24 października – na Placu Defilad odbył się wielki wiec ludności Warszawy, na którym Władysław Gomułka zapoznał społeczeństwo z wynikami obrad VIII Plenum KC PZPR.

Listopad – uchwałą prezydium rządu pałac przechodzi w gestię miasta.

Rok 1957

Luty – w salach redutowych odbył się bal karnawałowy dla 2000 osób, na którym wybrano Miss Pałacu na ten rok. Została nią Anna Gwiner, żona jednego z inżynierów, który budował pałac.

Rok 1968

Między 10 lutego i 14 marca brak

zapisów w kronice.

15 marca – odbywa się sympozjum poświęcone perspektywom rozwojowym samorządu.

6 maja – w Sali Kongresowej koncert dla przodujących pracowników stołecznych zakładów, uczestników czynu produkcyjnego na cześć V Zjazdu PZPR.

1 czerwca – z okazji Dnia Dziecka uroczyście przekazano teren zabaw dziecięcych "Syberia".

Lato – wystawa "Czechosłowacka armia w twórczości plastycznej" oraz wystawa realistycznej sztuki radzieckiej, podkreślająca bohaterstwo radzieckiego żołnierza.

1 października – w Sali Kongresowej spotkanie aktywu społeczno-politycznego i warszawskich zakładów pracy, uchwalono tekst listu do żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego, stacjonujących w Czechosłowacji.

20 października – występ zespołu artystycznego Pomorskiego Okręgu Wojskowego "Czarne Berety" pt. "Kto obroni kwiaty".

Rok 1970

Między 12 a 26 grudnia brak zapisów w kronice.

Rok 1980

Między 20 lipca a 7 września brak zapisów, potem odbywają się imprezy nie mające nic wspólnego z tym, co działo się w kraju. Brak też informacji o Nadzwyczajnym Zjeździe SDP.

Rok 1981

23 stycznia – w ramach akcji strajkowej NSZZ "Solidarność" Region Mazowsze do strajku przystąpili pracownicy zarządu pałacu (od godz. 8.00 do 12.00 nie kursowały windy).

29 marca – kolejna akcja strajkowa. W hallu głównym na pomniku braterstwa i przyjaźni pojawił się napis "strajk". Znowu nie kursowały windy.

23 kwietnia – Nadzwyczajny Zjazd ZSMP.

14 lipca – Nadzwyczajny Zjazd PZPR.

11 października – Zjazd Konstytucyjny Zjednoczenia Patriotycznego "Grunwald".

9 grudnia, ostatni wpis w tym roku – wystawa "Miasto i jego rzeka".

Rok 1982

4 stycznia – zawieszenie działalności pałacu.

Rok 1989

Sierpień – zakończenie Targów Drobnej Wytwórczości. Brakowało kurtek, bielizny, kapci, chusteczek do nosa, parasolek, kołder.

3 grudnia – Komitet Obywatelski przy przewodniczącym "Solidarności" zorganizował koncert pt. "Chleba naszego powszedniego", dochód przekazany został na fundusz min. Kuronia.

31 grudnia – bal sylwestrowy, przybyło 400 osób, najmniej w historii tych bali. Cena biletu na jedną osobę – 160 tys. zł.

Rok 1990

21 stycznia – ostatni XI Zjazd PZPR.

* * *

Dzisiaj pałac się sypie i wymaga natychmiastowego remontu, a na to w budżecie nie ma pieniędzy. Gdyby wymówiono lokatorom "z nakazu", którzy płacą liche grosze i wynajęto część wysokościową na biura, pałac zarobiłby na siebie i jeszcze by przyniósł dochód. Lista chętnych, którzy chcą tu wynająć siedziby za każde pieniądze, przekroczyła już setkę. Warszawa rozszumiała się od pogłosek, kto tu ma przyjść i co chce zrobić. Ale najbardziej ludzi wzburzyła plotka, że pałac mają skracać i oskubywać z ozdób. Upodobnienie go do pobliskiego Marriotta czy Forum to równanie w dół, do czegoś jeszcze brzydszego. Zawrzało też, kiedy likwidowano 3 kina, padł strach, że wszystkie instytucje kulturalne pójdą pod nóż, z Pałacem Młodzieży włącznie.

Obawy są przedwczesne, kina same się wyniosły, bo ich dochody nie wystarczyły na opłacenie czynszu, a w rozmowach z biznesmenami podkreśla się, że działalność kulturalna i naukowa musi być zachowana. Najpoważniejszym kontrahentem jest John Kowalczyk ze Stanów Zjednoczonych, który podpisał już list intencyjny, według którego strony będą zmierzały do założenia spółki joint venture z 60% udziałem miasta i 40% Kowalczyka. W liście znajdują się "gwarancje nietykalności" dla instytucji związanych z kulturą i oświatą. John Kowalczyk powiedział, że pałac interesuje go tylko taki, jaki jest, tzn. z ozdóbkami. Boczne skrzydła chciałby podwyższyć do 15 pięter, chodzi o biura, a może i hotel. Pałac stanowiłby centrum handlu, kongresów i wystaw. Oczywiście przygotowania, analizy studialne i ewentualne przeróbki, to kwestia przynajmniej 5 lat.

* * *

O pałacu krążyło wiele dowcipów, między innymi taki. Ktoś dał ogłoszenie: "Zamienię luksusowy apartament, z wszelkimi wygodami i widokiem na Pałac Kultury, na nędzną klitkę, bez wygód i bez tego widoku". Ostatnio pojawiło się inne powiedzenie: "Zamienię apartament z widokiem na Pałac Kultury, na nędzne pomieszczenie w samym pałacu."

Pałac Kultury i Nauki stał się znowu szczytem, tym razem szczytem marzeń ludzi przedsiębiorczych.

Ewa Ratulanka

Do budowy użyto:

- 40 milionów sztuk cegieł,
- 26 tys. ton konstrukcji stalowych (np. wieża Eiffla waży 7 tys. ton),
- 80 tys. m^3 betonu i żelbetonu,
- 40 ha ścian otynkowano,
- 7,45 ha obliczowano blokami ceramicznymi,
- 8,65 ha pokryto kamieniarką, w tym marmurami 2,82 ha.

Wewnątrz ułożono:

- 27 km rur wodociągowych,
- 15 km rur kanalizacyjnych,
- 51 km rur CO_2,
- 10 km kabli wysokiego napięcia,
- 150 km przewodów telefonicznych,
- 1500 km przewodów elektrycznych.

Windy:

- 33 dźwigi, w tym 11 osobowych i 2 szybkobieżne,
- 1 dźwig ma — 0,7 km kabla zwisowego,
- 1,22 km lin nośnych,
- 26 km przewodów instalacji sterowej,
- windy szybkobieżne pokonują 200 km dziennie,

przez 20 lat przejechały 1,5 miliona km.

Nagłośnienie:

- 5 tys. głośników zasilanych przewodami o dł. 10 km,
- z 10 stacji radiofonicznych.

Użytkownicy:

- 56 instytucji, spółek i osób prywatnych,
- 6000 ludzi tu pracuje,
- 490 pracowników zarządu pałacu, głównie ochrona, sprzątaczki, windziarze,
- 30 000 turystów dziennie.

Utrzymanie:

- 30 tys. zł miesięcznie kosztuje utrzymanie 1 m^2 powierzchni,
- 25 mld zł rocznie, w tym 7 mld wydaje się na energię (tyle energii zużywa 100-tysięczne miasto),
- 3 tys. zł za m^2 miesięcznie płacą użytkownicy "z nakazu" (stowarzyszenia wyższej użyteczności, Polska Akademia Nauk, Uniwersytet Warszawski, teatry),
- 100 tys. zł za m^2 miesięcznie płacą spółki i inni nowi ajenci, np. King's Casino, Digital, Bank Gospodarstwa Krajowego,
- na pilny remont potrzeba 300 miliardów złotych. ■

Rzeźby, w niszach na zewnątrz Pałacu, przywiezione zostały ze wschodu: sylwetki wielkie, umięśnione, z grubymi karkami, na modłę socrealizmu, ale zatrzymane w klasycznych pozach. fot. Kacper

Amerykańska pomoc dla zagranicy

Cezary Stolarczyk

Filantropia i polityka

Niespodziewane i gwałtowne zmiany, jakie zaszły jesienią ubiegłego roku w krajach Europy Wschodniej, spowodowały zwrot w amerykańskiej polityce przyznawania pomocy finansowej. Wczesną zapowiedzią tego zwrotu była 100-milionowa oferta pomocy dla Polski, którą prezydent Bush

Podczas wizyty w Polsce w 1989 r. prezydent złożył ofertę 100-milionowej pomocy.

złożył podczas wizyty w Warszawie w 1989 roku. Była to jednak suma bardzo skromna, w dodatku przyjęta przez Kongres z wielkim ociąganiem i nawet późniejsze jej podwojenie nie umniejszyło rozczarowania Polaków co do rozmiarów pomocy. Jednak z czasem wśród amerykańskich polityków przeważył pogląd, że pomocy dla krajów Europy Wschodniej nie można rozpatrywać w kategoriach aktu charytatywnego, winna być ona natomiast traktowana jako narzędzie polityki obronnej i ekonomicznej.

Jednakże wobec deficytu budżetowego i ujemnego salda amerykańskiego handlu zagranicznego, pojawiło się pytanie, skąd wziąć pieniądze na tę nową pomoc, nie pogarszając drastycznie wskaźników ekonomicznych. Wśród kongresmenów powstał dylemat: komu odebrać, aby można było dać bardziej potrzebującemu?

Najpotężniejsze w USA jest lobby żydowskie — 3 miliardy rocznie pomocy finansowej dla Izraela.

W styczniu br. senator Robert Dole, przywódca mniejszości republikańskiej w Senacie, zaproponował, aby przełamać obowiązującą dotychczas praktykę przyznawania większości dotacji ciągle tym samym krajom. Od lat 2/3 amerykańskiej pomocy przyznawane jest niezmiennie pięciu tym samym krajom: Izraelowi, Egiptowi, Filipinom, Turcji i Pakistanowi. Trwałości tych przywilejów bronią bardzo wpływowe grupy interesów, które wywierają presję na kongresmenów, aby głosowali za dalszym przyznawaniem funduszy dla ich protegowanych. Konsekwencją sprzeciwu byłoby obcięcie funduszy na kampanię wyborczą, a co za tym idzie — prawdopodobna przegrana w wyborach do Kongresu.

Najpotężniejsze jest lobby żydowskie — American Jewish Public Affairs Committee — organizacja mająca ogromny wpływ na politykę Stanów Zjednoczonych wobec Izraela i kontrolująca fundusze przyznawane temu krajowi przez amerykański Kongres. Na swoje lobby może także liczyć Grecja. Krajowi temu przyznaje się rok w rok 350 mln dol., aby zachować równowagę wobec Turcji, z którą jest w konflikcie o Cypr, przy czym oba państwa są członkami NATO. Onegdaj socjalistyczny rząd premiera Papandreu postanowił nie przyjmować tej pomocy, by nie uzależniać się od USA, nie zmieniło to jednak faktu, że nie podejmowane dotacje osiągnęły już poziom miliarda dolarów. Biada jednak temu, kto ośmieliłby się publicznie na forum parlamentu optować za ukróceniem absurdu — strzeże go lobby greckie. Jak zauważył jeden z kongresmenów, przeciwstawienie się przez kogoś woli tego lobby byłoby prawdopodobnie ostatnim jego wystąpieniem na forum Kongresu.

Robert Dole zaproponował, aby sumę dotacji dla pięciu największych odbiorców amerykańskiej pomocy uszczuplić o 5% i pieniądze te przeznaczyć na subwencje dla krajów Europy Wschodniej. Chodziło o kwotę 330 mln dol., więc niemal dziesięć razy mniej niż rocznie dostaje Izrael, 2% ogólnego funduszu — 15 miliardów dol. zatwierdzonego w tym roku na pomoc zagraniczną. Pomysł Dole'a spotkał się jednak ze zdecydowanym protestem, głównie ze strony lobby zainteresowanych krajów. Izrael nie chciał słyszeć o jakichkolwiek cięciach, wręcz przeciwnie, domagał się dodatkowo 400 mln dol. na pokrycie kosztów osiedlenia emigrantów żydowskich z ZSSR. Podobnie zareagowały inne kraje.

Ponieważ propozycja Dole'a postulowała jednocześnie rozszerzenie prerogatyw prezydenckich w przyznawaniu pomocy, co przyczyniłoby się do większej elastyczności polityki USA i szybszego reagowania na wydarzenia na świecie, spotkała się ona z życzliwością Białego Domu i Departamentu

Stanu. Obecnie, w kilka miesięcy później, do pomysłu senatora Dole'a powrócono w aspekcie zarysowujących się poważnych zmian polityki USA wobec Izraela. Władze tego kraju uznały za stosowne w zamian za 3 mld dol. rocznie, wziąć pod uwagę opinię USA (głównie wobec sprawy pokoju na Bliskim Wschodzie), co spowodowało rosnącą lecz nie uzewnętrznianą publicznie irytację Waszyngtonu. Ostatnie posunięcia rządu w Jerozolimie – osiedlanie żydowskich ortodoksów w chrześcijańskim sektorze miasta i kierowanie emigrantów z ZSSR na terytoria okupowanego Zachodniego Brzegu – spotkało się wreszcie z otwartym protestem Busha. Mało tego – zjednoczenie amerykańskich organizacji żydowskich oficjalnie ostrzegło premiera Shamira, że kontynuacja takich praktyk osiedleńczych grozi pogorszeniem stosunków z USA i wstrzymaniem poparcia dla 3-miliardowych subwencji. W tej sytuacji monolityczność lobby żydowskiego, jak i jednomyślność 38 kongresmenów semickich należy do przeszłości. Sprzeciwianie się presji Izraela nie jest już dla amerykańskich polityków krokiem samobójczym. Można przypuszczać, że w niedalekiej przyszłości dotychczasowa konserwatywna i niezmienna polityka pomagania zagranicy ulegnie istotnej zmianie.

Jest to potencjalne źródło gotówki na jutro, ale dziś pieniędzy na większą pomoc dla Wschodniej Europy jeszcze nie ma. Taktyka rzucania niewielkich sum, na odczepnego, nie ma przyszłości; większość polityków USA jest zdania, że załamanie się normalizacji w Europie Wschodniej kosztowałoby Stany zbyt wiele. Poszukiwania kandydata do finansowego odchudzenia trwają więc nadal, już na wewnątrzamerykańskiej scenie. Pierwszym, wokół którego skupiła się uwaga jest Pentagon.

Nieuchronności cięć w budżecie Departamentu Obrony prawie nikt już nie kwestionuje. Chodzi tylko o ich głębokość i strukturę. Sam sekretarz obrony, Dick Cheney, przedstawił projekt redukcji wydatków o 58 miliardów dol. Członkowie Kongresu ogólnie rzecz biorąc, godzą się na ten kierunek zmian, jednak sytuacja maluje się zupełnie inaczej, gdy sprawa się konkretyzuje i chodzi np. o zamknięcie bazy wojskowej albo zakładu zbrojeniowego położonego na terenie ich okręgu wyborczego.

Nie ma też jednomyślności na temat zagrożenia ze strony ZSSR. CIA opublikowało niedawno raport, który stwierdza, że zagrożenie nagłą napaścią praktycznie nie istnieje. Układ Warszawski nie stanowi obecnie sprawnego potencjału bojowego i perspektywa wybuchu wojny w bliskiej przyszłości światu nie zagraża. W oparciu o te i inne analizy część kongresmenów amerykańskich stanowczo domaga się zmniejszenia budżetu Pentagonu (np. kongresman David Obey o 50%), podczas gdy inni, np. przewodniczący senackiej komisji zbrojeniowej, Les Aspen, równie stanowczo z tym polemizują, twierdząc, że nawet przy obecnym kierunku zmian ZSSR będzie stanowił dla USA realną groźbę jeszcze przez 5-10 lat.

Kilka miesięcy temu demokraci z komisji budżetowej opublikowali raport, z którego wynika, że pieniądze w Pentagonie można znaleźć nie przeprowadzając drastycznych cięć ani radykalnych zmian politycznych – po prostu ukrócając marnotrawstwo. W magazynach Departamentu Obrony USA – stwierdza raport – gromadzone są nadmierne, niepotrzebne zapasy sprzętu. Ich wartość szacuje się na 30 mld dol. Jakkolwiek przedstawiciele ministerstwa starali się polemizować z niektórymi ustaleniami raportu, nie zarzucili jego autorom nieprawdy. Innym, prócz chomikowania, grzechem amerykańskich wojskowych jest rozrzutność. Wśród jej przykładów są i takie ekstrawagancje jak zamówienia na dzbanki do kawy po 7600 dol. za sztukę czy robione na miarę deski klozetowe po 600 dol. Pentagon nie skąpił też na naukowe dociekania: 3,5 mln dol. przeznaczono na badanie klatek piersiowych żołnierzy płci żeńskiej. Uwieńczeniem było dodanie 68 nowych, do 58 już istniejących rozmiarów wojskowych bluz. Administracja rządowa nie kończy się jednak na Departamencie Obrony. Główny księgowy budżetu USA, Charles Bowsher, stwierdził niedawno w telewizji, że rząd federalny na skutek marnotrawstwa, defraudacji i błędów w zarządzaniu, traci rocznie kwotę 180 mln dol. Kwota ta trzykrotnie przekracza deficyt budżetowy USA i 225-krotnie budżet ONZ.

Mimo, że pomoc dla zagranicy stanowi tylko bardzo niewielką część ponad bilionowego budżetu Ameryki, obywatele tego kraju patrzą na nią niechętnie. Na liście wydatków budżetowych, które Amerykanie chcieliby zredukować, pomoc ta zajmuje czołowe miejsce. Zresztą, redukcje nie są nową ideą: podczas prezydentury Reagana, tylko w latach 1985-87, wsparcie dla zagranicy zmniejszyło się o 35%. Jest to w sumie dość dziwne. Pomoc USA nie ma bowiem wy-

kraj	pomoc ekonomiczna (mln dol. USA)	pomoc wojskowa (mln dol. USA)
Izrael	1.200	1.800
Egipt	815	1.300
Filipiny	203	415
Turcja	554	60
Pakistan	300	241

Zmniejszająca się pomoc zagraniczna USA (procentowy udział w stosunku do budżetu).

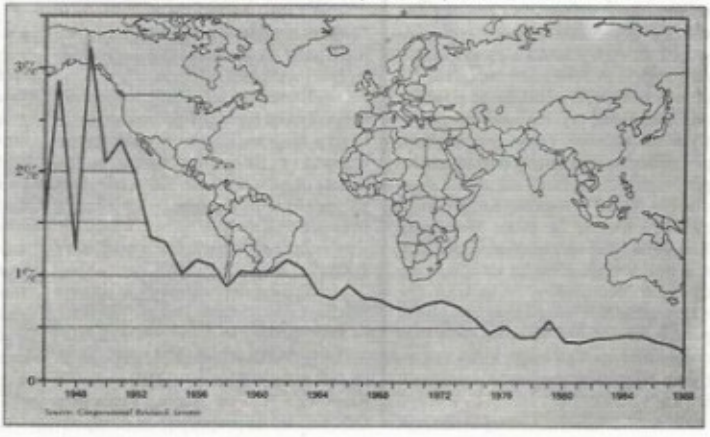

Senator Robert Dole

miaru czystu humanitarnego. Wystarczy powiedzieć, że np. w 1980 roku cała Afryka otrzymała na walkę z głodem połowę pieniędzy, które przeznaczono dla Izraela głównie (w 70%) na cele militarne, choć kontynent afrykański jest 50 razy bardziej ludny niż bliskowschodnie państewko. Pieniądze z USA są niewątpliwie narzędziem politycznym. Ich rozdawanie nie jest tak czysto bezinteresowne także i dlatego, że są one potem przeznaczane zazwyczaj na zakup towarów amerykańskich i w ten sposób nakręcają koniunkturę. Plan Marshalla, będący dziś powodem do narodowej dumy i przykładem dalekowzroczności politycznej, także nie cieszył się poparciem u swego zarania.

W najbliższej przyszłości będziemy zapewne obserwować nie tyle gwałtowne kurczenie się amerykańskiego funduszu pomocy, co zmiany w procedurze jego przyznawania. Niezależnie od tego, czy w końcu propozycja Dole'a doczeka się realizacji, polityka "świętych krów", którym pomoc się przyznaje, bo "im się należy", a należy się — bo jest przyznawana od lat, przeżywa prawdopodobnie swój schyłek. Zastąpi ją taktyka bardziej elastyczna, popierania pomocy tym państwom, których polityka nie jest sprzeczna z amerykańskimi interesami. Jeśli zaś idzie o Europę Wschodnią, to powinna ona skorzystać na cięciach zbrojeniowych na zasadzie coraz powszechniej podzielanego na Kapitolu poglądu, że lepiej wspierać przyjaciół niż zbroić się w obronie przed wrogami. Kongresmeni zwracają uwagę, że skoro Wspólnotę Europejską stać na zadeklarowanie 22,8 mld dol. w ciągu kilku lat na odbudowę dawnych "demoludów" — to USA powinny znaleźć w swej kiesie coś ponad przyobiecane dotąd 700 mln. Leży to w dobrej tradycji tego kraju, który zawsze był na pierwszym miejscu w pomaganiu innym.

Cezary Stolarczyk

Pomoc zagraniczna

Austria dla Mitteleuropy

rozmowa z ministrem nauki w rządzie Austrii, Erhardem Buskiem

— Rząd austriacki postanowił przeznaczyć 800 mln szylingów na pomoc dla reformujących się państw Europy Środkowej. Sumą ok. 160 mln ma dysponować minister nauki. Na co Pan przeznaczy te pieniądze?

— Przede wszystkim chcę popierać naukę języków obcych. Nie tylko naukę niemieckiego u naszych sąsiadów, ale także i tu w Austrii, znajomość języków naszych sąsiadów. Dojść do porozumienia możemy tylko wtedy, gdy nawzajem się rozumiemy, to zaś możliwe jest wówczas, gdy potrafimy się ze sobą porozumiewać. Widzę też możliwość wspólnego wstępowania Polski, Czechosłowacji, Węgier i Austrii do międzynarodowych organizacjach naukowych. Udział w tych organizacjach jest kosztowny i wymaga uiszczenia dość wysokich opłat. Występując jako grupa, moglibyśmy się tymi kosztami podzielić, przy czym my, jako kraj o najwyższym dochodzie narodowym, wnosilibyśmy początkowo większy wkład.

— Proszę wymienić przedsięwzięcia, będące już w realizacji.

— W październiku ubiegłego roku wysłaliśmy 40 lektorów na Węgry. Gotowa jest też umowa o współpracy ze słowackim ministrem kultury. W minionym tygodniu rozpoczęliśmy rozmowy z czeskim ministerstwem. Przygotowujemy też programy współpracy z uniwersytetami morawskimi — w Brnie i Ołomuńcu.

— Z tego wynika, że współpraca ze Słowacją rozwija się szybciej niż z Czechami. Czyżby Austria bardziej zainteresowana była współpracą ze Słowacją?

— Bratysława leży bliżej Wiednia niż Praga. Trzeba też wziąć pod uwagę to, że Czechy mają większe możliwości współdziałania z RFN. Współpraca ta ma zresztą długą tradycję, czego przykładem jest choćby słynny w całej Europie praski Uniwersytet Karola.

— Jak będzie wyglądała współpraca z Polską?

— Prowadzimy rozmowy w sprawie krakowskiego Biennale Plakatu. Ministrowi Samsonowiczowi zaproponowałem utworzenie 3-letnich college'ów językowych i to nie tylko w Warszawie ale również w Krakowie, Nowym Sączu, Przemyślu. Czekamy też na propozycje ze strony ministra Samsonowicza.

Minister Erhard Busk fot. Przemysław Walewski

— Nie trudno zauważyć, że Austria zainteresowana jest współpracą z regionami należącymi niegdyś do monarchii habsburskiej. W przypadku Polski specjalne potraktowanie Galicji nie budzi wątpliwości. Ale już w przypadku Jugosławii... Rząd austriacki opowiada się przecież za stabilną, zjednoczoną Jugosławią, a jednocześnie ogranicza współpracę, zwłaszcza kulturalną i naukową, do dwóch republik, które wchodziły w skład dawnej monarchii. Co Pan na to?

— Współpraca z tymi republikami jest dla nas dużo łatwiejsza, gdyż łączą nas wspólne dzieje i mentalność. To nie jest literackie uogólnienie. Uważam, że my Austriacy, podobnie jak reszta Europy, popełniliśmy błąd, interesując się wyłącznie Słowenią i Chorwacją. W stosunkach z Serbią nadal istnieje trudna do wytłumaczenia psychologiczna blokada. Po Igrzyskach Olimpijskich w Sarajewie, gdzie austriaccy narciarze nie zdobyli żadnego medalu, słyszałem poważnie wypowiadaną opinię: "W Sarajewie nigdy nam się nie wiodło". Dawne emocje nadal odgrywają ważną rolę. Popełniliśmy błąd, nie przyciągając Serbii do Europy. Aby choć w części go naprawić, zamierzamy zbudować w Belgradzie Instytut Historyczny.

Rozmawiał Przemysław Walewski
(Agencja FREEpress)

Witold Pronobis

Czy Besarabia pozostanie w granicach Związku Sowieckiego?

Konsekwencją stalinowsko-hitlerowskiego porozumienia z sierpnia 1939 r. była sowiecka grabież nie tylko wschodnich terytoriów Polski i w całości trzech państw bałtyckich, ale – o czym wie się na ogół znacznie mniej – także znacznych obszarów przedwojennej Rumunii; północnej Bukowiny i Besarabii.

W następstwie aneksji Besarabię połączono z istniejącą od 1924 r. na lewym, wschodnim brzegu Dniestru karłowatą, bo liczącą niewiele ponad 8000 km², autonomiczną Sowiecką Republiką Mołdawską, zaś północną Bukowinę wcielono do Sowieckiej Ukrainy. Ówczesne protesty Rumunów nie na wiele się zdały, zważywszy iż aneksja ta dokonana została z przyzwoleniem i błogosławieństwem hitlerowskich Niemiec, od których władze w Bukareszcie były całkowicie uzależnione. Po wojnie, już w komunistycznej Rumunii, w okresie stalinowskiego terroru, gdy na czele tamtejszej partii stał Gheorghiu-Dej, mołdawscy patrioci myśleli jedynie o własnym fizycznym przetrwaniu, zaś sam Gheorghiu-Dej dobrze zdawał sobie sprawę z tego, komu zawdzięcza sławę, by wysuwać jakiekolwiek terytorialne roszczenia wobec swych protektorów na Kremlu. W samej zaś Besarabii, czyli aktualnie Mołdawskiej Socjalistycznej Republice Sowieckiej rozprawiono się skutecznie, rękami NKWD, ze wszystkimi prawdziwymi lub potencjalnymi przeciwnikami władzy sowieckiej.

Sytuacja zmieniła się, gdy w Rumunii rozpoczął swe coraz bardziej niepodzielne rządy Nicolae Ceausescu, zwłaszcza od czasu gdy wymówił on częściowo posłuszeństwo Moskwie i próbował budować komunizm według własnej koncepcji. Konsekwentnie wzmacniając swój autorytet niezależnego przywódcy, Ceausescu często grał na narodowych sentymentach Rumunów. Jednym z elementów tej gry była jego polityka wymierzona przeciwko węgierskiej mniejszości narodowej w Siedmiogrodzie, drugim zaś, wyrażana publicznie, przy różnych okazjach, dezaprobata wobec utraty na rzecz ZSSR Besarabii i północnej Bukowiny.

Szef KP Gheorghiu-Dej

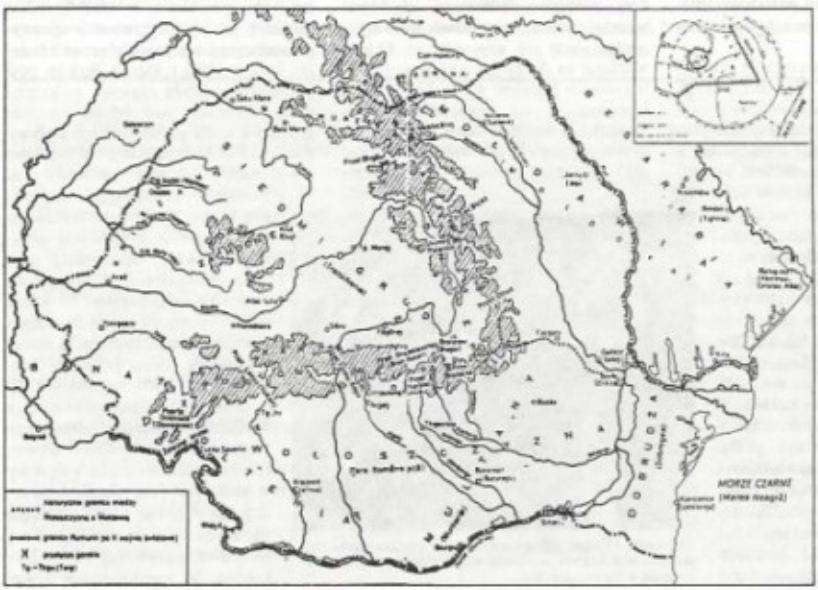

1. Ziemie rumuńskie – układ geograficzny

Obok wystąpień natury politycznej rozgorzała też po obu stronach granicy polemika, oczywiście odgórnie sterowana, między historykami sowieckimi i rumuńskimi. Dotyczyła ona historycznych racji uzasadniających państwową przynależność obszarów

położonych między rzeką Prut a Dniestrem, czyli wschodniej części Mołdawii – zwanej Besarabią. O ile bowiem włączenie w granice ZSSR północnej Bukowiny, stanowiącej zresztą w przeszłości integralną część monarchii austro-węgierskiej, było oczywistym gwałtem i nie miało żadnego przekonywującego uzasadnienia, o tyle na rosyjskie roszczenia do Besarabii znaleźć można pewne argumenty historyczne. We wspomnianych polemikach były one jednak zazwyczaj mocno naciągane i manipulowane propagandowo.

Wkroczenię wojsk sowieckich do Bukaresztu w 1944 roku.

Istotę sporu oddawała terminologia, stosowana przez obie strony. I tak na przykład włączenie Besarabii do Rumunii po I wojnie światowej sowiecka historiografia określała zawsze jako "wcielenie" lub "aneksję", podczas gdy rumuńska z reguły jako "powrót" lub "odzyskanie". Odwrotnie gdy chodzi o rok 1940. Utrata tego terytorium nazywana była wówczas przez Rumunów "grabieżą" lub "sowiecką aneksją", przez historyków sowieckich "powrotem zabezpieczającym narodowe interesy Mołdawian w ramach sowieckiej republiki".

Stawiało to w niezręcznej sytuacji historyków polskich. Nie bardzo mogli pomijać sowieckie stanowisko w swych badaniach i publicystyce dotyczącej tego regionu, tak blisko związanego z dziejami Polski. Zmuszeni byli, zwłaszcza w odniesieniu do czasów najnowszych, dokonywać szczególnej ekwilibrystyki słownej, by nie urazić ani jednej, ani drugiej strony. Gdy jednak zajęcie jednoznacznego stanowiska było nieuniknione, przychylano się do interpretacji sowieckiej. Juliusz Demel, autor polskiej "Historii Rumunii" (ostatnie, drugie wydanie jego książki ukazało się nakładem wydawnictwa Ossolineum w 1986 r.), zagarnięcie Besarabii przez Stalina w 1940 r. uzasadnia koniecznością umocnienia bezpieczeństwa południowo-zachodniej granicy państwa sowieckiego i jego ważnych baz nad Morzem Czarnym przed hitlerowskimi Niemcami. Tymczasem sprawa Besarabii, podobnie jak państw bałtyckich, została rozstrzygnięta jednoznacznie w tajnym protokole dodatkowym układu Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia 1939 r. W punkcie 3 tego protokołu czytamy:

"Jeżeli chodzi o Europę południowo-wschodnią, to strona sowiecka podkreśla swoje zainteresowanie Besarabią, ze strony niemieckiej stwierdza się natomiast absolutny brak zainteresowania tym terytorium."

Jeżeli więc Stalin zaskoczył czymś Hitlera w 1940 r., to nie Besarabią, a raczej północną Bukowiną, o której wcześniejszych knowaniach obu agresorów nigdy nie wspominano. Odpowiadając na demarché ambasadora hitlerowskich Niemiec w Moskwie, Schulenberga, w tej sprawie, Mołotow oświadczył, że "Bukowina jest ostatnią brakującą częścią składową zjednoczonej (po aneksji wschodnich województw Polski – przyp. W.K.) Ukrainy."

Wracając do sprawy zagarnięcia Besarabii, to o ścisłej koordynacji niemiecko-sowieckiej świadczy też to, iż natychmiast po aneksji, za obopólnym porozumieniem, obszary te zaczęła opuszczać licznie tam zamieszkała mniejszość niemiecka. Niemców z Besarabii – co już wcześniej zaplanowano w Berlinie – Hitler użył do germanizacji zaanektowanej w 1939 r. i włączonej do Rzeszy, zachodniej Polski.

By jednak lepiej zrozumieć zarówno rumuńskie jak i rosyjskie pretensje do Besarabii, warto chociaż skrótowo przyjrzeć się niezwykle powikłanym dziejom Mołdawii.

Położenie geopolityczne powstałego w XIV w. Księstwa Mołdawskiego, skazywało przez wieki jego mieszkańców na nieustanną walkę o utrzymanie całości terytorium przed apetytami Węgier, Polski, Austrii, Turcji i Rosji. Zainteresowanie Mołdawią ze strony Rosji wiązało się zarówno z przesłankami historycznymi, jako że część Mołdawii wchodziła kiedyś w skład Rusi Kijowskiej, jak i polityczno-strategicznymi ambicjami w rejonie Morza Czarnego. Gdy w 1683 r. klęska Turków pod Wiedniem osłabiła czasowo zwierzchność sułtańską nad Mołdawią, zagrożeni z kolei przez rosnące wpływy Austrii i Polski, hospodarowie mołdawscy zaczęli szukać pomocy w Moskwie. Stworzyło to Rosji dobrą okazję do dyplomatycznego przygotowania gruntu dla przyszłych aneksji. Sprzyjający moment nadszedł jednak dopiero za panowania Katarzyny II, która mając poparcie mołdawskiego duchowieństwa, bojarów, a nawet hospodara Ghica, pokonała Turków w 1774 r. i zmusiła ich do podpisania traktatu pokojowego w Kuczuk-Kainardżi, oddającego Rosji szereg nabytków na wybrzeżu czarnomorskim i wpływy w Mołdawii. Przy okazji skorzystała też Austria, która wymogła na Turcji odstąpienie północnej Mołdawii, nazywanej odtąd Bukowiną. W wyniku nowej wojny

Ceausescu i Kadar: Jednym z elementów gry Ceausescu była polityka wymierzona przeciwko węgierskiej mniejszości narodowej w Siedmiogrodzie.

turecko-rosyjskiej w latach 1806-1812, dzięki zwycięstwom Kutuzowa, Rosja zawładnęła całą wschodnią częścią państwa mołdawskiego, przesuwając granicę rosyjsko-turecką z Dniestru na Prut. Włączony do Rosji obszar, właśnie od tego czasu nazywany Besarabią, zarządzany był przez Rosjan, którzy przystąpili do akcji systematycznych wysiedleń miejscowej ludności w głąb Rosji. Pierwszą ofiarą tych akcji stali się budziacey Tatarzy, przesiedleni na Krym. Jednocześnie zachęcano szczególnie lojalnych wobec Rosji uchodźców bułgarskich, a także Niemców, którzy w tym czasie masowo szukali możliwości osiedlenia na wschodzie, do przejmowania opuszczanych gospodarstw.

Kolejny konfklikt zbrojny z Turcją, nazwany później wojną krymską (1853-56), sprowokowany przez Rosję w związku z jej ambicjami rozszerzenia zwierzchnictwa nad całą Mołdawią, skończył się tym razem porażką Moskwy i odzyskaniem przez Turcję południowej Besarabii, którą jednak utracili ponownie w 1878 r.

W czasie I wojny światowej zwycięska kampania na wschodzie państw centralnych doprowadziła do zajęcia Besarabii i przekazania jej Rumunom, których chciano pozyskać w toczącej się wojnie. Rumunia jednak opowiedziała się w 1916 r. po stronie Ententy, co ostatecznie miało okazać się bardzo korzystne, choć wypadki na froncie w roku 1916 i 1917 wcale na to nie wskazywały. Latem 1917 r. cała Rumunia znalazła się pod okupacją niemiecką. Rewolucja bolszewicka w Rosji a następnie klęska państw centralnych, pozwoliła Rumunii zwycięsko wyjść z tych wszystkich opresji. Wprawdzie bolszewicy w początkach 1918 r. podjęli próbę ustanowienia w Besarabii władzy sowieckiej, jednak bez powodzenia. Obradujące w Paryżu zwycięskie mocarstwa przyznały ten obszar państwu rumuńskiemu.

Bolszewicy nie wyrzekli się jednak swych pretensji do Besarabii. Bardzo symptomatyczne było utworzenie w 1924 r., na lewym brzegu Dniestru siłą rzeczy bardzo niewielkiej, tzw. Autonomicznej Sowieckiej Republiki Mołdawskiej. To posunięcie miało okazać się później — w 1940 r. — pretekstem do aneksji. W postawionym wówczas przez Moskwę ultimatum wobec rządu rumuńskiego domagano się połączenia Besarabii z Sowiecką Republiką Mołdawską.

W 1941 r. Besarabia raz jeszcze znalazła się w granicach Rumunii, sprzymierzonej z hitlerowskimi Niemcami, pod wojskową dyktaturą Jana Antonescu. Rumunia zgodziła się na udział w wojnie Hitlera z ZSSR, licząc na odzyskanie Besarabii i północnej Bukowiny. Swój cel wojenny osiągnęli już w końcu czerwca 1941 r. Gdy jednak trzy lata później armia czerwona wkroczyła do Rumunii, natychmiast, bez czekania na akceptację pozostałych członków koalicji antyhitlerowskiej, przywrócony został prawno-terytorialny stan z 1940 r.

Ożywienie narodowe, którego świadkiem jest dziś cały Związek Sowiecki, nie ominęło także mieszkańców Mołdawskiej SSR, choć rdzennych Mołdawian pozostało już tam tylko nieco ponad 60%. Zwłaszcza w ostatnich miesiącach nastroje antysowieckie w Besarabii stały się chyba bardziej powszechne niż w republikach bałtyckich. Podtrzymuje je ciągle żywa pamięć po ofiarach krwawego terroru lat 1940/41, a następnie 1944/47. Zginęło wówczas przynajmniej 100 tys. osób, choć dokładnej liczby nie sposób ustalić. W pobliżu Kiszyniowa, aktualnej stolicy republiki mołdawskiej, odnaleziono niedawno kolejne groby ofiar zbrodni NKWD. Identyfikacja okazała się całkowicie niemożliwa, gdyż ciała pomordowanych posypywane były nielasowanym wapnem.

Głoszone więc przez Mołdawski Front Narodowy hasła uniezależnienia się od Moskwy znajdują szerokie poparcie wśród mieszkańców republiki. W kwietniowych wyborach do Najwyższego Sowietu Mołdawskiej SSR kandydaci popierani przez Front Narodowy uzyskali dwie trzecie głosów. Jednym z pierwszych efektów tego zwycięstwa było krótkotrwałe otwarcie w niedzielę 6 maja br. mostu granicznego na Prucie, w pobliżu Jassy. W ciągu kilku godzin odwiedziło swoich rodaków na wschodnim brzegu rzeki niemal milion Mołdawian. Wieczorem granicę ponownie zamknięto. Nie wydaje się jednak by na długo.

Witold Pronobis

■ KOBLENCJA. Były sierżant armii amerykańskiej stacjonującej w RFN Clyde Lee Conrad został skazany za szpiegostwo przez sąd niemiecki na karę dożywotniego więzienia; w latach 1975-85 Conrad przekazywał wywiadowi czeskiemu i węgierskiemu tajne dokumenty NATO, za co otrzymał sumę 2,2 mln DM. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 7.06.)

■ WARSZAWA. W czasie dwudniowego pobytu w Polsce federalnego ministra pracy RFN Blüma, w Warszawie podpisano umowę, na mocy której RFN dostarczy Polsce bezpłatnie używane maszyny rolnicze na ogólną sumę 10 mln DM. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 7.06.)

■ JEROZOLIMA. Ponad milion sowieckich Żydów złożyło podanie o emigrację do Izraela. (TAGESSPIEGEL, 8.06.)

■ TOKIO. Japońska firma elektroniczna Hitachi wyprodukowała pierwszy 64-megabitowy układ scalony, w którym można zapisać 512 stron gazetowych; masową produkcję przewiduje się na rok 1995. (TAGESSPIEGEL, 8.06.)

■ MOSKWA. 700 tys. osób przebywa obecnie w sowieckich gułagach — poinformował generalny prokurator Moskwy. (TAGESSPIEGEL, 9.06.)

■ WASZYNGTON. Związek Sowiecki wyraził gotowość spłaty długów wojennych Stanom Zjednoczonym w wys. 674 mln dol. (TAGESSPIEGEL, 9.06.)

■ BONN. RFN spodziewa się w tym roku około 150 tys. przesiedleńców z Rumunii. (TAGESSPIEGEL, 9.06.)

■ BONN. Statystyczny wschodnioniemiecki obywatel zjada rocznie 155 kg ziemniaków; jego zachodni ziomek tylko 72 kilogramy. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 9-10.06.)

■ HAMBURG. 325 mld dolarów wydaje się rocznie w świecie na reklamę; szacuje się, iż w najbliższych latach suma ta wzrośnie do 900 mld dolarów rocznie. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 9-10.06.)

■ WASZYNGTON. Bank Światowy udzielił Polsce kredytu w wysokości 250 mln dolarów na zagospodarowanie własnych złóż gazu ziemnego; kredyt ten ma zostać spłacony w ciągu 15 lat, oprocentowany jest na 7,7% rocznie. Dalszy kredyt w wysokości 60 mln dolarów zostanie Polsce udzielony przez nowo otwarty Europejski Bank na rzecz Odbudowy i Rozwoju Europy Wschodniej. (FRANKFURTER ALGEMEINE ZEITUNG, 9.06.)

■ NOWY JORK. Po dwudziestu miesiącach przerwy Argentyna rozpoczęła ponownie spłatę swoich długów; na początku czerwca br. spłaciła 40 mln dol. z ogólnego zadłużenia w wysokości 40 mld dolarów. (FAZ, 9.06.) ■

Mongolia

Ewa Szawarska

Powrót Czyngis-chana

Wszystko, co stworzyła przyroda jest w Mongolii piękne. Wszystko, co zbudowano przez ostatnie sześćdziesiąt pięć lat, razi niezręcznością i szpetotą. Prawie wszystko, co zbudowano wcześniej, starano się zniszczyć i wymazać z pamięci, w tym 700 buddyjskich klasztorów i kult Czyngis-chana. Dlatego pisząc o Mongolii najczęściej pisze się o stepie.

Scenariusz zmian w Mongolii w ramach ubiegłorocznej "wiosny ludów" był podobny jak w innych krajach bloku sowieckiego – dwa wiece mieszkańców stolicy na największym placu w mieście, zmiana na stanowisku I sekretarza Mongolskiej Partii Ludowo-Rewolucyjnej, po raz pierwszy otwarte wypowiedzi na temat rosyjskiej żony byłego "przywódcy", towarzysza Cedenbała, nazywanej przez społeczeństwo "carycą", szukanie nowych partnerów do handlu i inwestycji, zdominowanych dotąd przez Rosjan. No i opozycja – teraz już raczej "siły reformatorskie" złożone z intelektualistów i młodej inteligencji.

Mongołowie zdjęli z cokołu Stalina nocą, ostrożnie i po cichu. Stało się to w lutym tego roku, a zdjęcia robione podczas tej operacji rozesłali do zagranicznych agencji dwa miesiące później. Wiadomo już, że w Ułan Bator stanie pomnik Czyngis-chana.

O ile "socjalistyczne budownictwo" pozostaje w widocznej dysharmonii z krajobrazem, o tyle nie ma konfliktu między starym a nowym w kontaktach międzyludzkich. Narodowy strój – deli – suknię o jednakowym kroju dla mężczyzn i kobiet, różniącą się kolorem i rodzajem materiału, często można zobaczyć na młodych mieszkańcach Ułan Bator. Deli traktowane jest na równi z europejskim ubraniem i często – zwłaszcza przez kobiety – noszone z nim na przemian. Nie wyczuwa się antagonizmów między inteligencją a ludem, ani między miastem a wsią. Być może to, że mongolska inteligencja (najczęściej pisarze, drugie pokolenie) nie odcina się od swych korzeni, nie zrywa kontaktów z rodziną koczującą w jurcie – słowem, nie odczuwa stresów związanych z awansem społecznym – wynika z jej małej liczebności.

Typowa zabudowa starej części stolicy Mongolii Ułan Bator.

Wysyłanie kandydatów na studia do innych państw RWPG – w ramach praktykowanej i w Polsce wymiany – doprowadziło do tego, że dwa reprezentacyjne hotele stolicy mają wyjątkowo wykształconych kelnerów. Bo jak może wykorzystać zasób wiedzy i znajomość języka absolwent lipskiego uniwersytetu (specjalizacja: "komputerowe projektowanie wysokościowców") w kraju, gdzie budynki mające więcej niż dziesięć pięter można policzyć na palcach? Stojąc za barem hotelu "Ułan Bator".

Poza tym, to naprawdę nie jest to zła posada, zważywszy na zarobki i znajomości. W Mongolii rządzi czarny rynek, więc te dwie rzeczy są najważniejsze. W przeciwieństwie do sklepów, w których są tylko podstawowe towary w najgorszym gatunku, na czarnym rynku jest wszystko. Dolary, skupowane od turystów i zatrudnionych cudzoziemców, wyroby ze złota, uszyte chałupniczym sposobem futra ze świstaków, kóz, karakułów i czapki z lisa. Są tam również wyroby produkowane na eksport (Mongolia jest np. producentem kaszmiru równie słynnego jak indyjski),

"Mongołowie zdjęli z cokołu Stalina nocą, ostrożnie i po cichu. Stało się to w lutym tego roku."

W Mongolii jest około 65 tys. sowieckich żołnierzy. Na zdjęciu: wycofywanie części wojsk ZSSR, maj 1989 rok.

wyroby importowane, które nie dotarły do sklepów, towary będące w sprzedaży w sklepach wyłącznie dla Rosjan (marnie zaopatrzonych, ale i tak dwa razy lepiej niż miejscowe sklepy w Ułan Bator), pochodzące z przemytu: chińska konfekcja, dżinsy, zegarki elektroniczne, radia, kosmetyki, magnetowidy, kasety...

Czarny rynek wypiera tradycyjne, rzemieślnicze wyroby z mongolskiego targu, zwanego barachołką. Tylko przed bramą leżą jeszcze płaty wojłoku do ocieplania jurt i drewniane, wysokie siodła. Przez dziesięciolecia na barachołce można było dostać przedmioty kultu związane z buddyzmem. Teraz mosiężne figurki bóstw są najczęściej fabrykowane ze sztancy, z myślą o łatwowiernych turystach. Po "zwycięskiej rewolucji ludowo-demokratycznej" wymordowano około 70 tysięcy mnichów i pozostawiono zespół świątyń buddyjskich Gandan w Ułan Bator, jako zabytek sakralny i jedyny działający klasztor. Pewną liberalizację w stosunkach państwo-Kościół można było zauważyć już wcześniej, np. pozwolono lamom na udzielanie lekcji angielskiego, dwa lata temu wydano kalendarz i serię znaczków pocztowych z wizerunkami buddyjskich bóstw, obiecano renowację kilkumetrowego posągu Buddy, będącego niegdyś celem pielgrzymek z całej Azji. (Niestety, wciąż to tylko obietnica, Budda ciągle pozostaje w zamknięciu.) Ale społeczeństwo, w którym niegdyś co czwarty mężczyzna był mnichem, zostało skutecznie zlaicyzowane. Na dziedzińcu klasztoru pełno jest młodych ludzi, ale modlą się wyłącznie starzy. Młodzi Mongołowie nie znają już buddyjskich prawd ani obrządku. Bardzo możliwe, że wraz z "otwarciem na Wschód" (Japonia, Indie), ze zmianą sytuacji politycznej, mongolski buddyzm zacznie się odradzać.

Kontakty i kontrakty z Japonią, budzące nadzieje mongolskiego społeczeństwa, będą istniały obok, a nie zamiast współpracy ze Związkiem Sowieckim. W Mongolii pozostaje przeszło 100 tys. Rosjan: 65 tys. żołnierzy i 50 tys. wykwalifikowanych robotników specjalistów. Osiedlanie ich w wydzielonych dzielnicach i blokach, jak i sieć własnych sklepów (ten najstarszy, otoczony parkanem, z budką dla strażnika) na pewno nie sprzyja pozyskiwaniu sympatii społeczeństwa. Wielka radość na przedstawieniu w cyrku, kiedy to mongolski klaun przynaglał do pracy Rosjanina, była wymownym komentarzem do panujących tu stosunków.

W czasie poprzednich wakacji, a więc przed zmianami w Europie Wschodniej, w Ułan Bator przebywało wielu Polaków, Węgrów, Czechów. Podczas spotkania takiego mieszanego towarzystwa, w którym było również kilku mongolskich studentów, ośmielony szampanem Czech wzniósł krótki toast: "Za wolną Mongolię!". Konsternacja Mongołów przerwana została dopiero toastem Polaka: "Za wolną Czechosłowację!".

Ewa Szawarska

Republika Południowej Afryki

Leszek Kaleta

Biało-czarny konflikt trwa

Republika Południowej Afryki przeżywa nowy rozdział w swojej historii. Rodzą się liczne pytania: Czy kraj ten przestanie być kojarzony z apartheidem i światowym bojkotem i stanie się "motorem" gospodarczych i politycznych przemian w Afryce? — pierwsze kroki zostały już poczynione. Zwolniono więźniów politycznych, w tym Nelsona Mandelę, dopuszczono zakazane do tej pory partie i organizacje polityczne czarnych obywateli RPA. Na początku czerwca br. prezydent de Klerk odwołał stan wyjątkowy, zaś 19.06. zniósł częściowo segregację rasową. Czy też RPA stanie się terenem kolejnego lokalnego konfliktu zbrojnego? — nasila się bowiem radykalizacja przeciwnych obozów. "Chlebem powszednim" są strajki, demonstracje, krwawe starcia, ofiary śmiertelne. Czy biało-czarny tandem: de Klerk-Mandela osiągną kompromis do zaakceptowania przez większość?

Kiedy w kwietniu br. do wypełnionej po brzegi sali konferencyjnej Verwoerd-House w Kapsztadzie jednocześnie wkroczyli południowoafrykański prezydent Frederik de Klerk oraz wiceprzewodniczący Afrykańskiego Kongresu Narodowego (ANC) Nelson Mandela — licznie zgromadzeni dziennikarze i politycy mieli pewność, iż doszło do historycznego momentu w dziejach RPA. Kto by bowiem przypuszczał, że "wróg numer 1" państwa Burów (holenderskich potomków białej mniejszości RPA), "komunistyczny terrorysta" będzie partnerem do rozmów na temat przyszłości tego kraju. Jak to się stało, że południowoafrykański prezydent, niegdysiejszy zwolennik apartheidu, stanie się inicjatorem i "głównym nośnikiem" przemian, otwierających nową drogę? Niektórzy twierdzą, że duży wpływ miała głęboka religijność de Klerka — wiara odrzucająca rozdział rasowy jako grzech. Jednak bardziej prawdopodobne chyba jest to, że kraj przeżywa po prostu kryzys: zarówno polityczny jak i gospodarczy.

Przemiany w Związku Sowieckim i Europie Wschodniej na pewno odegrały znaczną rolę. Bardzo kosztowne finansowanie przez ZSSR realizacji "socjalistycznej drogi rozwoju" afrykańskich krajów oraz wzrastające wewnętrzne napięcia w tym wielonarodowym państwie i coraz bardziej odczuwalne trudności gospodarcze spowodowały, że Związek Sowiecki powoli ale systematycznie zmniejsza zainteresowanie czarnym kontynentem. Czy de Klerk doszedł do wniosku, że zagrożenie komunistycznym przewrotem ze strony sowieckich satelitów — sąsiadów RPA — Mozambiku i Angoli jest coraz mniej prawdopodobne, czego wyrazem jest choćby podpisanie umowy o wycofaniu wojsk kubańskich z Angoli oraz akt niepodległości dla Namibii, przez dziesięciolecia protektoratu RPA? Zapewne wszystko razem.

Nelson Mandela i predydent de Klerk zapoczątkowali nowy rozdział w historii RPA.

TAJNY DOKUMENT

Przemiany w RPA rozpoczęły się trzy lata temu, kiedy w lutym 1987 roku prasa południowoafrykańska opublikowała tajny dokument zapowiadający zmiany. Dokument ten zrodził się z inicjatywy rządzącej w RPA Partii Nacjonalistycznej, której członkiem jest de Klerk. Czołowi politycy tej partii przewidywali, że kierowanie krajem bez udziału reprezentantów czarnej ludności i utrzymanie dotychczasowych stosunków społeczno-politycznych z obowiązującym od 1948 roku zakazem udziału w wyborach dla tej części ludności — nie będzie możliwe. W raporcie mówiło się o konieczności legalizacji prokomunistycznego Afrykańskiego Kongresu Narodowego (i innych partii czy organizacji skupiających czarną ludność) oraz zwolnienia z więzień przeciwników politycznych, przede wszystkim siedzącego za kratami od prawie 25 lat byłego przywódcy ANC Nelsona Mandeli, którego postać na całym świecie kojarzyła się z RPA i apartheidem. Była to jedyna droga dla tych, którzy uważali, że nie wolno dopuścić do ostatecznej, krwawej rozgrywki między białymi i czarnymi i wymazania ze sceny politycznej 5-milionowej mniejszości białych.

Po objęciu w ub. roku rządów przez Frederika Willema de Klerka nastąpiła konsekwentna realizacja planów z 1987 roku. Zwolniono z więzienia (po 27 latach) Nelsona Mandelę, dopuszczono do oficjalnego działania Afrykański Kongres Narodowy i partię komunistyczną. Zwol-

niono także setki więźniów politycznych, w tym siedmiu czołowych działaczy ANC, cofnięto zakaz demonstracji i zapowiedziano przemiany strukturalne, łącznie ze stworzeniem nowej konstytucji, która "mogłaby zostać zaakceptowana przez większość społeczeństwa", a przede wszystkim zapowiedziano zniesienie obowiązującego od 37 lat apartheidu.

Nowa ustawa z czerwca br. (wchodzi w życie z dn. 1 października br.) znosi formalnie rozdział rasowy obowiązujący w życiu publicznym: urzędach, bibliotekach i szkołach, komunikacji miejskiej, na plażach, kąpieliskach, itd. Piszę formalnie, bowiem wydaje się, iż w praktyce apartheid będzie funkcjonował jeszcze długo. Likwidacja tablic z napisem: "Tylko dla białych" nie rozwiąże przecież zakorzenionego w świadomości zarówno białych i czarnych systemu rodziału rasowego. "Z dnia na dzień nie jesteśmy w stanie zmienić starego systemu na nowy" – stwierdził jeden z przedstawicieli rządu. "Jesteśmy bezsilni – mówi minister wychowania RPA w odpowiedzi na zarzut nieprzyjmowania czarnych uczniów do szkół dla białych, o czym informowała już wielokrotnie prasa – bowiem nie możemy zmusić dyrekcji szkół do przyjęcia czarnych uczniów. Jest to możliwe tylko w przypadku zgody wszystkich (czytaj: białych) rodziców."

SANKCJE GOSPODARCZE

W maju br. prezydent de Klerk odbył tourneé po 9 krajach Europy Zachodniej mając nadzieję, że po uwolnieniu Mandeli oraz dopuszczeniu do oficjalnego działania ANC zniesione zostanie embargo na handel z Republiką Południowej Afryki. Z kolei Mandela, który w trzy tygodnie po de Klerku również odbył podobną podróż – chociaż wierzy w "dobre intencje" de Klerka – jest przeciwny zniesieniu sankcji twierdząc, że są elementem nacisku zmuszającym rząd RPA do dalszych reform. Wydaje się, że żądania Mandeli nie mają jednak większych szans na pozytywne echo i należy się wkrótce spodziewać odwołania embarga.

Wprowadzenie bojkotu gospodarczego w 1986 roku spowodowało, że ponad 300 międzynarodowych firm oficjalnie opuściło terytorium RPA. Jednak większość z nich nadal fukcjonuje w RPA, bardzo często z tym samym kierownictwem i załogami, działając na tzw. licencji. Choć formalnie są one w posiadaniu innych osób prawnych – najczęściej obywateli RPA – w rzeczywistości nie zmieniły właścicieli, tylko szyld.

Pod rządami p. premier Thatcher większość brytyjskich firm pod innymi nazwami kontynuuje współpracę gospodarczą z RPA, podobnie jak amerykańskie firmy zajmujące się wydobywaniem bogatych złóż mineralnych. Po wprowadzeniu bojkotu RPA straciła wprawdzie (oficjalnie) bezpośrednich dostawców z USA czy krajów skandynawskich, ale na ich miejsce bardzo szybko weszły nowe kraje jak RFN, Japonia, Tajwan czy Hiszpania, a dotychczasowi partnerzy wydłużyli tylko drogi eksportowanych towarów, wykorzystując jako stacje pośrednie kraje Trzeciego Świata. Również import z RPA tylko nieznacznie uległ zmniejszeniu. I tak np. południowoafrykański węgiel mieszany jest w Holandii z węglem pochodzącym z innego kraju i sprzedawany jako tzw. "dutch blendy". Południowoafrykańska stal wędruje do Turcji i tam minimalnie przerabiana, już jako turecka, znajduje odbiorców często w krajach (oficjalnie) bojkotujących RPA. Prawie cała flota południowoafrykańska pływa i łowi dalej – pod innymi flagami. Kraje sąsiedzkie – za odpowiednią cenę – eksportują jako własne towary południowoafrykańskie, jak np. Mozambik – stal. W sumie bojkot i sankcje gospodarcze wobec RPA dały mniejsze niż oczekiwano rezultaty. Przy wydatnej pomocy bojkotujących. Kilka (oficjalnych) danych:

Bojkot gospodarczy zmusił RPA do produkcji wielu towarów do tej pory importowanych.

Eksport towarów do Stanów Zjednoczonych spadł w ciągu ostatnich dwóch lat o 413 mln dol. Import z 19 najważniejszych partnerów handlowych RPA – o 624 mln. Koszty embarga na ropę naftową szacuje się na 2 mld dololarów rocznie. Ogólne straty południowoafrykański Trust Bank szacuje na 20 mld dol. "Gdyby bojkotu nie było, byłibyśmy (biali) o 10% bogatsi" – stwierdził bankier.

To jedna strona medalu. Bojkot zmusił RPA do zastosowania polityki autarkii – rozpoczęcia produkcji wielu towarów do tej pory importowanych. Poważny "sukces" RPA osiągnęła w przemyśle zbrojeniowym. Koncern zbrojeniowy ARMSCOR stał się największym zakładem przemysłowym RPA, jednym z największych eksporterów i najobfitszym źródłem dewiz. Obecnie RPA w 50% pokrywa zapotrzebowanie na benzynę. Wprawdzie koszty porodukcji benzyny syntetycznej są trzykrotnie wyższe, jednak masowa budowa zakładów produkujących benzynę przyczyniła się pośrednio do rozwoju przemysłu stalowego. Co jest pewnym kuriosum biorąc pod uwagę obecny światowy kryzys hutnictwa. Produkty uboczne powstałe przy wytwarza-

Republika Południowej Afryki – powierzchnia 1221 tys. km², około 40 milionów mieszkańców, stolica państwa Pretoria, siedziba parlamentu jest Kapsztad. Dzieli się na cztery prowincje: Przylądkową, Natal, Orania i Transwal. Języki urzędowe – afrikaans i angielski. Jednostka monetarna – rand. Około 70% ludności RPA to czarne plemiona, głównie Zulu, Kosa, Sutu, Tswana; znaczną grupę około 17% tworzy ludność pochodzenia europejskiego, głównie potomkowie osadników holenderskich zwanych Burami oraz Brytyjczycy. Ponadto RPA zamieszkuje ludność mieszana, tzw. Koloredzi oraz ludność pochodzenia azjatyckiego – głównie Hindusi. Ludność pochodzenia nieeuropejskiego (nie biała) podlega dyskryminacji rasowej, której wyrazem jest polityka segregacji ekonomicznej i społecznej (apartheid). Czarna ludność mieszka na terenach wydzielonych, w tzw. bantustanach lub też osobnych dzielnicach w większych miastach.

RPA jest republiką; wg konstytucji z 1961 roku jest państwem unitarnym z ograniczoną autonomią lokalną w poszczególnych prowincjach; głową państwa jest prezydent wybierany na siedmioletnią kadencję przez obie izby parlamentu; władza ustawodawcza należy do Izby Zgromadzeń i Senatu. Część senatorów mianowana jest bezpośrednio przez prezydenta, reszta przez władze prowincjonalne. Prawo wyborcze przysługuje tylko białym. Od 1969 roku działa jako organ samorządowy tzw. rada przedstawicielska osób kolorowych. Konstytucja sankcjonuje dyskryminację rasową (apartheid). Główne partie polityczne – rządząca prawicowa Partia Nacjonalistyczna (NP), współrządzące – Postępowa Partia Federalna (PFP), Partia Nowej Republiki (NRP). Nielegalnie działały (do 1989) – Południowoafrykańska Partia Komunistyczna, Afrykański Kongres Narodowy (ANC), Kongres Panafrykański (PAC). Działają również liczne lokalne partie polityczne w bantustanach.

Nelson Mandela, 71 lat, wiceprzewodniczący prokomunistycznego Afrykańskiego Kongresu Narodowego (ANC). Urodził się w bantustanie Transkei. Po skończeniu studiów prawniczych w Johanesburgu, wraz z z obecnym przewodniczącym ANC Oliverem Tambo utworzył pierwszą w historii RPA "czarną" kancelarię adwokacką. Aresztowany w 1962 r. Dwa lata później skazany na dożywocie za spisek zmierzający do obalenia rządu. W latach 80-tych "awansował" na najbardziej prominentnego więźnia świata. Zwolniony po 27 latach pobytu w więzieniu w ub. roku. Zwolennik używania przemocy oraz gospodarki planowej z "pewnymi elementami wolnego rynku". Credo Mandeli: "Naród powinien rządzić" (czytaj: ANC powinien rządzić).

W wywiadzie udzielonym hamburskiemu magazynowi politycznemu DER SPIEGEL (nr 24) Mandela wyraził się, iż najpilniejszą obecnie sprawą jest podjęcie rozmów z rządem południowoafrykańskim. Podkreślił, że przeszłości trzeba zapomnieć i należy patrzyć tylko w przyszłość. Jest za amnestią dla wszystkich, bez żadnego wyjątku. "Chcemy kraju demokratycznego, w którym kolor skóry nie będzie odgrywał żadnej roli. Nasze podstawowe żądanie: sone man, one votes – jeden człowiek, jeden głos. O wszystkim innym możemy rozmawiać. W skarcie wolności ANC ogłosiliśmy, że w RPA jest miejsce dla wszystkich – i białych i czarnych."

Mandela podkreślił, że cel nie został jeszcze osiągnięty, dlatego Afrykański Kongres Narodowy w dalszym ciągu popiera używanie przemocy. Jest za utrzymaniem sankcji wobec RPA, gdyż ich zniesienie poprawi tylko i tak już wysoki standard białych. "Mój naród jest biedny, chory, brakuje mu mieszkań. Nie jesteśmy zainteresowani ożywieniem systemu, w którym nie bierzemy udziału. Interesuje nas system gwarantujący r ó w n y podział dobrobytu." Stwierdził, iż nie należy obawiać się upaństwowienia przemysłu, bowiem "Afryka rządzi się innymi prawami", ale – jak dodał – otwarta jest na przyjęcie "sprawdzonych" modeli europejskich. "Rozwinięmy własną drogę do socjalizmu, unikniemy takich słabości demokracji europejskiej, jak choćby brak możliwości swobodnego i demokratycznego udziału w życiu publicznym." Gwarantuje, że mimo gwałtownych przemian w Europie Wschodniej, kraje jak Mozambik, Angola, Etiopia czy Zimbabwe "nie odstąpią od prawdziwego socjalizmu". Mandela jest przekonany, że większość Afrykańczyków nie chce mieć nic wspólnego z kapitalizmem: "To jest główny element różniący ludność Europy od Afryki."

Mandela podkreślił, że nie jest członkiem partii komunistycznej, choć "idee socjalizmu są mu bardzo bliskie".

niu benzyny syntetycznej umożliwiły rozwój przemysłu chemicznego i farmaceutycznego. Polityka samowystarczalności w dużym stopniu wyszła RPA na dobre – polepszyła nieco fatalną strukturę gospodarki RPA.

KRYZYS GOSPODARCZY

Poważnym problemem gospodarki RPA jest jej kryzys strukturalny. W zasadzie oparta jest ona na dwóch elementach: niskich płacach dla czarnych robotników i stosunkowo wysokich cenach surowców, głównie złota. W latach 50-tych i 60-tych kraj ten przeżywał boom gospodarczy, szczególnie wojna w Indochinach spowodowała gwałtowny popyt a zarazem wzrost cen surowców. Wprawdzie pod koniec lat 70-tych ceny drastycznie spadły, jednak dzięki bardzo wysokiemu wydobyciu złota, RPA swobodnie mogła zatykać powstałe dziury. W 1963 roku RPA sprzedała złota na sumę 686 mln dol. a w 1979 – 10,4 mld. Sytuacja pogorszyła się w latach 80-tych. Gdy jeszcze w 1980 roku za jedną uncję złota płacono 870 dol., to w 1989 już tylko 360 i od tej pory cena złota pozostaje na tym, niskim poziomie. W powiązaniu z bojkotem doprowadziło to oczywiście do zmniejszenia wpływów dewizowych i zagrożenia wypłacalności kraju. Banki światowe zaczęły z dużą ostrożnością i coraz rzadziej udzielać kredytów RPA. Nastąpił okres zaciskania pasa – wprowadzono drastyczne opłaty celne na importowane towary, podwyższono podatki i wprowadzono wysokie oprocentowanie kredytów. Wiele firm, by zmniejszyć koszty "ucieka" do Europy, np. przed dwoma laty opuścił RPA jeden z największych koncernów mieszanych Rembrandt czy imperium handlu diamentami De Berns. Następne koncerny zapowiadają podobny krok. W konsekwencji kraj pozbawiony zostanie ogromnych sum pochodzących z podatków. By uratować gospodarkę RPA, konieczne są zasadnicze zmiany strukturalne – odejście od eksportu tanich surowców czy półproduktów i przejście na produkcję konkurencyjnych towarów znajdujących odbiórców w świecie. Paradoksalne – polityka samowystarczalności była jakby pierwszym krokiem w tym kierunku, lecz by RPA mogła przeżyć, musi zostać zintegrowana z gospodarką światową i stać się jej trwałym elementem. Bez zniesienia bojkotu wobec Republiki Południowej Afryki nie jest to na szeroką skalę możliwe.

RPA z jej potencjałem materiałowym i ludzkim ma szansę stać się "siłą napędową" gospodarczych przemian na całym kontynencie afrykańskim. Trzeba jednak przekonać czarnych mieszkańców, że kapitalizm (bez podziału rasowego), a nie wizje Mandeli niezmiennie walczącego o "prawdziwy socjalizm" – jest dla nich jedyną szansą.

W POTRZASKU?

Prezydent de Klerk po zakończeniu 18-dniowej podróży w maju br. po Europie wyraził się optymistycznie, jeśli chodzi o przyszłe stosunki RPA z Europą Zachodnią. "Droga do normalnych stosunków z Europą dla RPA jest otwarta" – powiedział na lotnisku w Johanesburgu. Powracającego z Europy prezydenta powitało około 1000 osób, przede wszystkim zwolenników jego nowej polityki. Zapewnił zgromadzonych, że Republika Południowej Afryki wkroczyła na nową drogę, z której nic i nikt nie jest w stanie jej zepchnąć. "Uwierzono nam (w Europie), że RPA się zmienia, jak zmienia się Europa." Chociaż de Klerk w czasie swojej podróży nie uzyskał żadnych obietnic, stwierdził jednak, że w niedalekiej przyszłości sankcje gospodarcze "nie będą miały większego znaczenia".

W momencie, kiedy de Klerk wyrażał swój optymizm co do przyszłości RPA, około 100 tysięcy osób, przeciwników polityki reform, demonstrowało na rzecz "ojczyzny dla białych". Zaś na pobliskim stadionie piłkarskim zgromadziło się 60 tysięcy czarnych, by wysłuchać Nelsona Mandeli, który zapewnił swoich pobratymców, że radykalni ekstremiści (biali) nie są w stanie go zastraszyć: "Już z wieloma podobnymi rozprawiliśmy się w przeszłości" – stwierdził. Podkreślił, że jest za wcześnie, by sankcje gospodarcze wobec RPA zostały zniesione, ponieważ represje nie ustały i czarni mieszkańcy RPA w dalszym ciągu nie mają prawa głosu.

EKSTREMIŚCI

Nowa polityka w RPA wymaga ustępstw na rzecz radykalnej białej mniejszości, jak i lewicowych organizacji czarnych. Z jednej stronach barykady stoją zwolennicy konserwatywnej linii zmierzającej do utrzymania dotychczasowych praw białej mniejszości, z drugiej zaś skrajnie lewicowe związki zawodowe i organizacje polityczne chcące np. utworzyć specjalne wydzielone tereny dla białych, czyli odpowiedniki obecnych homelandów dla ludności czarnej.

De Klerk i Mandela najchętniej dyskutowaliby sami nad przyszłością kraju, je-nak muszą liczyć się z tymi skrajnymi "faktorami władzy". Zarówno Mandela jak i de Klerk muszą z ogromną ostrożno-

ścią i wyczuciem prowadzić pertraktacje, co w obecnej sytuacji nie jest łatwe: zbyt daleko idące ustępstwa na rzecz jednej strony czy odwrotnie, mogą doprowadzić do jeszcze większej radykalizacji przeciwnych obozów, i w konsekwencji do wojny domowej.

Prezydent RPA ma poważnego przeciwnika: białych radykalnych konserwatystów, nie zgadzających się z przemianami zachodzącymi w RPA, i w przeprowadzanych reformach widzących zagrożenie ich status quo. "Prawdopodobnie, gdyby dzisiaj doszło do wyborów w RPA, osiągnęliby większość" – twierdzi konserwatywny zachodnioniemiecki dziennik *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (2.06.). "Biali, radykalni ekstremiści gotowi są na wszystko i co jest najgroźniejsze – uzbrojeni są po zęby." Dziennik dodaje, że obcokrajowcy zwiedzający Park Narodowy im. Krügera nie wierzyli własnym oczom, ile broni posiadają biali obywatele RPA, którą składają w depozyt przed wkroczeniem do parku. "W momencie, gdy czarni będą »zbyt bezczelni«, ich właściele gotowi są jej użyć. Nie zawahają się także przed strzelaniem do białych pobratymców, którzy zamierzają sprzedać czarnym »ich« kraj".

Biali mieszkańcy RPA masowo składają wizy wyjazdowe do Kanady czy Australii, sklepy handlujące bronią są wykupywane "do czysta". Przywódcy profaszystowskiej organizacji białych Afrykanerów "Ruchu Ochrony Afrykanerów" twierdzą, iż należy "oliwić broń".

W nielepszej systuacji jest również Mandela. Ostatni rozdział walki czarnych Afrykan kończy się wewnętrznymi rozgrywkami. Mandela i Afrykański Kongres Narodowy są coraz częściej krytykowani. Do konfliktów dochodzi zarówno wewnątrz ANC jak i między rywalizującymi ze sobą organizacjami czarnych. Coraz większą popularność zdobywa (również prokomunistyczny) Kongres Panafrykański (PAC), którego głównym mottem działania jest przysłowie Mao Tse-tunga: "Podczas rozmów nie osiągnie się niczego, co uprzednio nie zostało wywalczone na polu bitwy."

PAC uformował się w połowie lat 50-tych z młodych członków ANC, którzy sprzeciwili udziałowi białych komunistów w ich organizacji. Od 1959 roku PAC finansowany jest przede wszystkim przez Pekin. Najsłynniejszym przywódcą Kongresu był zamordowany w więzieniu przez policję obrońca praw człowieka Steve Biko. Przypuszcza się, że za nową falą terroru w RPA stoi właśnie kadra PAC. Młodzi ludzie z Kongresu walczą nie tylko przeciwko białym, ale także przeciwko autorytetowi "starych ludzi" – przywódców ANC z lat 60-tych, którzy latami albo przebywali za kratkami, albo na emigracji i zdaniem młodych gniewnych stracili kontakt z rzeczywistością. Mimo ogromnej popularności jaką zdobył Nelson Mandela, ma on coraz większe kłopoty z przekonaniem młodych aktywistów do swojej – pokojowej drogi rozwiązania południowoafrykańskiego problemu. Obecne zamieszki swoją brutalnością i rozmiarem przekraczają krwawe konflikty rasowe z połowy lat 80-tych.

Jedna z ofiar walk czarnych z czarnymi

Do najbardziej ostrych zamieszek dochodzi w prowincji Natal. Tylko w marcu zginęło tam ponad 300 osób, w kwietniu następne 200. W sumie w ciągu ostatnich 4 lat na skutek walk czarnych z czarnymi zginęło prawie 3000 osób. "Są to największe zamieszki między czarnymi w tym stuleciu" – pisze hamburski magazyn polityczny *Der Spiegel*.

Najbardziej znaczącą siłą w Natalu jest partia Inkatha, pod przywództwem wodza 6-milionowego plemienia Zulu – Mangosuthu Butheleziego, którego konkurentem jest lewicowa organizacja czarnych UDE, współpracująca z ANC. W prowincji tej obowiązuje nadal stan wyjątkowy. Jest to tykająca bomba zegarowa, która w każdej chwili może eksplodować.

Prawicowi ekstremiści poczas ćwiczeń: czy będą "oliwić broń"?

PRZYSZŁOŚĆ?

De Klerk stoi przed poważnym problemem. Wie, że musi władzę oddać czarnym. Musi zrobić wszystko, by przekonać do swoich planów radykalnych białych, jak i nie dopuścić do "zmiany ról", tj. by po przejęciu władzy przez czarnych, biała mniejszość nie zajęła ich miejsca. Mandela zaś, gdy kiedyś przejmie rządy, realizując idee "prawdziwego socjalizmu" nie może doprowadzić, by biali, najbardziej wykształcona i fachowa część społeczeństwa, opuścili kraj, jak to miało miejsce np. w Angolii czy Mozambiku, co doprowadziłoby RPA do ruiny; z drugiej strony musi dążyć do tego, by biali, dla których od pokoleń ojczyzną jest RPA, nie zostali zmuszeni do zbrojnej walki o swoje prawa. Czy RPA stanie się miejscem regionalnego konfliktu? – pytanie uzasadnione, ale udzielenie odpowiedzi jest niezwykle trudne.

Leszek Kaleta

»Pieriestrojka« na czarnym kontynencie

Zmiany w Europie Wschodniej i gorbaczowowska "pieriestrojka" przyczyniły się także do powolnych zmian w Afryce. Skoncentrowana na przemianach w Europie Wschodniej czy obecnie na procesie zjednoczeniowym Niemiec, zachodnia opinia publiczna prawie nie dostrzega zmian zachodzących w Afryce. Kiedy padał berliński mur i obalano władzę Ceausescu w Rumunii, po 17 latach marksistowskich rządów, w Ludowej Republice Beninu (do 1975 roku Dagomea, państwo w zach. Afryce, graniczące z Nigerią, 112 tys. km²) dokonywał się przełom.

Kraj ogarnęły strajki i demonstracje. Ludowa republika już od kilku lat znajduje się w kryzysie. Strajkowali urzędnicy państwowi czekający na wypłatę. Szkoły i uniwersytet od dwu lat są zamknięte. Wszystkie banki kraju stoją na krawędzi bankructwa. Wiarygodność wobec kapitalistycznego Zachodu spadła do zera. Padło wiele ofiar, gdyż siły bezpieczeństwa otrzymały rozkaz strzelania do demonstrantów.

Wreszcie w dniu 7-go grudnia 1989 r. rządzący marksiści zapowiedzieli zmiany w konstytucji, wprowadzenie wielopartyjności i pluralizmu związkowego, jak również powołanie Komitetu Ocalenia Narodowego, skupiającego wszystkie demokratyczne siły narodu. Dzięki cywilnej odwadze benińskich demokratów i pomocy finansowej Francji w wys. ok. 1,5 mln franków dla byłej czteromilionowej kolonii, w dniach 19-28 lutego br. doszło do spotkania członków Komitetu Ocalenia Narodowego, na którym zadecydowano o wypuszczeniu wszystkich więźniów politycznych, utworzeniu rządu tymczasowego i zorganizowaniu w styczniu 1991 roku pierwszych wolnych wyborów do parlamentu.

***

W Zairze prezydent Mobutu mówi o konieczności stworzenia systemu wielopartyjnego. Houphouet Beigny, szef państwa Wybrzeża Kości Słoniowej, rozważa możliwość podania się do dymisji, gdyż gniew społeczeństwa wywołany katastrofalnym stanem gospodarki, korupcją, staje się coraz bardziej widoczny. Decyzję prezydenta przyspieszą — jeśli nie jest już za późno — zbliżające się do stolicy oddziały powstańcze.

Również w Tanzanii i Kenii dąży się do utworzenia systemu wielopartyjnego.

***

Następują zmiany w świadomości mieszkańców Afryki, którzy powoli odchodzą od wizji socjalistycznego rozwoju kontynentu. Nigeryjczyk Adbayo Addji, przewodniczący komisji gospodarczej d/s kontaktów gospodarczych z Afryką przy ONZ, który jeszcze do niedawna przyczyny kryzysu w Afryce widział poza czarnym kontynentem (czytaj: imperializm zachodni) obecnie twierdzi, iż tylko polityczne i gospodarcze przemiany w krajach afrykańskich mogą zachęcić Zachód do stworzenia szerokiego programu pomocy Afryce.

Zmiana nastąpiła również i na Zachodzie. Do tej pory świat zachodni posługiwał się teorią, iż w wielonarodowych krajach afrykańskich nie ma możliwości rozwoju demokracji na wzór zachodni. Wielopartyjny system może doprowadzić tylko do sporów, waśni i krwawych rozrachunków między różnymi plemionami afrykańskimi. Tylko sytem jednopartyjny, rządy silnej ręki miały szanse na sukces. Kilka przykładów nie pasujących do tego modelu, jak np. pluralistyczne systemy w Senegalu czy Gambii nie były brane pod uwagę i traktowano je jako wyjątek nie potwierdzający reguły. Nawet Stany Zjednoczone, kraj miłujący i walczący o demokrację, przymykały oko na brutalne rządy afrykańskich jedynowładców i rzadko interesowały się lub reagowały na liczne przypadki

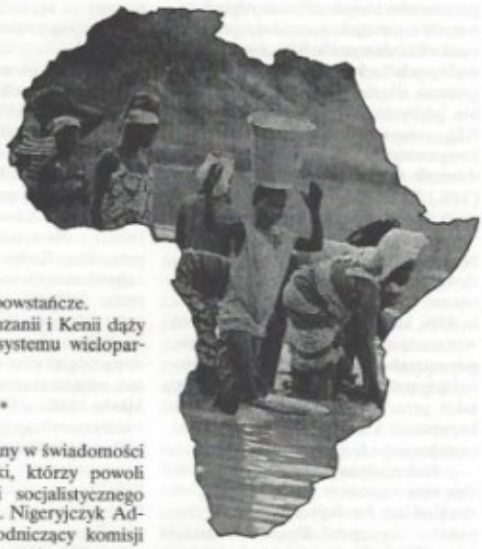

łamania podstawowych praw obywatelskich. Po wybuchu "wschodnioeuropejskiego wulkanu" stosunek Zachodu do Afryki zaczyna się zmieniać. Stany Zjednoczone obecnie kładą większy nacisk na niesienie pomocy finansowej krajom, w których nastąpiły procesy demokratyzacyjne. Jednak niesiona pomoc finansowa musi być powiązana z żądaniami realizacji postulatów demokratyzacyjnych. W ubiegłym roku Bank Światowy w swoim raporcie o Afryce zwrócił uwagę, iż korupcja i żądza posiadania u wielu afrykańskich przywódców jest ogromną przeszkodą w udzielaniu pomocy finansowej tym krajom. Zwiększenie udziału ludności w politycznych i gospodarczych przemianach, powiązanie reform gospodarczych ze zmianami systemowymi może przyczynić się do likwidacjikryzysu — czytamy w raporcie. Jednak to bardzo ogólne stwierdzenie. Afryka oprócz pieniędzy z Zachodu, potrzebuje przede wszystkim konkretnych programów gospodarczych, zabezpieczenia rynków zbytu i dopasowania pomocy do specyficznej sytuacji danego kraju.

(FAZ, 19.05.)

Jemen

Zjednoczenie marzeniem od lat

Podczas gdy światowa opinia publiczna skierowała swoje zainetersowanie na proces zjednoczeniowy Niemiec, w maju br. doszło do zjednoczenia dwu republik jemeńskich: Jemeńskiej Republiki Arabskiej (Jemen Północny) i Ludowo-Demokratycznej Republiki Jemenu (Jemen Południowy). Po ratyfikacji przez oba państwa jemeńskie układu zjednoczeniowego, dotychczasowy prezydent Jemenu Północnego Ali Abdallah Salih, który został jednocześnie prezydentem zjednoczonego państwa, ogłosił w dn. 28 maja br. akt zjednoczenia i powstanie Republiki Jemenu, ze stolicą w Adenie.

Idea zjednoczonego Jemenu zrodziła się już kilkaset lat temu. Nawet gdy po uzyskaniu niepodległości w 1967 roku (od Brytyjczyków) powstały dwa państwa jemeńskie – idea zjednoczonego Jemenu była ciągle aktualna. Główne trudności polegały na wybraniu wspólnej, politycznej drogi. Mimo iż Jemen Południowy obrał socjalistyczną drogę rozwoju i ściśle współpracował ze Związkiem Sowieckim i innymi krajami socjalistycznymi, idea socjalizmu nigdy nie zakorzeniła się w świadomości społeczeństwa. Zaś w Jemenie Północnym niezwykle trudne było przejście ze średniowiecznych rządów imamów do nowoczesnej republiki XX wieku.

Zwalczające się strony uzyskiwały poparcie z Egiptu i Arabii Saudyjskiej. W 1972 roku doszło nawet do krótkotrwałej wojny między dwoma państwami jemeńskimi. Po jej zakończeniu doszło do spotkania przedstawicieli Północy i Południa, na którym podpisano porozumienie dotyczące połączenie obu państw w jednolity organizm – nie weszło ono jednak w życie. W ciągu tych lat dochodziło do wielu napięć, sporów granicznych, wojennych potyczek, puczów oficerów w obu stolicach. W 1981 roku podpisano kolejne porozumienie o "współpracy i koordynacji zjednoczeniowych działań obu państw". Do przełomu doszło dopiero w okresie "pieriestrojki" w Związku Sowieckim i zmniejszonego zainteresowania państwami arabskimi ze strony ZSSR. Bez masowej pomocy socjalistycznych braci, Jemen Południowy coraz bardziej gospodarczo upadał. Polityczne i gospodarcze otwarcie kraju na Zachód i związane z tym zjednoczenie z Północą okazało się jedynym wyjściem.

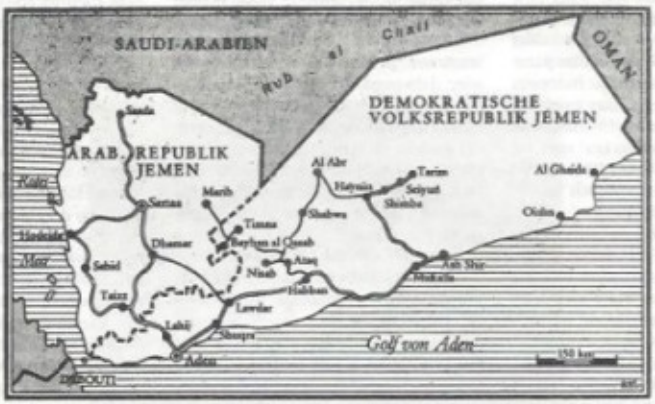

Po zjednoczeniu Jemeńskiej Republiki Arabskiej (po lewej) i Ludowo-Demokratycznej Republiki Jemenu (po prawej) powstała Republika Jemenu (linia ciągła). * mapka: FAZ

Proces zjednoczeniowy ma trwać dwa i pół roku, po czym wybrany zostanie wspólny parlament. Nowo powstałe państwo jemeńskie czeka rozwiązanie wielu politycznych, gospodarczych i socjalnych problemów. Może nawet dojść do rozpadu zjednoczonego państwa na szereg samodzielnych jednostek, bowiem Jemen zamieszkuje kilka plemion starających się utrzymać niezależność. Silny opór istnieje ze strony tzw. Braci Muzułmańskich (Jemen Północny), którzy obawiają się, iż dość liberalne stosunki międzyludzkie byłego komunistycznego Południa rozszerzą się na Północ. Ma powstać nowa konstytucja, w której – tak domaga się Południe – prawo islamskie (szaria) będzie li tylko uwzględnione, Północ zaś chce konstytucję oprzeć całkowicie na prawie islamskim. Przewiduje się również wprowadzenie zakazu "okrutnego traktowania", tj. skazywania na karę chłosty czy amputację kończyn, liberalne wychowywanie dzieci, przede wszystkim dziewcząt, czy też emancypację kobiet. Z drugiej strony świecki Jemen Południowy obawia się, pod naciskiem fundamentalistycznych sił Północy, utraty dotychczasowych "zdobyczy".

Kolejny problem to stosunki z sąsiednią Arabią Saudyjską. Wprawdzie nowo powstała Republika otrzyma od Arabii Saudyjskiej pomoc finansową, jak się wyraził król Fahd "totalną i bezwarunkową", jednak oba kraje nie dowierzają sobie, bowiem do tej pory nie rozwiązano problemu granic. Tradycyjnie już od wieków mieszkańcy Arabii Saudyjskiej obawiają się Jemeńczyków, najliczniejszego narodu arabskiego na Półwyspie Arabskim – ok. 15 mln osób w porównaniu do 1 mln Arabów z Arabii Saudyjskiej. Nie bez śladów zapewne zostaną w świadomości Arabów z sąsiedniego królestwa demokratyczne przemiany zachodzące w zjednoczonym Jemenie, jak np. wybory do parlamentu, których nie znają mieszkańcy Arabii Saudyjskiej, co mogłoby się przyczynić do obalenia tradycyjnych form rządów opartych na dynastii. (FAZ, 26.05.)

ARKADY – KSIĘGARNIA POLSKA
Alsterarkaden 10, 2000 Hamburg 10
tel. 040/346047

Andrzej Lewandowski

Kraj ładnej pogody i gospodarczej beztroski

Jakże pozbawionym emocji wydaje się być życie na Antypodach wobec ekscytujących przeobrażeń zachodzących obecnie na Starym Kontynencie. Być może właśnie oddalenie od źródeł większych konfliktów, w miarę niezanieczyszczone środowisko naturalne oraz przekazywany z ust do ust mit o panującym tutaj gospodarczym Eldorado ciągle stanowią przyczyny, dla których rokrocznie setki tysięcy ludzi ze wszystkich niemal zakątków świata wyrażają chęć osiedlenia się w Australii. Szczególnie dla ludności państw usytuowanych w pobliżu przeludnionych krajów, takich jak Indonezja, Wietnam, Indie czy Chiny zamieszkały przez nieco ponad 16 milionów obszar Australii z 7,6 mln km^2 stanowi nie lada pokusę. Tak samo zresztą i dla ludności tych populacyjnych "mocarstw".

Znany także polskim widzom australijski program TV "Towards 2000" (Bliżej roku 2000) przedstawił niedawno przyszłościowy wizerunek tego kraju za lat 30. Opierając się na opiniach naukowców autorzy doszli do wniosku, że tradycyjnie anglosaskie, konserwatywne społeczeństwo Australii poddane zostanie z konieczności wielu przobrażeniom. Bez względu na własne zdanie w tej kwestii Australijczycy muszą przyjąć do wiadomości, ze wszystkimi konsekwencjami tego stanu rzeczy, to, że geograficznie stanowią część Azji i Oceanii, gdzie rozrodczość ma nadal wysoką koniunkturę. Futurologiczne spekulacje nie wykluczają nawet zbrojnej inwazji obcych, co przy mizernej liczebności, słabym uzbrojeniu tutejszej armii oraz rozpadającym się sojuszu ANZUS niekoniecznie musi pozostać tylko teorią. Demograficzny skład społeczeństwa australijskiego ulegnie gwałtownym przeobrażeniom, czego na pewno nie powita z entuzjazmem ultrapra-

wicowa jego część. Tradycyjna grupa Australijczyków pochodzenia anglo-celtyckiego licząca obecnie ok. 74% zredukowana zostanie do ok. 53% populacji przy jednoczesnym wzroście liczby obywateli pochodzenia azjatyckiego z ok. 5% obecnie do ok. 26% w ciągu najbliższego ćwierćwiecza.

Powietrzna obserwacja – nie ochrona – wybrzeża Australii prowadzona jest na mocy kontraktu przez prywatną firmę, której "flota powietrzna" standardem nie odbiega daleko od samolotów obsługujących wewnętrzne połączenia w Polsce. Nic więc dziwnego, że wcale niemała liczba nielegalnych imigrantów bez specjalnych trudności regularnie przekracza granice Australii, nie mówiąc już o przemytnikach narkotyków, dla których jedynym hamulcem dla szerszej ekspansji jest stosunkowo mały rynek zbytu w tym kraju.

Pomimo że od zakończenia konfliktu indochińskiego minęło już 15 lat, to jedynym w zasadzie światowym osiągnięciem jego zwycięzców jest niemalejąca liczba uchodźców, wobec których często używa się terminu "boat people". Uciekają prymitywnymi łodziami, często płacąc oszczędności całego życia różnym pośrednikom i wybierając niebezpieczną podróż w nieznane, ponad życie w kraju, do którego "pieriestrojka" długo jeszcze nie dotrze. Część uchodźców dopływa do Malezji, Hongkongu czy Filipin powiększając tysięczne rzesze swoich poprzedników latami czekającymi w specjalnie utworzonych obozach przejściowych na dalszą migrację do Stanów Zjednoczonych, Australii czy Kanady. W ubiegłym roku cały niemal świat obiegły zdjęcia wietnamskich uchodźców, wobec których administracja Hongkongu po raz pierwszy zastosowała przymusowe wydalenie do ich rodzinnego kraju. Tzw. postępowy świat wyraził swoje oburzenie wobec praktyk stosowanych przez policjantów z Hongkongu, nikomu jednak nie przyszło do głowy doszukiwać się źródeł tego problemu i próbować wywierać nacisk polityczny i ekonomiczny na feudalno-marksistowskie władze wietnamskie w Hanoi (Ho Chi Minh) czy kambodżańskie w Phnom Penh. Australia wywiązując się z międzynarodowych zobowiązań wynikających z uczestnictwa w agencji ONZ d/s u-

Tubylcza ludność Australii – aborygeni

chodźców znajduje się w czołówce krajów biorących udział w przyjmowaniu tych ludzi.

Australia stanowi atrakcyjny punkt docelowy, szczególnie dla uchodźców z Indochin i z Bliskiego Wschodu ze względu na bardzo liberalne nastawienie tutejszych polityków do kwestii imigracji. Mimo to w zbliżającym się roku finansowym (od początku lipca do końca czerwca roku następnego) ogólna liczba zezwoleń na imigrację ma ulec redukcji o 10% (w ubiegłym roku wydano 140 tys. zezwoleń). Labourzyści pod wodzą premiera R. Hawke'a zatrzymali urząd na kolejną czwartą kadencję odnosząc zwycięstwo w marcowych wyborach federalnych. Wprawdzie wynik wyborów daleki był od optymistycznych przewidywań propagandystów z ALP (Australian Labor Party), to jednak będący w opozycji liberałowie nie potrafili przedstawić konkretnego i jasnego programu, który pozwoliłby im zmienić układ sił w państwie.

Sukcesorem premiera Hawke'a my być obecny minister finansów Paul Keating, którego kandydatura nie zwiastuje niczego dobrego dla podatników tego kraju. Jako minister finansów Keating był autorem wielu niepopularnych decyzji gospodarczych, które wpłynęły na to, że – zdaniem złośliwych – australijska gospodarka nie różni się zbytnio od gospodarki krajów Trzeciego Świata. Roczna inflacja utrzymuje się w granicach 10%, stopa procentowa (przy zakupie nieruchomości) wynosi ok. 16% rocznie i będąca na pograniczu recesji gospodarka nie stanowi powodu do dumy dla obecnej administracji. Przez wiele lat Australia żyła owocami cenowego boomu na surowce mineralne i podstawowe produkty rolne, zaniedbując inwestycje w sektorach zajmujących się przetwórstwem. W czasach taniego kredytu nikt zbytnio nie przejmował się szalonym wzrostem konsumpcji. Obecnie sprawy się nieco skomplikowały. Specjaliści coraz częściej biją na alarm zwracając uwagę na kolosalne zadłużenie Australii za granicą. Suma ok. 140 mld $A (ok. 110 mld US$)

Premier Australii Bob Hawke

przy niewielkiej populacji stawia ten kraj w czołówce najbardziej zadłużonych państw świata.

Szalone tempo rozwoju wielu azjatyckich krajów tego regionu, a także ekspansja ekonomiczna Japonii nie dają Australii większych szans w gospodarczym wyścigu. Niekonkurencyjne wyroby tutejszego przemysłu ustępują miejsca masowej produkcji z importu, której jeszcze większy napływ hamują jedynie taryfy celne oraz ograniczenia ilościowe. Reputacja Australii wśród światowych inwestorów została mocno nadszarpnięta upadkiem kilku korporacji, kierowanych przez ludzi próbujących naśladować amerykańskiego rekina finansowego Donalda Trumpa. W krótkim czasie miliardowe fortuny takich australijskich gigantów jak Bond, Skase czy Herscu zmniejszyły się o kilka zer wcale nie wywołując rozpaczy tych pierwszych, za to doprowadzając do ruiny nabywców akcji w ich przedsiębiorstwach.

Ekspansja japońskiego kapitału jest już gołym okiem widoczna w rejonach szczególnie atrakcyjnych turystycznie, jak w stanie Queensland czy w Zachodniej Australii, gdzie przybysze z kraju Kwitnącej Wiśni są w zasadzie jedynymi nabywcami hoteli, biur podróży i środków transportu. Bardzo liberalne prawo własnościowe Australii nie stwarza prawie żadnych barier dla przedsiębiorczych Azjatów, którzy z właściwym sobie wigorem wkraczają na tutejszy rynek.

Zdaniem pesymistów, powtórzony zostanie scenariusz z Hawajów, gdzie Japończycy są właścicielami hoteli oraz przedsiębiorstw obsługi turystycznej zagarniając właściwie cały zysk, a lokalna ludność znajduje zatrudnienie jako personel pomocniczy.

Jak do tej pory w Australii nikt specjalnie się tym wszystkim nie przejmuje w ramach tzw. *who cares syndrome* (kogo to obchodzi?). Osobiście uważam, że konieczne są tu radykalne zmiany i to w miarę szybko. W przeciwnym razie rachunek za ładną pogodę będzie coraz wyższy. I będą go płacić Australijczycy.

Perth, czerwiec 1990

Andrzej Lewandowski

Wietnamscy "boat people"

Polnische
Versandbuchhandlung
Polska Księgarnia Wysyłkowa
* * * * *
* * *
*
Bodenbacher Weg 9
6000 Frankfurt/M 70
tel. 069/6313977

Antoni Kuś

»Wywiadowcy w służbie pokoju«

Jak na pocz. czerwca doniosły agencje prasowe, do tej pory do władz bezpieczeństwa RFN zgłosiło się stu byłych pracowników enerdowskiej SB (Stasi) którzy jako "wywiadowcy w służbie pokoju" działali na terenie Niemiec Zachodnich. 24 z nich znajduje się obecnie w areszcie. Tylko nieliczni z nich mogą wskazać, gdzie "tu czy tam" działa jeszcze ich kolega. Do tej pozy zgłaszają się tzw. "rybki", bowiem superagenci oczekują propozycji ze strony sowieckiego KGB.

* * *

Pracownik urzędu kanclerza Lutz Stavenhagen (CDU) wypowiedział się na łamach gazety BILD AM SONNTAG za amnestią dla niemiecko-niemieckich szpiegów. Istnieją bowiem dowody na to, że wielu byłych wschodnioniemieckich agentów, którzy działali na terenie RFN, przeszło na służbę do sowieckiego KGB. Rząd zachodnioniemiecki zaapelował do agentów wschodnioniemieckich, by zgłaszali się do odpowiednich urzędów w RFN. Mogą oni liczyć na "daleko idące złagodzenie kary". Z amnestii wyłączeni będą oczywiście ci, którzy mają "krew na rękach". Generalny prokurator RFN Alexander von Stahl wypowiedział się za amnestią, jednak nie wyobraża sobie, by np. były szef służby wywiadowczej NRD, generał Markus Wolf, czy też były dyrektor w Urzędzie Ochrony Konstytucji RFN – szpieg NRD Hansjoachim Tiedge, w zjednoczonych Niemczech nie mieli być ukarani.

Związek Sowiecki tworzy obecnie nową sieć agentów na terytorium RFN i NRD – zarówno KGB jak i wojskowy wywiad ZSSR – GRU. Według kierownika hamburskiego Urzędu Ochrony Konstytucji, Christiana Lochte, ważną rolę odgrywają byli współpracownicy enerdowskiej Stasi oraz były szef wschodnioniemieckiego wywiadu Wolf.

Marcus "Misza" Wolf nie wyklucza – podaje bawarski SÜDDEUTSCHE ZEITUNG z 8.06. – że byli wchodnioniemieccy agneci pracują obecnie dla KGB. Ale tylko dlatego, że sami się sprzedali. Kategorycznie zaprzecza, że całe siatki agentów z jego inicjatywy zostały przekazane służbie sowieckiej. Twierdzi jednak, że istnieje niebezpieczeństwo, iż byli wschodnioniemieccy "wywiadowcy w służbie pokoju" zaproponują swoje usługi innym służbom. Możliwość ta staje się tym badziej prawdopodobna, im dłużej zwleka się (czytaj: rząd RFN) z "generalnym rozwiązaniem" tego problemu. Wolf uważa za konieczne "wymianę zdań w tym temacie między Berlinem Wschodnim a Bonn i znalezienie odpowiedniego rozwiązania." Na zakończenie dziennik przypomina, że Markus Wolf przez 29 lat stał na czele wschodnioniemieckiej służby wywiadowczej i w 1987 roku na własną prośbę przeszedł na emeryturę.

* * *

Nazywa się Horst Hess, ma obecnie 68 lat, mieszka w trzypokojowym mieszkaniu w jednym z bloków w nowo wybudowanym osiedlu w mieście Schwedt nad Odrą, żyje z renty w wysokości 982 marek. Przez wiele lat pracował jako agent dla wschodnioniemieckiej służby wywiadowczej. W 1987 roku na własną prośbę przeszedł na emeryturę.

Horst Hess – emerytowany szpieg.

Markus Wolf ("Misza") – były szef wywiadu NRD. Czy przekazał swoich podopiecznych KGB?

W 1987 roku w wydanej przez ministerstwo obrony broszurze pt.: "Wywiadowcy w służbie pokoju" został uhonorowany jako "bohater niewidocznego frontu". Z zawodu ślusarz, urodzony w Magdeburgu, na początku lat 50-tych zakamuflowany jako polityczny uchodźca został przerzucony na terytorium RFN i pracował dla Amerykanów. Z biegiem czasu

zdobył na tyle zaufanie, że przeniknął do najbliższego kręgu wojskowej służby wywiadowczej USA – MID. W maju 1956 roku wykradł z würzburskiej siedziby MID ...dwa sejfy z dokumentami i uciekł do NRD. Wykradzione informacje przyczyniły się ponoć do aresztowania aż 137 obcych agentów.

Czerwiec 1990 roku – złość i rozszerzający się rak krtani – utrudniają mu artykułowanie wypowiedzi. Czuje obrzydzenie nie do tego, co robił jako młody człowiek, lecz obrzydzenie i wstręt do swoich byłych zleceniodawców. – Wydawało mi się – mówi – że socjaliści, jak Honecker czy jemu podobni, są inni, że nie potrzebują luksusów, domków myśliwskich. Dzisiaj wiem, że byłem w błędzie. Ma też wątpliwości, czy owe "ważne" dokumenty, które wykradł amerykańskim wojskowym rzeczywiście były aż tak cenne, czy nie była to tylko propagandowa gra ze strony władz wschoniodniemieckich, chcących po raz kolejny udowodnić wyższość systemu socjalistycznego.

Horst Hess nie zapomina o tym, że jego działalność przyniosła mu w Stanach Zjednoczonych zaoczny wyrok śmierci. Obecne przemiany w NRD powodują, że coraz częściej zastanawia się nad swoją przyszłością: co przyniesie mu zjednoczenie? Czy któregoś dnia zjawią się u niego odpowiedni ludzie z nakazem aresztowania?

. – Przecież wtedy wierzyliśmy, że pracujemy dla słusznej sprawy, dla pokoju, że w a l c z y m y dla pokoju – mówi były emerytowany szpieg, i ma nadzieję, że w zjednoczonych Niemczech nie trafi za kraty.

* * *

"Byliśmy patriotami" – twierdzi Günter Guillaume. Obecnie 63-letni rencista. Mieszka koło Berlina w bungalowie za 200 tys. marek, Guillaume był jednym z najsłynniejszych wschodnioniemieckich szpiegów. Gdy został ujęty w 1974 r., był osobistym sekretarzem ówczesnego socjaldemokratycznego kanclerza Willy Brandta, i przyczynił się bezpośrednio do jego upadku. Obecnie chce "podreperować" swoje finanse książką, którą w tym roku ma zamiar wydać w Niemczech Zachodnich. Zapytany o swoją przyszłość w zjednoczonych Niemczech, twierdzi, że nie pozwoli wrzucić się do jednego kotła razem z tysiącami szpicli, którzy donosili na swoich sąsiadów czy typami jak Hansjoachim Tiedge, który w 1985 roku jako szef kolońskiego Urzędu Ochrony Konstytucji uciekł do Berlina Wschodniego. Wielu zachodnioniemieckich szpiegów zostało wówczas skazanych na wieloletnie wyroki lub na śmierć. – Z tego typu ludźmi nie chcę mieć nic wspólnego – mówi Guillaume. Mimo ułaskawienia w RFN, dzięki czemu mógł wyemigrować po siedmioletnim pobycie w więzieniu do NRD, w zjednoczonych Niemczech może liczyć się ze wznowieniem procesu. Jednak ma nadzieję, że problem byłych czy obecnych wschodnioniemieckich szpiegów zostanie "korzystnie" rozwiązany.

Günter Guillaume doprowadził do upadku socjaldemokratycznego kanclerza Willy Brandta.

Hansjoachim Tiedge – szef kolońskiego Urzędu Ochrony Konstytucji RFN uciekł do Berlina Wschodniego zdradzając wielu zachodnioniemieckich szpiegów w NRD.

* * *

Tymczasem władze zachodnioniemieckie łamią sobie głowę nad tym, czy NRD posiada na terytorium RFN 2.000 czy też 5.000 szpiegów. Ilu działa jeszcze na różnych szczeblach państwowych? Czy były szef Misza Wolf oddał swoich byłych podopiecznych w ręce KGB? Ilu dobrowolnie zgłosi się licząc na amnestię, aby raz na zawsze usunąć niepokój i niepewność co do swoich losów?

Wielu, również Markus Wolf, liczy na to, iż wobec byłych wschodnioniemieckich agentów zastosowane zostanie "generalna amnestia". – Gdybym się czegość obawiał, nie poruszałbym się tak swobodnie, jak do tej pory to czynię – stwierdził Wolf.

oprac. Antoni Kuś

Rozmowy telefoniczne w RFN czy też między RFN a Berlinem Zachodnim są w dalszym ciągu podsłuchiwane z terytorium NRD – donosi konserwatywny zachodnioniemiecki dziennik FAZ z dn. 1.06.90. Tym razem, aparaty podsłuchowe obsługują nie wschodnioniemieccy specjaliści, lecz pracownicy sowieckiej służby wywiadowczej KGB. KGB przejęło od siostrzanej, wschodnioniemieckiej Stasi urządzenia podsłuchowe i zlokalizowało je w sowieckich koszarach na terytorium NRD. Perfekcja podsłuchu wywołała szok w kręgach rządowych RFN. Okazało się, że Stasi była w stanie dokonywać podsłuchów rozmów telefonicznych nawet w urzędzie kanclerskim, ministerstwach, parlamencie, siedzibach partii politycznych czy prywatnych połączeń znanych polityków zachodnioniemieckich. Informacje te uzyskano podczas zeznań byłych współpracowników Stasi, którzy ujawnili się władzom zachodnioniemieckim i dzięki temu można było zmienić niektóre numery telefoniczne. Ale na jak długo? Perfekcję w nasłuchu umożliwiał poprzednio służbom wschodnioniemieckim, a obecnie KGB – superkomputer, który był w stanie zakodować tysiące numerów telefonicznych z Republiki Federalnej Niemiec i Berlina Zachodniego. Specjalne anteny wychwytywały impulsy przy wybieraniu konkretnego numeru zakodowanego w komputerze i automatycznie powodowały włączanie się magnetofonu, nagrywającego całość rozmowy. Rozmowy interesujące służby wywiadowcze były wydrukowywane. Do tej pory nie wynaleziono metody uniemożliwiającej podsłuch.

Polnische Buchhandlung
Księgarnia Polska w Austrii
A-1070 Wien, Burggasse 22,
tel. 0222/ 9387222
katalogi wysyłamy na życzenie

Wybory po czesku

Aurelisz M. Pędziwol

»Havel na Wawel!«

"Ogromnie się cieszę, że mogę ci przedstawić szefa praskiego undergroundu, Ivana Jirousa". Václav Havel rozmawiał właśnie ze swym kolegą, gdy podszedł do nich Alexander Dubček. Pan prezydent wiedział już dobrze, co się święci i był wyraźnie rozradowany czekającą go duchową ucztą. Taka gratka nie trafia się często.

Ivan Jirous zaś, ujrzawszy przed sobą oba symbole czechosłowackiej rewolucji, wcale długo się nie zastanawiał i natychmiast przystąpił do ataku. "Wy tu walczycie o demokrację, a nam potrzebny jest król!" – cytuję z pamięci jego słowa. "Demokracja, której dwustulecie na naszym kontynencie niedawno tak hucznie obchodzono, przyniosła w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat więcej bólu i nieszczęścia, niż monarchistyczny absolutyzm przez dwa tysiące lat" – argumentował Jirous. "Król wiedział dobrze, nawet najgłupszy, że nad nim jest jeszcze ktoś – Bóg. A kto jest nad wami?" Stłoczeni wokół trójki dysputantów wybuchnęli gromkim śmiechem.

Przysłuchując się rozmowom z prezydentem zauważyłem, że w Czechosłowacji tworzy się nowy podział klasowy: na tych, którzy mówią "Panie Prezydencie", tych, którzy mówią "Panie Václavie" i tych, którzy mówią "Vášku". Nie mogłem jednak odgadnąć, którzy z nich są nową arystokracją. Zapytałem więc dziewczynę z obstawy, ona jest przecież zawsze przy prezydencie, powinna wiedzieć. "Arystokracja? – odpowiedziała pytaniem – To jeszcze coś innego".

Tego wieczoru w teatrze "Laterna magika" panowała

radość.

Była północ, niedziela, 10 czerwca. Przed kilkoma godzinami przewodniczący Centralnej Komisji Wyborczej ogłosił wyniki wyborów do Zgromadzenia Federalnego. Wszyscy już wiedzieli, że wygrała koalicja OF-VPN (*Občanskego forum* i *Verejnosti proti násiliu*, czyli czeskiego Forum Obywatelskiego i słowackiego Społeczeństwa

przeciw Przemocy). Zwycięzcy spotkali się tu, gdzie pamiętnego listopada OF rozpoczynało swoją działalność.

Ale nie tylko w Laternie panowała radość. Cieszyli się mieszkańcy Pragi, którzy już poprzedniego wieczoru wylegli na *Staroměstské náměstí*, kiedy w telewizji ogłoszono rezultaty pierwszej wyborczej prognozy. Zachodnioniemiecka firma Infas z pomocą francuskich komputerów Bool znała już rezultaty głosowania w pół godziny po zamknięciu lokali wyborczych. Prognoza opracowana na podstawie dwunastu tysięcy ankiet różniła się tylko minimalnie od ostatecznych rezulatów.

Svobodné volby!

– "Wolne wybory!" – to żądanie pojawiło się już w pierwszych dniach rewolucji. Kto wtedy przypuszczał, że tak szybko staną się one faktem?

Od ostatnich wolnych wyborów u naszych południowych sąsiadów upłynęły 44 lata. To kawał czasu. Nic więc dziwnego, że Czesi i Słowacy wcale nie byli pewni, jak będzie wyglądać to głosowanie – po latach komunistycznej dyktatury, po dziesiątkach lat nachalnej indoktrynacji, a szczególnie po dwóch dekadach "normalizacji". Międzywojenna Czechosłowacja była wprawdzie najbardziej chyba demokratycznym krajem tej części kontynentu, a doświadczenie "praskiej wiosny" 1968 r. kazało żywić nadzieję, że i duch demokracji nad Wełtawą nie zaginął, niemniej jednak...

Czesi i Słowacy dobrze przygotowali się do tych wyborów. Dobrze przemyśleli przede wszystkim sprawę najważniejszą: jak ma wyglądać ich nowa

ordynacja wyborcza.

Dzięki temu udało im się uniknąć rumuńskiego chaosu.

Trzeba w tym miejscu zatrzymać się nad kilkoma detalami. O głosy wyborców ubiegały się początkowo 23, potem 22 partie względnie koalicje wyborcze. Każda z nich mogła wystawić dowolną liczbę kandydatów do obu izb Zgromadzenia Federalnego: ustawodawczej Izby Ludowej oraz do Izby Narodów, a ponadto do parlamentów lokalnych obu republik: Czeskiej i Słowackiej Rady Narodowej. Każda taka lista stanowiła osobną kartkę wyborczą opatrzoną nazwą i numerem partii (czy też koalicji). Kartki były oznakowane barwami narodowymi: kolor czerwony oznaczał Izbę Ludową, niebieski – Izbę Narodów, biały zaś wskazywał lokalny parlament danej republiki. Z pliku kilkudziesię-

ciu kartek wyborca mógł wybrać najwyżej trzy, każdą innego koloru. Na każdej z kartek mógł on jeszcze zaznaczyć preferencje dla co najwyżej czterech kandydatów. Następnie kartki wkładał do koperty i zaklejoną kopertę wrzucał do urny. Jeśli w kopercie znalazły się dwie kartki oznaczone tym samym kolorem, oddany głos był nieważny. Jeśli na kartce znalazły się więcej niż cztery preferencje, żadna z nich nie mogła zostać uwzględniona.

W sumie system dość skomplikowany. Żeby więc dać wyborcom szansę, komisje wyborcze dostarczały kartki do domów na kilka dni przed wyborami. Tam mogli się w spokoju nad nimi zastanowić i do lokalu wyborczego przyjść jedynie z tymi, które zamierzali wrzucić do urny wyborczej.

Ów pomysł – jak się dowiedziałem od kolegi z radia szwajcarskiego – nie był wcale oryginalnym czechosłowackim wynalazkiem. Od lat w ten sposób głosują obywatele alpejskich kantonów.

Wszyscy natomiast dziwili się terminowi wyborów. Na całym świecie głosuje się w niedzielę. Czesi i Słowacy rozpoczęli swoje pierwsze po latach wolne wybory w piątkowe popołudnie, ale głosować mogli również w sobotę rano. Powodem dziwacznego terminu wyborów były względy natury sentymentalno-patriotycznej: 8 czerwca 1945 roku powrócił do Czechosłowacji prezydent Beneš.

Te

wyborcze kartki

były często obiektem wielogodzinnych dyskusji w rodzinie czy w gronie przyjaciół. W ten sposób, przynajmniej po części, zatracała się tajność wyborów. Niektórzy zresztą niemal demonstracyjnie z niej rezygnowali: trzymali w ręku owe kartki, które wybrali, stojąc w kolejce do wyborczego lokalu. Dla nich wejście za kurtynę było już więc tylko formalnością, ale trzeba było gdzieś włożyć te swoje kartki do opieczętowanej wyborczej koperty. A tę dostawało się dopiero w chwili głosowania.

Byli jednak i tacy, którzy pytani, nie chcieli zdradzić, na kogo będą głosować. Było ich sporo. I potem okazało się, że komuniści dostali 13% głosów i stali się drugą siłą w kraju. To było zaskoczeniem, gdyż przedwyborcze szacunki dawały im 8 do 10%. Zwycięstwo obywatelskiej koalicji było przez wszystkich przewidywane –

Na kogo mam głosować, jak nie na siódemkę?,

zapytał mnie młody chłopak w kolejce przed lokalem, gdy udałem zdziwienie,

Prezydent Havel i przewodniczący parlamentu Dubček

że wszyscy głosują na listę 7, listę Forum Obywatelskiego; "Komu to wszystko zawdzięczamy?" – dodał; ale i tu nie zabrakło niespodzianki, jaką było zwycięstwo VPN na Słowacji.

Tam bowiem oczekiwano sukcesu Ruchu Chrześcijańsko-Demokratycznego (KDH) wicepremiera Čarnogurský'ego. KDH wypadło jednak znacznie słabiej niż oczekiwano, tylko nieco lepiej niż komuniści.

Niedoceniano natomiast przed wyborami ruchów nacjonalistycznych, zarówno Słowackiej Partii Narodowej (SNS), jak i Ruchu na rzecz Samorządowej Demokracji Moraw i Śląska (HSD-MS). Nieoczekiwanie dużo głosów zebrała też koalicja mniejszości narodowych nosząca w swej nazwie również polski człon "Wspólnota", która także będzie reprezentowana w najwyższym przedstawicielstwie czechosłowackiego społeczeństwa.

Czesi i Słowacy przygotowali się dobrze do tych wyborów, nie znaczy to jednak, że obeszło się bez potknięć. Szczególnie bolesnym była

sprawa Bartončika,

przewodniczącego chadeckiej Partii Ludowej (ČLS). Kilkanaście godzin przed rozpoczęciem głosowania wywodzący się z kręgów dawnej opozycji wiceminister spraw wewnętrznych Jan Ruml poczuł się zmuszony do publicznego oświadczenia, iż ów polityk przez długie lata był agentem StB, *Státní Bezpečnosti*, czechosłowackiego SB. Bartončik nie dotrzymał bowiem – jak się później okazało – słowa danego prezydentowi i nie wycofał swojej kandydatury. Już w kilka godzin po rozmowie z Václavem Havlem wylądował bowiem w szpitalu.

Takich jak Bartončik było więcej w kręgach kandydatów na posłów. Dobitnie świadczy o tym długa lista nazwisk tych, którzy sami się wycofali, bądź wycofani zostali tuż przed wyborami, wskutek tak zwanej lustracji, której celem było właśnie uniknięcie podobnych afer.

Zjawisko zresztą nienowe, znane już z NRD. Nawiasem mówiąc, może ciekawe by było dokładniej spojrzeć w akta polityków i działaczy w RP?

Kogo ujrzymy

w telewizyjnych relacjach z praskiego Zgromadzenia Federalnego? Sporo znanych postaci z kręgów Karty 77, a ostatnio i rządu federalnego. W Izbie Ludowej wśród posłów zasiądą między innymi Jiří Ruml, Rudolf Battěk, wicepremier Valtr Komárek, szef dyplomacji, minister Jiří Dienstbier, wicepremier Vladimír Dlouhý, minister Václav Klaus, czy rzeczniczka Karty z roku '89 Dana Němcová. Ale nie zabraknie tam i innych twarzy, jak chociażby pierwszego sekretarza partii komunistycznej, Vasila Mohority. W Izbie Narodów z kolei mandaty przypadły między innymi znanemu działaczowi Solidarności Polsko-Czechosłowackiej, szefowi czechosłowackiej agencji prasowej ČTK, Petrowi Uhlowi oraz innemu rzecznikowi Karty 77 Tomášowi Hradilkowi.

***

W sobotni poranek przydarzyła mi się dziwna historia. Wyszedłem do sklepu, by kupić coś na śniadanie. Gdy wracałem już z *čerstvými houskami* (czyli świeżymi bułkami), ujrzałem w

sklepie warzywniczym wiśnie, których jestem wielkim amatorem. Wstąpiłem tam więc i poprosiłem o kilogram. Gdy sprzedawczyni je odważała, weszła do sklepu jakaś starsza kobieta. Na widok wiśni zareagowała z udawanym oburzeniem: "Precz z tym!" Ależ proszę pani, to są

wiśnie, a nie czereśnie!,

próbowała się ze śmiechem bronić sprzedawczyni. "Wszystko jedno, precz z tym!".

Kiedy jednak ta sama scena powtórzyła się po chwili w domu moich gospodarzy, poprosiłem o wyjaśnienie. Okazało się one bardzo proste: dwie dojrzałe czeresienki — to był symbol wyborczy komunistów. A nie wiedziałem o tym z prostego powodu: żaden plakat KPCz nie wisiał na mieście dłużej niż dwadzieścia minut.

Czereśnie ujrzałem dopiero po wyborach, ale na plakacie konkurentów. Przedstawiał on dwie fazy rozwoju: przed- i powyborczą. Przed wyborami były więc dwie piękne czeresienki, dokładnie takie, jak mi to już opowiadano. Po wyborach poprzez czerwoną skórkę przegryzły się na światło dzienne dwa obrzydliwe robaki. Jeden trzymał młot, drugi sierp w swych wychudłych łapach...

Powyborczy poniedziałek. Wreszcie mam czas na

spacer ulicami Pragi.

Wszędzie jeszcze wiszą wyborcze plakaty, na których wybijają się numery list. Najwięcej oczywiście siódemek, szczególnie na Starym Mieście, między Laterną, a siedzibą Forum Obywatelskiego. Ale nie brak i innych: *Svobodný blok*, socjaldemokraci, chadecy, Partia Przyjaciół Piwa, zieloni — to tylko niektórzy. Jakże inaczej wyglądała ta Praga przed kilkunastoma laty, gdy byłem tu po raz ostatni.

Młodzi chłopcy *Na příkopě*, na głównym deptaku Pragi, wykrzykują tytuły zę sprzedawanego przez

Naprzód za: "Dikobraz", Praga

nich studenckiego *Buřváru*. Ktoś inny sprzedaje w bramie znaczki OF i widokówki z herbem przedwojennej Czechosłowacji. Na wystawie w księgarni pierwszy legalnie wydany numer do niedawna jeszcze emigracyjnego kwartalnika *Svědectví*, którego naczelnego i wydawcę Pavla Tigrida, spotkałem w Laternie. Obok inne tytuły i nazwiska jeszcze do niedawna zakazane. Przy wejściu do supersamu ktoś inny sprzedaje *Annonce* — gazetę z prywatnymi ogłoszeniami, również frywolnymi.

Czuję się jak na wiedeńskiej Kärtner Strasse. Wokół mnie tętni życie wolnego miasta...

I jeszcze na chwilę nad Wełtawę. Na *Rašínovo nábřeží*, do niedawna jeszcze *Nábřeží Bedřicha Engelse*. Po drugiej stronie, nad Małą Straną góruje praski *Hrad*, siedziba prezydenta Czeskiej i Słowackiej Republiki Federacyjnej. Wchodzę do kamienicy przy

Rašínovo nábřeží 78.

Na wprost wejścia, u góry, tablica informująca, że dom ten postawił na początku tego stulecia inżynier Václav Havel. To dziadek dzisiejszego prezydenta. A pod spodem skrzynka na listy. Na niej tabliczka: Olga i Václav Havel. Ściana wokół niej upstrzona setkami napisów. Zagłębiam się w ich lekturę: "Kochamy cię Vášku!", *Havel for the president of the world!* i mnóstwo podobnych.

Wczoraj jeden z moich kolegów widział na którejś stacji metra jeszcze inny tekst: "Havel na Wawel!"

W czerwcu 1990

Aureliusz M. Pędziwol

18.08.1987. Spotkanie polsko-czechosłowackie zorganizowane przez Solidarność Polsko-Czechosłowacka. Na zdjęciu (od lewej) Václav Havel, Danuta Winiarska i Jacek Kuroń fot. NAF Dementi

Maciej Rybiński

Jak to widać z daleka

Podobno z daleka lepiej widać, z dystansu nie dostrzega się wprawdzie szczegółów, drobiazgów ważnych dla obrazu całości, za to nie sposób przegapić elementów tak dużych, że patrzącemu z bliska rozpadają się one na nie składające się w żadną całość odpryski.

Od ośmiu lat oglądam Polskę nie bezpośrednio, a za pośrednictwem polskich i zagranicznych środków masowego przekazu, relacji odwiedzających Zachód Polaków i wizytujących Polskę cudzoziemców.

Z tych lektur i rozmów wyłania mi się obraz potężnego gruzowiska, śmietnika myśli i idei, pobranych z historii własnej i obcej, z chaotycznych lektur, dyletanckich spekulacji, z odpadków uszczkniętych zachodniej myśli społeczno-politycznej, od której Polacy byli odcięci najpierw cenzurą, a dziś są odcięci brakiem pieniędzy, z odchodów dawnej propagandy i świeżego obskurantyzmu, z ignorancji i nieodłącznej od niej arogancji.

Wiele gazet polskich dociera do mnie z opóźnieniem tygodnia, albo dziesięciu dni, ale najczęściej mam wrażenie, że spóźniły się one o lat 50.

Polska oglądana z tej części Europy, w której się znalazłem, jest żałośnie anachronistyczna — nie gospodarczo, nie technologicznie, nie pod względem poziomu życia — ale duchowo. Ma się wrażenie, że celem całej polskiej rewolucji, całej walki przed, w czasie i po stanie wojennym było nie tyle zbudowanie nowoczesnego, demokratycznego państwa, ile odtworzenie relacji politycznych i ideowych II Rzeczpospolitej, i to nawet nie z lat 30-tych, a z okresu przed zamachem majowym.

Karykatura Polski międzywojennej, jaka powstaje nie bez udziału wielu posłów do Sejmu, jest być może nieunikniona, psychologiczną reakcją na 45 lat Polski Ludowej. Rzecz w tym, że w międzyczasie Europa i świat nie stały w miejscu, posunęły się cokolwiek naprzód i porozumienie się z nimi przy pomocy XIX-wiecznej jeszcze retoryki i myślenia w kategoriach, które gdzie indziej odesłano do lamusa dziejów, będzie raczej trudne.

Polska znajduje się w bardzo trudnym momencie historii — po narzuconej społeczeństwu jedności moralno-politycznej i po wymuszanej przemocą lojalności wobec rządów stanu wojennego gwałtowne odblokowanie hamulców, uniemożliwiających społeczną artykulację doprowadziło do regresu dyscypliny myślowej. Dzisiaj prawie każdy mówi prawie wszystko na prawie wszystkie tematy. Trudna sytuacja gospodarcza i poczucie niepewności co do sytuacji międzynarodowej otwiera Polsce pole dla demagogów z rozmaitych, najciemniejszych kątów politycznego spektrum. Rezultaty badań opinii publicznej świadczą o utracie równowagi duchowej społeczeństwa i o swego rodzaju społecznej schizofrenii.

Jedna rzecz dla mnie jest całkowicie tajemnicza i nie udało mi się jej przejrzeć, mimo rozmów z bardzo światłymi ludźmi — czy mianowicie polscy politycy, bądź osoby, które wierzą, iż spełniają rolę polityków, ulegają w Polsce nastrojom ogółu i przyjmują je jako element własnego programu z czysto politycznego, wyborczego zachowania, czy też jest odwrotnie — nieliczna grupa aktywnych manipuluje społeczeństwem, ponieważ jest to łatwiejsze i skuteczniejsze od politycznej edukacji?

Polska potrzebuje dziś polityki realnej, to znaczy polityki możliwej do zrealizowania. Zasady takiej polityki zdają się być dość proste — obojętnie, czy w sprawach wewnętrznych czy międzynarodowych, musi ona przede wszystkim rozeznawać i szanować fakty. Tymczasem w życiu politycznym, bulgocącym w kociołkach poszczególnych ugrupowań i spływającym potem mętną pianą na łamy poszczególnych czasopism fakty bywają chętnie kastrowane, albo przynajmniej wykoślawiane. Samozwańczy i populistyczni trybuni ludowi podsycają roszczeniowe tendencje przemilczając całkowicie możliwość ich realizacji, tak jakby fakty gospodarcze i finansowe w ogóle nigdy nie były elementem ich myślenia.

W jednym z czasopism przeczytałem polemikę z programem ekonomicznym Balcerowicza, gdzie powoływano się na alternatywny program opublikowany na łamach *The Christian Science Monitor* przez Maurice'a Ernsta, pracownika naukowego Hudson Institute. Pierwszy punkt programu tego zapewne wybitnego, bo zagranicznego autorytetu brzmiał:

"... walka z inflacją, ale nie poprzez podnoczenie podatków i cen, tylko poprzez wzrost zaopatrzenia ludności w wyroby przemysłu spożywczego i waluty obce na cele importowe."

Doprawdy, ja taki stary drań, wzruszyłem się do łez prostotą tej propozycji. OPZZ i Alfred Miodowicz stanowczo powinni się zainteresować osobą Maurice'a Ernsta.

Z daleka, z perspektywy europejskiej wygląda na to, że osób, które rozumieją, iż polityka realna to jest polityka mająca szanse powodzenia jest niewiele i że wszystkie już weszły w skład rządu premiera Mazowieckiego. Nie jest to zbyt optymistyczne.

Ale zaraz, istnieje przecież Unia Polityki Realnej Janusza Korwina-Mikkego, która z racji choćby nazwy powinna umieć oddzielić to, co możliwe od tego, co nierealistyczne. Mój kolega szkolny okazał się niestety realistą fundamentalistycznym, to znaczy politykiem, dla którego realne jest to, co zamierzone. Skłonność do woluntaryzmu zepchnęła koronnych realistów na pozycje epistomologiczne — i nie tylko — idealizmu.

Muszę powiedzieć na marginesie, że Korwin-Mikke zdumiał mnie jeszcze bardziej — zachodnioniemiecka telwizja pokazała reportaż ze zjazdu konserwatystów w Poznaniu. Wśród osób z mieczykami Chrobrego w klapie, z dumą wyznających niemieckiej reporterce swój nacjonalizm, nie bez zaskoczenia zobaczyłem przywódcę Unii Polityki Realnej. Przypomniał mi się wówczas Janusz Korwin-Mikke z marca 1968 roku, jak chodził po Uniwersytecie Warszawskim w zielonej kurtce z naszytymi na pagonach kawałkami białego materiału z wyhaftowanymi niebieską nitką gwiazdami Syjonu. Ze zmierzwioną, czarną brodą wyglądał jak osadnik, zakładający kibuc na Zachodnim Brzegu Jordanu.

Widocznie inny obowiązywał realizm w polityce wtedy, a inny jest aktualny dzisiaj.

Ale zostawmy Korwina-Mikkego. Z oddali wydaje się, że Polacy nie mają dziś nic ważniejszego do roboty, jak tylko

określić się przed całym światem jako naród. Sposoby tego samookreślenia niestety podtrzymują najgorsze tezy antypolskiej propagandy, które tak ładnie udało się zneutralizować w ciągu ostatniego dziesięciolecia. Teraz Polacy znów są prezentowani generalnie – nikt nie ma czasu ani ochoty na subtelne rozróżnienia – jako antysemici, szowiniści, obskuranci i ksenofobi. Polskie fobie – antyniemiecka, antyrosyjska, antyukraińska, antyczeska – są jakimś dziwnym amalgamatem kompleksów i poczucia wyższości, lęku i pogardy. W rezultacie nasz stosunek do narodów sąsiednich jest równie chory jak i stosunek do narodu własnego.

Prezydent Jaruzelski powiedział w toaście na cześć prezydenta von Weizsäckera, że polskie resentymenty wobec Niemców są zrozumiałe. Resentymenty w polityce są w ogóle niezrozumiałe, ponieważ nie stanowią kategorii racjonalnej, tylko pozarozumową. Uleganie resentymentom najszybciej prowadzi do odreagowania wybuchem nienawiści, a w polityce do szkodliwych zjawisk, jakim bez wątpienia było zlekceważenie wizyty prezydenta RFN w Polsce przez środki masowego przekazu z telewizją na czele.

W dodatku w stosunku Polaków do narodów ościennych brak logiki. Czechów, z którymi chcielibyśmy się sfederować, traktujemy z wielkopańską wyższością, Rosjanami pogardzamy, ale chcemy żeby bronili nam granicy na Odrze i Nysie, Niemców się boimy i oczekujemy od nich pomocy.

W ogóle stosunki z Niemcami są rodzajem papierka lakmusowego na naszą przystosowalność do współczesnej Europy. W obliczu zjednoczenia Niemiec społecznego ducha kształtują w Polsce kapitan Kloss, czterech pancernych i spuszczony z łańcucha pies. Niemcy, którzy mają pełną świadomość zarówno nastrojów w Polsce, jak i tego, że nacjonalizmy sąsiednich narodów karmią się nawzajem, powiadają o ministrze Krzysztofie Skubiszewskim, że to "Glücksfall", szczęśliwy przypadek, iż w tak przełomowym momencie właśnie on stoi na czele polskiej dyplomacji. Ale Skubiszewski wydaje się być dość osamotniony.

Polaków straszy się Niemcami, odwetowcami, rewizjonistami jak za najlepszych czasów Piątkowskiego i Podkowińskiego (komunistycznych wysłanników PAP-ów i PZPR). Przy czym wszystkie scenariusze są tragiczne – bo albo zabiorą nam Ziemie Zachodnie, albo wykupią nasz przemysł, albo odwrócą się od nas i nie udzielą pomocy, albo w duchu Rapallo porozumieją się przeciw nam z Moskwą. Nikomu jakoś nie przeszkadza, że naprawdę grozi Polsce tylko jedno – przesunięcie granicy ubóstwa z Łaby na Odrę i Nysę przy kompletnym braku zainteresowania zajętych swoimi sprawami Niemców. Nikomu też nie przychodzi do głowy, żeby wytłumaczyć Polakom, że najlepszą gwarancją i dla granicy zachodniej, i dla niemożliwości powtórzenia historii jest zakotwiczenie zjednoczonych Niemiec w zachodnim sojuszu wojskowym i w Europejskiej Wspólnocie – gospodarczej i wojskowej. Przynależność RFN do struktur zachodnich była rozstrzygającym czynnikiem zachodnioniemieckiego dobrobytu i demokracji. Nie jest przypadkiem, że antypolskie nastroje mają w RFN charakter śladowy, podczas gdy żywe są w NRD. Różnica mentalności obywateli obu państw niemieckich jest tak znaczna, że w niej widzę największy problem zjednoczenia. Największą szansę na harmonię w polsko-niemieckich stosunkach dostrzegam w rozciągnięciu na całe Niemcy dobrobytu i nieuchronnie związanego z nim sybarytyzmu.

Niemcy co kilkadziesiąt lat dostają palmy i trzeba na nich uważać – zawyrokował pewien znany publicysta, któremu wkrótce zdaje się wystawi się w Polsce pomnik i pogląd ten wydają się podzielać nawet wychowani na materializmie historycznym aktualni i byli marksiści.

Pomysł tak zwanej lewicy laickiej, aby wobec zjednoczenia Niemiec pozostawić w Polsce sowieckie czołgi jest rodem z teatru absurdu. Świadczy przede wszystkim o kompletnym niezrozumieniu istoty zmian, jakie zaszły w ciągu ostatnich lat w naszej części Europy. To, co wydarzyło się w Polsce, Związku Sowieckim, Czechosłowacji, NRD, na Węgrzech i w Rumunii, to przecież nie jest nic innego jak tylko całkowita klęska strategii czołgów i zwycięstwo technologii, kapitału i inicjatywy gospodarczej. Gdyby było inaczej, stan wojenny trwałby w Polsce po dzień dzisiejszy, pod karabinami maszynowymi robotnicy produkowaliby wszystko co potrzeba, inżynierowie ponaglani pałką gorączkowo wdrażaliby postęp techniczny, a chłopi oddawaliby oddziałom ZOMO dostawy obowiązkowe.

Jeżeli jedynym sposobem zachowanie suwerenności terytorialnej miałoby być pozostawienie obcych wojsk, to lepiej już zaproponować Moskwie zamianę – przystąpimy do ZSSR w zamian za uwolnienie republik bałtyckich. Niech zakosztują, jak to gorzko i niebezpiecznie być samodzielnym podmiotem międzynarodowej polityki.

Idealizm lewicy laickiej rozciąga się zresztą na politykę wewnętrzną, gdzie trwa gorączkowe poszukiwanie kamienia filozoficznego, jedynej uniwersalnej recepty na naprawę wszystkiego i to od razu. Dzieci, którym popsuła się, rozpadła w rękach ulubiona zabawka, rozglądają się za nowym, równie abstrakcyjnym, ale także błyszczącym polityrą moralnego absolutu narzędziem.

Obrona praw spadkowych wnuków Stalina do majątku, jaką podjął poseł Adam Michnik była przykładem przyłożenia abstrakcyjnych norm etycznych do całkiem instrumentalnych, technicznych problemów upadłościowych, dla których właściwe są normy prawa. W istocie między tymi, którzy chcieliby go pozostawić w rękach SdRP nie ma żadnej różnicy – obie strony nie mają prawa żądać rozwiązań leżących poza ustawowymi regulacjami.

Całkiem szczególna cecha polskiego piekła ujawniła się w reakcjach na możliwość kandydowania Lecha Wałęsy na stanowisko prezydenta. W powszechnym niemal sprzeciwie na pierwszy plan wybijał się argument, że laureat pokojowej Nagrody Nobla nie jest dostatecznie wytworny w obejściu, nie dość wykwintny i arystokratyczny. Zupełnie, jakby Polska nie była państwem w okresie przełomu, tylko salonem z herbatką tańcującą dla panienek z dobrych domów, do którego sfery niższe zaglądać mogą tylko przez okno. Nie wiem, jakim kryteriom powinien odpowiadać prezydent, może urody, może najlepszy byłby kulturysta albo Miss Polonia. Wiem jedno – podczas pobytu w RFN Lech Wałęsa, mimo często brutalnych, a często sprzecznych wypowiedzi był znacznie skuteczniejszy w kontaktach z tutejszymi politykami niż parę tuzinów nienagannych w obejściu profesorów, których pobyt nad Renem przebiegł na ogół bez echa.

Tak wygląda Polska z oddali – trudny partner, któremu wbrew złudzeniom nikt nie da ani dolara z uwagi na walkę o wolność waszą i naszą, dlatego żeśmy cierpieli, dlatego że jesteśmy wspaniali i niedoceniani ani dlatego, że należy się nam 250 miliardów marek reparacji wojennych. Tak, jak wewnętrzną, możemy prowadzić tylko realną politykę zagraniczną, to znaczy taką, dla której będziemy mieli partnerów. Politykę łączącą interes gospodarczy z politycznym.

Nie należy tych partnerów odstraszać.

Maciej Rybiński

Księgarnia wysyłkowa WAWEL

Stephanstr. 11, 5000 Köln 1, tel. 0221/246160

Polacy w Paryżu

Roman Lewandowski

»Papiery, patron, pies i szambr«

W Paryżu i jego okolicach przebywa stale kilkanaście tysięcy Polaków, którzy przyjechali do Francji "na krótko". Ich status prawny jest bardzo różny. Niektórzy nie mają przy sobie nawet paszportów, gdyż je pogubili.

Spośród osób podejmujących pracę na czarno – czyli bez pozwolenia władz francuskich – najliczniejszą grupę stanowią tapeciarze. Klejenie tapet jest polską specjalnością na paryskich budowach od kilkunastu lat. Przez to zajęcie przewinęło się już kilka tysięcy ludzi.

1.

Do zawodu trafia się – najczęściej – pod kościołem polskim. Niedzielny poranek pod polską świątynią w sercu francuskiej stolicy – przy prestiżowej i bardzo bogatej rue Saint Honoré – niewiele różni się od odpustu w kraju. Te same blond włosy i nieco schludniejszy ubiór, który zdradza, że jego właściciel wie, iż dziś jest właśnie niedziela. Klejarz o przezwisku Szumigłówka wyjaśnia, że wystarczy wejść do któregoś z okolicznych barów i nadstawić ucho – wkrótce się wie, kto jest szefem, kto zwykłym klejarzem, a kto chce nim zostać.

Szef w niedzielę nie ma czasu. Tego dnia pije piwo i jest zajęty. Wyznacza nam tylko datę następnego spotkania, które ma być bardziej serio – szef od tego momentu nazywa się jednak już "patronem", natomiast kolejne spotkanie to "rendez-vous". Teraz wszystko zależy od szczęścia. Należy przyjść do umówionego baru, stanąć przy kontuarze, wypić kawę za ostatnie pieniądze, spojrzeć na zegarek, przestąpić z nogi na nogę, poprosić na migi barmana, że chce się skorzystać z telefonu – zrobić to (już naprawdę za ostatniego franka), by upewnić się, że patron wprawdzie nie przyszedł, ale pamięta. Przełknąć ślinę i wyjść z baru, albo sięgnąć po zaskórniaka i się napić, co przychodzi niewiarygodnie łatwo, szczególnie na początku. Jednak pewnego dnia, już o 9 rano, pod nasz bar podjedzie z piskiem opon samochód, z którego wytoczy się na chwiejnych nogach patron i wylewnie się z nami przywita. Normalnie nie ma czasu, ale dziś wraca właśnie z imienin, szuka kogoś do towarzystwa i sobie o nas przypomniał.

Szumigłówka wspomina początki swojej kariery bez zbytniego sentymentu. Mówi, że było chłodno i głodno. We Francji jest od 7 lat, dziś zalicza się do klejarskiej elity. Dopiero od kilku sezonów nie ma kłopotów finansowych.

2.

Żeby zarobić na uważane we Francji za minimum życiowe, tj. 4,5 tys. franków, tak zwany SMIG – trzeba ułożyć dziennie samemu ścianę tapet długości stu metrów i wysokości dwu i pół. Po drodze są wnęki, rurki i zagłębienia. Patron traktuje swoich tapeciarzy jak konie wyścigowe, mówi o ich przegubach, palcach, długości rąk, ilości wykonywanych dziennie przysiadów oraz ma się rozumieć, inteligencji. Podział pracy jest taki, że mistrz klejarski, u którego się czeladnikuje, podąża przed uczniem na specjalnym stoliku na kółkach i przykleja tapetę od sufitu do połowy ściany. Pomocnik zaś idzie z tyłu w kucki i wykonuje resztę.

Pracując w tandemie kładzie się więcej tapet, niż gdyby pracowało się samemu. Zysku nie dzieli się jednak przez dwa – proporcje wynoszą 7:3, albo 8:2 na korzyść nauczyciela. Dużo zależy od wcześniejszej umowy. Czeladnik płaci bowiem za naukę. Ponieważ wszystko polega na wprawie – uczeń zawsze zostaje z tyłu i nie nadąża. Kiedy jest zimno, ręce drętwieją od lodowatej wody, a z nienawykłych do klejarskiej żyletki palców sączy się krew. Przekleństwom i urąganiu dobrym manierom nie ma końca. Według Szumigłówki przypomina to koszary jakiejś zdziczałej armii, w której zachował się jedynie podstawowy podział na kaprali i resztę. Kiedy jest praca, tydzień przypomina jeden długi dzień, podczas którego zmienia się jedynie rodzaj tapety. Pobudka o piątej rano, jazda za miasto, powrót zawsze nocą, bo pracuje się tak długo, jak długo na budowie jest widno. Na tym poligonie – mówi Szumigłówka – spotykają się bardzo różni ludzie i pewne zachowania widać jak na dłoni. Zaznacza, że o sobie – kim jest i skąd pochodzi – mówił nie będzie. Za dużo się wydarzyło w ciągu tych 7 lat, żeby istniał – oprócz imienia i nazwiska – jeszcze jakikolwiek pomost między tym człowiekiem, jakim był w Polsce, a tym, jakim jest teraz. Po chwili dodaje jednak, że na imię ma Paweł, a o przezwisko Szumigłówka w gruncie rzeczy jest obrażony, bo w Polsce studiował historię i stroni od alkoholu. Do Francji wybrał się odwiedzić siostrę, która wyszła za Francuza.

3.

Organizacja pracy w gruncie rzeczy jest bardzo słaba. Polacy pracują po kilka dni od świtu do zmroku, potem przychodzi moment nieuwagi w dworcowym barze po robocie i ostatnie piwo przeradza się w kilkudniową pijatykę. Cały dorobek zostaje zaprzepaszczony. Niebezpieczną chwilę słabości można mieć również w południe, podczas posiłku, albowiem mało kto z przyjezdnych z Polski umie, tak jak przedstawiciele cywilizacji śródziemnomorskiej, odłożyć butelkę wina po wypiciu połowy jej zawartości. Portugalczycy, Arabowie i Murzyni wstają od stolików o 13.00 – Polacy zostają. Godzinę, dwie, dzień, dwa, czasem tydzień, potem można ich znaleźć w wannach, na kartonach, nierzadko na gołym betonie. Ponieważ pracuje się w akordzie, nikogo zbytnio to nie obchodzi. Biznes tapetowy polega na dotarciu do tych, którzy dają zlecenia. Są to przeważnie Francuzi. Paweł-Szumigłówka wyjaśnia, że po kilku latach szwendania się po różnych budowach wszyscy zaczynają się pomału znać. Majstrowie, francuski dozór, drobni przedsiębiorcy spotykają się co jakiś czas na różnych budowach. Tu się przepije, tam się razem zje obiad. Potem trzeba zarejestrować się jako jednoosobowe przedsiębiorstwo i już można się udać pod polski kościół w celu przeprowadzenia naboru. Bierze się dwu-trzech majstrów – klejarskich mistrzów – reszta może być przypadkowa. Wszyscy oni będą pracować teraz na twoje konto. Wobec władz finansowych deklaruje się tylko część załogi albo nikogo. Sam od tej pory bierzesz do ręki

narzędzia klejarskie wyłącznie dla zgrywy bądź w celach edukacyjnych wobec tapeciarskiej młodzieży. Twoim zadaniem jest organizacja – reprezentacyjne objeżdżanie budów, fundowanie obiadów dla podtrzymania dobrych stosunków i szukanie nowych kontaktów. Francuz płaci za metr kwadratowy położonej tapety, załóżmy, 8 franków, sobie odciągasz z tego 4, zaś resztę przerzucasz "za drut kolczasty". W tapeciarskim getcie te franki zostaną podzielone według najdziwniejszych tabel i systemów, nad którymi pracują nierzadko absolwenci ekonomii i matematyki. Francuz po zapoznaniu się z klejarskimi stawkami, jeśli jest zwykłym robotnikiem, stuka się w czoło. Inteligent powie, że praca za takie pieniądze obraża ideały Rewolucji Francuskiej. Związkowiec doda, że to jest zwykłe krwiopijstwo. Szumigłówka wie, że jest wykorzystywany, ale taki układ mu odpowiada. Mówi, że ma inne ambicje niż klejenie tapet i woli nie tracić czasu na szukanie korzystniejszych kontraktów. Jak nie ma pracy – siedzi w domu, czyta książki i czeka na telefon. Wie, że patron sam go poszuka.

4.

Zdarzało się, że za pracę nie dostał nic. Okraść może nauczyciel, który pewnego dnia znika. Niekiedy deklasuje się patron i też przestaje płacić. Stracił wszystko w kasynie, rozpił się, rzuciła go żona. Zdeklasowanego patrona nikt nie pyta, dlaczego tak się stało. Ma płacić, a ponieważ tego nie robi, należy go zniszczyć (francuski patron, kiedy się stacza, bank, który jest jego wierzycielem, myśli przede wszystkim jak mu pomóc, żeby odebrać swoje pieniądze wraz z oprocentowaniem). O "obniżonym" patronie zaczyna być głośno pod kościołem polskim, niedowiarkom podaje się numery telefonu, pod którym udzielane są wyczerpujące wyjaśnienia. Po trzecim piwie klejarze opowiadają nawet o topieniu patronów w Sekwanie i paleniu ich samochodów pod kościołem po mszy. Każdy gotów jest przysiąc, że tak właśnie było. W sumie są to jednak tylko puste, cokolwiek teatralne gesty rozpaczy – wyegzekwować zarobionych pieniędzy w żaden sposób po prostu się nie da. O odwoływaniu się do sądów pracy nikt nawet nie słyszał. Emigrant, nawet ten solidarnościowy, po prostu nie wie, co to jest. Łagodny francuski socjalizm staje się jego udziałem dopiero wówczas, kiedy zarzuci pracę na czarno. Wtedy też, po podjęciu jakiejkolwiek innej pracy, ale już legalnej, wśród Francuzów, otwierają mu się oczy. Według Pawła-Szumigłówki zasadnicza przewaga patronów polega na tym, że rozumieją oni lepiej świat, w jakim żyją. Równość też istnieje – każdy może pewnego dnia sam zostać patronem albo odejść. On, Szumigłówka, mimo że zna wszystkie niuanse, nigdy nie starał się zostać patronem. Jego ideą fix jest bowiem powrót do Polski, do której wraca od 7 lat. Podkreśla, że nawet wyglądem nie przystaje do reszty towarzystwa. Nosi krótko przycięte włosy odsłaniające wysokie czoło inteligenta; o swojej twarzy usłyszał kiedyś od kolegów, że "gdyby dali mu biały kask, wyglądałby jak dozór". Ubiera się też inaczej niż reszta – zielona kurtka żołnierza amerykańskiej piechoty morskiej, wytarte dżinsy, buty "na słoninie", przez ramię przewieszoną ma parcianą torbę. Ubierał się już tak jako student 15 lat temu. Nie wie, czy dzisiaj studenci w Polsce ubierają się podobnie. Mówi, że jest nieprzystosowany zarówno do klejarzy, jak i do całej Francji. W przypływie szczerości dodaje, że w gruncie rzeczy coraz częściej się boi. I jest to zupełnie inny strach niż ten, jaki znał w Polsce. Zrozumiał swoją sytuację i to, że jest odcięty od Francji. Co gorsza, nie wie, jak dokonać desantu na tamtą stronę. Wlecze się za nim ogon niezałatwionych spraw administracyjnych, które skumulowane utrudniają mu życie. Kiedy przyjechał, azyl polityczny dawano każdemu, kto się o to zwrócił. On pozostał na polskim paszporcie licząc, że formalności pobytowe załatwią się same. Dziś do Polski nie jedzie dlatego, że nie wie, jak potem wrócić do Francji. Nie ma żadnych ważnych papierów. Może pracować tylko na czarno, dlatego trzyma się kurczowo swojego patrona. Nie potrafi przeciąć tej pępowiny, bo nie bardzo wie, co może robić innego oprócz tapetowania.

5.

Stosunki panujące między klejarzami i patronami są na ogół familiarne. Początkujący klejarz (który już wie, że ławka na której się sypia, pozostanie na zawsze ławką, nawet jeśli stoi pod paryskim niebem) otrzymawszy pracę czuje się mniej więcej tak, jakby chwycił Pana Boga za nogi, bo doświadczył sytuacji, w której brak możliwości podjęcia jakiejkolwiek pracy jest jednym z ostrzejszych szoków dla przybysza z socjalizmu; po prostu jest to ściana, mur, którego nie można sforsować. Nie ma pracy – nie ma nic. Proste, tragiczne i okropne.

Patron potrafi tę miłość do siebie umiejętnie kultywować.

Rozwinięty jest system pożyczania pieniędzy. Klejarz siedzi w kieszeni patrona. Daje to gwarancję, że nie odejdzie z firmy, poza tym odczuwa wdzięczność. Popaść w długi mieszkając w Paryżu nie jest trudno. Nie tylko dlatego, że na odcinku dowolnych stu metrów można wydać w tym mieście każdą ilość pieniędzy, ale tapeciarstwo ma także martwy sezon, którym jest zima. Pracę wtedy proponuje się tylko najlepszym, spośród których podejmują ją jedynie najtwardsi. Większość zimuje więc w barach. Paweł przez pierwsze trzy lata popadał w długi nie dlatego, że pił — po prostu jemu akurat nikt nie proponował pracy. Bo Paweł jako klejarz jest powolny. Ma technikę, zna wszystkie sztuczki, ale nie ma wrodzonej szybkości.

Do odlotu zbierał się każdej jesieni, ale najpierw przez kilka tygodni egzekwował zarobione pieniądze od patrona, potem pieniądze pożyczone kolegom, wreszcie sam zaczynał pożyczać, bo nikt mu nie oddawał, a on nie miał już z czego żyć i nagle zalegał z czynszem, za który — jak sądził — już nie będzie płacił. Powrót do Polski odwlekał się niejako sam, a jego własna wola w ogóle się z tym nie liczyła. Z każdym tygodniem wsiąkał coraz mocniej w środowisko, ciągle podkreślając swoją odmienność.

6.

Klejarze po robocie opowiadają o tym, jak było w pracy. Rozmowy te przypominają rozmowy wędkarzy o łowieniu ryb. Każdy deklaruje więcej, niż zrobił w istocie. Oprócz gawędzenia o tapetach, mówi się jeszcze o świecie. Że naturalnym kolorem człowieka jest kolor biały, albo że Francja zginie, Zachód również, nas natomiast nikt nie ruszy, bo my jesteśmy wyższa rasa.

Los klejarza od pewnego momentu staje się czekaniem — czeka się na patrona, czeka się na pracę i czeka się na pieniądze. Nie czeka się jedynie na zamówione piwo. Jednocześnie nikt nie pyta, jak długo można tak czekać i, w gruncie rzeczy, po co? Nie snuje się planów wybiegających dalej niż najbliższa budowa. Elita klejarska stanowi jednocześnie margines. Szumigłówka jet tu jednak wyjątkiem. Stroni od alkoholu, ma znajomych Francuzów, z którymi wiąże ostatnio coraz większe nadzieje, że może go wyrwą z tego zaklętego kręgu. Klejarze asymilują się kiepsko, są niekiedy wręcz wrogo nastawieni do miejscowych, o Francuzach wyrażają się z pogardą. Po francusku mówią słabo lub wcale, choć dla nowicjusza ich francuska ogłada nie podlega dyskusji. O salonie mówi się "sežur"; pokój jest "szambrem" lub "psem"; pawlacz — "plakarem". Klejarz wchodząc do baru trzaska drzwiami i mówi na przykład tak: "Obskoczyłem dziś dwa sežury, cztery psy i dwa plakary, ale nie przyjęli mi poprzednie szambry, bo się leje odkleiły i znaleźli greny"*. O tapetach mówi się "papiery", bo tak się mówi na nie po francusku (le papier peint), a po drugie wiadomo, o co chodzi. Teraz słowo papiery nabiera dodatkowego sensu. Kto nie ma papierów — w sensie uregulowanej sytuacji pobytowej — tego łapią i deportują do Polski.

Na paryskim Dworcu Wschodnim można nad ranem spotkać zmęczonych klejarzy, którzy po raz setny przychodzą spytać o aktualną cenę biletu do Polski i o godziny odjazdu. Potem wydzwaniają do kraju z automatów wydając na to prawdziwe fortuny — mówią, że chcą, ale nie mogą, bo się nie da. Czasem przyjeżdżają do nich żony, które trochę posiedzą, i na ogół wracają z niczym. Według podań klejarskich szczęście istnieje jeszcze tylko w Stanach i w Australii, ale nikt już nie ma siły, by się tam wybrać. Wieczorem wracają do malutkich pokoików na poddaszach paryskich kamienic, bez łazienki i z ubikacją na korytarzu, skąd nie mogą się wynieść, mimo że już ich stać na to finansowo. Bo też się nie da. Wieczni klejarze zamieniają się w kastę, dziwaczeją, są jak wieczni mieszkańcy pokoju przechodniego, między opuszczonym krajem a Francją. Ani tu, ani tam. Szumigłówka mówi o nich, że są to przedstawiciele cywilizacji barowej.

Roman Lewandowski

*Gren — grudka (fran. grain), leja — przycięta tapeta (fran. lai), plakar — pawlacz (fran. placard), "pies" — pomieszczenie (fran. piece), szambr — pokój (fran. chambre), sežur — pokój stołowy (fran. scjur).

dokończenie ze str. 25

Powrót do Seulu

urzędnikiem państwowym, i już zwrócono mi uwagę, że niepotrzebnie pewne rzeczy załatwiam sam, zamiast wydać polecenie. Oczywiście, pojawiają się problemy dotąd mi nie znane, np. jakiego koloru powinien być żakiet, w którym będę składał listy uwierzytelniające: popielaty czy czarny, problem odpowiednich butów, garniturów.

— *Ile garniturów powinien mieć w szafie ambasador?*

— Nie wiem, wydaje mi się, że pięć będzie w sam raz.

— *Pańska rola jako ambasadora będzie trudniejsza niż innych, bo dopiero od niedawna Polska nawiązała stosunki dyplomatyczne z Koreą Południową. Musi Pan w Seulu stworzyć placówkę od podstaw.*

Witamy w Seulu!

— Zdaję sobie z tego sprawę. Ambasada będzie liczyć 8 pracowników. Miałem pewien wpływ na obsadę i myślę, że udało mi się skompletować zespół kompetentnych ludzi. Korea Południowa jest dla Polski bardzo ważnym krajem. Posiada wielomiliardowe nadwyżki dolarowe w handlu z USA i Europą Zachodnią, będzie wchodzić na nowe rynki. Będę chciał przekonać Koreańczyków, że Polska to najlepsze miejsce dla ich inwestycji, zapewniające wejście na inne rynki wschodnioeuropejskie i gigantyczny rynek sowiecki.

— *Od czego zacznie Pan urzędowanie?*

— Od nawiązania kontaktów z ludźmi ze sfery gospodarczej. Zacznę od tych ludzi, których poznałem w czasie pracy w Instytucie. Z przyjemnością też spotkam się z szefem International Cultural Society of Korea, by się przekonać, że faktycznie nie zmarnował zainwestowanych we mnie pieniędzy.

Rozmawiała Ewa Kacprzycka

Redakcja przeprasza Autorkę za błędne podanie jej nazwiska w "Poglądzie" nr 5/161 (maj, 1990).

Jacek Korczak-Mleczko

Doping — również w PRL

Sterydy anaboliczne pojawiły się w czasie wojny koreańskiej. Amerykańscy medycy aplikowali je rannym żołnierzom, a wyniki leczenia okazały się rewelacyjne. Nowy preparat powodował szybsze gojenie okaleczeń, przyrost tkanki mięśniowej, poprawiał przemianę materii i syntezę białka. Wkrótce więc oficjalny rejestr leków wzbogacił się o nowe pozycje. Ale upłynęło jeszcze kilkanaście lat, zanim "anabole" przeniknęły do sportu.

Źródła nie są zgodne, kto pierwszy zastosował sztuczny doping. Na liście podejrzanych o "koksowanie" znajdują się przedstawiciele trzech dyscyplin: lekkiej atletyki, kolarstwa i podnoszenia ciężarów. Gdy w 1961 roku nagle zmarł wielki włoski cyklista Fausto Coppi, mówiło się o ataku serca. Gdy na trasie "Tour de France" pożegnał się z życiem Anglik Simpson (1962 r.), wiadomo było, że coś jest nie w porządku. A legendarny amerykański kulomiot Parry O'Brien i jego następcy Bill Nieder, Dallas Long, dyskobol Al Oerter, którzy dokonali rzeczy zadziwiających, bo w krótkim czasie poprawili rekordy świata o kilka epok? Jednym dawało to asumpt do rozważań nad "nieograniczonymi ludzkimi możliwościami", inni zaczynali powątpiewać w czystość sportowej rywalizacji. Były to lata sześćdziesiąte, MKOL-em rządził ostatni gentelmen i idealista, Avery Brundage, i nic jeszcze nie zapowiadało burzy.

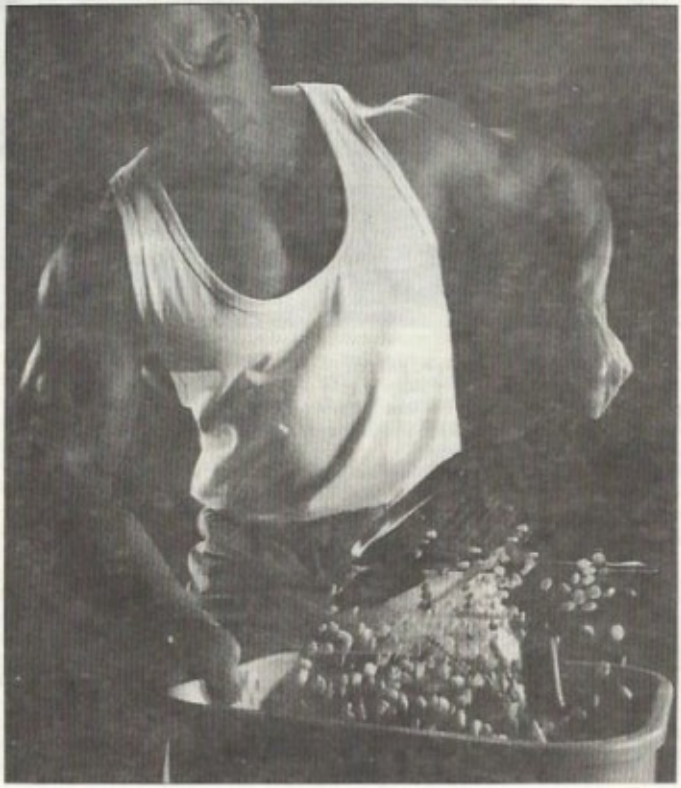

Na olimpiadzie w Montrealu (1976 r.) wpadli sztangiści — Zbigniew Kaczmarek i Bułgar Błagoj Błagojew. Pozabierano medale, nałożono kary. Zaczęło się.

Przełomem były igrzyska w Seulu, sprawa kanadyjskiego sprintera Bena Johnsona, proces-ośmiornica przed sądem w Toronto, wyroki i precedens: po raz pierwszy postępowanie wyjaśniające doprowadziło do przyznania się obwinionych i ujawniło zorganizowany charakter procederu, w którym udział brał także lekarz, Jamie Astaphan, i trener, Charlie Francis. Jednym z najzagorzalszych tępicieli dopingu był w Seulu właśnie Kanadyjczyk, Dick Pound. Drugim, krzepki profesor z Kolonii Manfred Donike, którego każda międzynarodowa federacja boi się jak ognia, bo Donike potrafi wykryć wszystko.

Szkopuł w tym, że jego metoda nie ma wciąż akceptacji MKOL i została oficjalnie przyjęta tylko przez Międzynarodową Federację Podnoszenia Ciężarów (IWF). A rezultaty kontroli są zastraszające. Od igrzysk w Seulu do wiosny tego roku skontrolowano 110 sztangistów. W 56 przypadkach wynik był pozytywny, udowodniono im więc, że brali środki dopingujące. Donike zbadał także tzw. próbki B (druga próbka moczu) z tegoż Seulu. "Trafionych" było aż 126 atletów, czyli dopingował się praktycznie każdy. Można przyjąć, że gdyby zbadano "profile" lekkoaltetów czy kajakarzy wyniki byłyby podobne.

Takiego skandalu nie chce jednak MKOL, gdyż wtedy należałoby albo zamknąć cały sportowy kram, albo ogłosić koniec zabawy w policjantów i złodziei, czyli zrezygnować z jakichkolwiek kontroli. A sprawa dopingu nie kończy się na zawodniku, lekarzu i trenerze, to często sprawa szerszej rywalizacji, politycznej, propagandowej...

Trzeba było aż historycznych przemian w Europie Wschodniej, że-

by i tu ludziom sportu rozwiązały się języki. Najbardziej gadatliwi okazali się sportowcy z NRD. Opowiedzieli o ośrodku w Kreischa pod Lipskiem, gdzie sztab naukowców czuwał nad sprawnym przebiegiem "koksowania". Przerażające opowieści snuli eks-pływacy Roland Matthes i Cornelia Ender, mistrz skoków narciarskich Hans-Georg Aschenbach, dyskobol Wolfgang Schmidt. A Hartmut Gauder opisał... podziemny ośrodek w lesie koło Berlina, gdzie również "wykuwano formę". Nie dość, że sportowcy NRD byli sztucznie dopingowani od 13-14 roku życia, to jeszcze mieli bezwzględny obowiązek zachowania "tajemnicy służbowej" i pozostawali pod czułą opieką STASI, wschodnioniemieckiego aparatu bezpieczeństwa. Doping pod taką opieką i za pieniądze państwa to był także sposób na sukcesy sportowców Rumunii, bułgarskich asów Żiwkowa i komsomolskich zuchów podległych Sportkomitetowi towarzysza Gramowa. Wschód nie był święty, mają swoje grzechy Amerykanie, Włosi, Francuzi, Brytyjczycy, Szwedzi. Mają i Polacy.

Oto w 1987 roku przy ul. Cegłowskiej, naprzeciwko warszawskiej AWF, powstało Laboratorium Kontroli Dopingu, oczywiście "centralne". Szefem placówki, wyposażonej w aparaturę "Hewlett Packarda", jest doktor Marek Daniewski, doskonały fachowiec. Wyposażenie Laboratorium kosztowało 5 mln dolarów, co przy permanentnych kłopotach finansowych naszego sportu było sumą tak olbrzymią, że aż podejrzaną. Oficjalnie laboratorium zostało powołane do wykrywania dopingu, ale złośliwcy widzieli w tym inny zgoła cel. Ich zdaniem Laboratorium ma kontrolować zabiegi "koksownicze" i eliminować przed startem tych, którzy jeszcze noszą ślady niedozwolonych praktyk. Postać Daniewskiego ma więc coś z Don Kichota, ponieważ doktor angażowany do tej pracy mniemał, że ma być Katonem, a nie wspólnikiem. Z jego publicznych wypowiedzi i wywiadów jasno to wynika. Szkopuł w tym, że Laboratorium nigdy nie było samodzielne. Podlegało Komitetowi Młodzieży i Kultury Fizycznej, bezpośrednio zaś wiceprzewodniczącemu, doktorowi Stefanowi Paszczykowi, odpowiedzialnemu za sport wyczynowy. Daniewski walczył o prawo do ogłaszania wyników badań. Komitet zachował jednak wyłączność w udzielaniu informacji i stosowaniu sankcji wobec zawodników, trenerów, działaczy itp. Z kolei Laboratorium nie mogło uzyskać homologacji MKOL, która uprawnia do świadczenia usług (odpłatnych, cena jednej próby wynosi przeszło 50 dolarów) dla innych państw i daje samodzielność finansową. Z tego co wiem, nie uzyska prędko, gdyż MKOL ufa teraz właściwie tylko Kolonii, a inne laboratoria (z Pragi, Moskwy, Sofii) straciły już poparcie centrali w Lozannie.

Czy sito na Cegłowskiej było dość szczelne? Słynny "barszcz z krokietami" hokeisty Jarosława Morawieckiego na igrzyskach w Calgary przeszedł już do historii i anegdoty. Przed Seulem odpadł najlepszy sztangista Piotr Krukowski, dwa miesiące temu w Sewilli na nandrolonie wpadła kajakarka Izabela Dylewska. "Przypadłości" nie ominęły pięściarzy, pięcioboistów, maratończyków, dyskobola, kulturystów, piłkarki ręcznej, kolarzy...

Karano, ale nigdy i nikt do niczego się nie przyznał. Tłumaczono się różnie: jak nie "faszerowane krokiety", to krople do oczu, jak nie tajemniczy napój podstawiony przez agenta CIA, to proszek na przeziębienie, który przypadkowo zawierał zakazaną substancję. Nigdy "koksiarze" nie zeznawali pod przysięgą, a precedensowa sprawa sprinterek przeciw dziennikarzowi, który napisał, że brały, od dwóch lat toczy się przed sądem i ani jej końca, ani prawdy nie widać.

O anabolikach i strasznych skutkach ubocznych, jakie niosą dla organizmu, napisano całe tomy. W 1988 r. na pytanie, czy zdecydowaliby się na branie "koksu", gdyby prowadziło to do kalectwa a nawet śmierci, ale wcześniej gwarantowało zdobycie złotego medalu, 80% amerykańskich olimpijczyków odpowiedziało twierdząco.

Naszych sportowców nikt nie pytał, bo chcemy pozostać "ideologicznie" czyści. Kto odważy się powiedzieć, jak to było i jest naprawdę? ■

Im więcej siły, tym więcej "koksu"? fot. Jan Rozmarynowski

Wacław Panek

Nina Stano — polska wokalistka nad Renem

Kończący się karnawał roku 1990 przyniósł wiosenną pogodę i mocne promienie słońca rozgrzewały uliczki Starego Miasta w stolicy Nadrenii i Westfalii. Wtopiliśmy się w rozweselony tłum młodzieży i turystów, którym ten skrawek Düsseldorfu najbardziej przypadł do gustu.

— Tu, zaraz za rogiem, na Bolkerstrasse, mam swoje studio wokalne i zanim do niego dojdę, codziennie przechodzę przez "strefę młodzieży". Jest w tym coś znamiennego. Bowiem ta "strefa" stanowi dla mnie coś w rodzaju symbolicznej bramy. W studio przecież czekają na mnie młodzi ludzie, których muszę zrozumieć w ich kategoriach myślenia, wczuć się w ich psychikę, pojąć ich stresy.

Nina Stano jest jednym z najbardziej cenionych pedagogów wokalistyki. Uczy śpiewu w Wyższej Szkole Muzycznej w Düsseldorfie, w swoim prywatnym studio, na kursach mistrzowskich, koryguje głosy zawodowych już śpiewaków, przygotowując z nimi partie operowe.

Urodziła się w Warszawie, w rodzinie oficera Wojska Polskiego, co było przyczyną tego, że po kilku latach wraz z ojcem — przeniesionym służbowo — musiała wyjechać z Warszawy do Galicji. Średnią szkołę muzyczną ukończyła jako skrzypaczka, ale gdy w 1938 roku przybył do Lwowa słynny Adam Didur, zgłosiła się do niego na przesłuchanie sprawdzające. "W barwie głos ładny, skala rozległa" — orzekł mistrz Didur i być może ta opinia spowodowała, że od tej pory Janina Stano myślała także o edukacji wokalnej.

Wybuch wojny pokrzyżował te plany. Uciekając przed bolszewikami (także przed zesłaniem na Syberię, co rodzinom wojskowych groziło niewątpliwie), znalazła się w Krakowie, gdzie przeżyła okupację. I tutaj, w 1944 roku zaczęła się uczyć śpiewu u profesor Marii Mściwujewskiej, a później została u Ady Sari. Studiowała też w Akademii Handlowej.

— Spałam po cztery godziny na dobę, bo po śmierci ojca musiałam pomagać rodzinie, zarobić na swoje lekcje śpiewu, studiować handel i pracować w biurze. Gdyby mi to dziś ktoś opowiedział, to bym nie uwierzyła, że można tak harować. No, ale młodość czyni cuda — wspomina artystka.

Od 1948 roku Stano była już tylko studentką Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie, gdzie po powrocie z Krakowa dalej uczyła u Ady Sari, która też przeniosła się do Warszawy. A o tym, że pani profesor pokładała w niej nadzieje może świadczyć to, iż w wielu wywiadach prasowych wspominała o swojej ewentualnej następczyni, która dysponowała pięknym głosem koloraturowym (a jak się później okazało — również i talentem pedagogicznym). W 1950 roku jeszcze jako studentka, została przyjęta do Opery Warszawskiej, której solistką była przez najbliższe 10 lat.

Dekada lat pięćdziesiątych niewiele wniosła do artystycznej biografii Janiny Stano. Bo tylko tak można określić kilka epizodycznych ról, jakie przyszło jej wówczas zagrać na stołecznej scenie. Dyrekcja teatru twierdziła też, że nie przewiduje w repertuarze większych partii dla sopranu koloraturowego. Artystka pojawiła się więc na scenie Opery w Krakowie i — jesienią 1954 roku — po raz pierwszy zaprezentowała się publiczności w dużej roli podczas premiery "Rigoletta" Verdiego pod dyrekcją Jerzego Katlewicza.

Wiosną 1957 roku na scenie Opery Warszawskiej, a jesienią — w Krakowie, przypomniała się publiczności jako Rozyna w "Cyruliku sewilskim" Rossiniego. Po tych występach Józef Kański napisał: "Artystka ta imponuje czystością intonacji, muzykalnością i świetną techniką, zwłaszcza w staccatach, oraz rozległością skali głosowej (w zakończeniu arii wytrzymuje swobodnie trzykreślne F).

Nina Stano fot. Henryk Bieńkowski

Mimo bardzo dobrego przyjęcia ze strony krytyki i publiczności, dla Janiny Stano przez trzy następne lata nie znalazła się żadna większa rola na rodzimej scenie warszawskiej.

Zaczęła więc szukać szczęścia za granicą. Wyjazd do Sztokholmu zaowocował w 1959 roku nagraniami arii operowych z Wielką Orkiestrą Radia Szwedzkiego. Kiedy w 1960 roku artystka ponownie dowiedziała się, że w nowym sezonie nie przewiduje się żadnej roli dla sopranu koloraturowego, zakończyła dziesięciołetnią pracę jako solistka Opery Warszawskiej i wyjechała do Wiednia. Debiutowała nad Dunajem 8 kwietnia 1960 r., a zaraz potem dokonała pierwszych nagrań radiowych. W listopadzie zaproszono ją do Grazu, gdzie wystąpiła na premierze "Czarodziejskiego fletu" Mozarta w partii Królowej Nocy. Następnego dnia recenzenci *Kleine Zeitung*, *Neue Zeit* i *Tagespost* zgodnym chórem piali peany na cześć polskiej artystki i jej możliwości głosowych.

– Kiedy teraz przeglądam te wycinki prasowe, znając wymagania austriackich krytyków muzycznych, aż wierzyć mi się nie chce, że w tym czasie nie obsadzano śpiewaczki w większych partiach na warszawskiej scenie. No, cóż, nie ona pierwsza i nie ostatnia odczuła na własnej skórze ciężar przysłowia: "Cudze chwalicie, swego nie znacie..."

Ale jednocześnie prasa warszawska i krakowska skrzętnie odnotowywały kolejne sukcesy zagraniczne Stano. Na przykład ten, że w maju 1961 zdobyła II nagrodę jury i nagrodę publiczności podczas Międzynarodowego Konkursu Śpiewaków Operowych w Wiedniu.

Efektem konkursu było zaproszenie do występów na jednej z czołowych scen operowych świata – wiedeńskiej Staatsoper. I 3 grudnia tegoż 1961 roku Janina Stano, jako pierwsza po wojnie polska śpiewaczka, debiutowała tu w "Czarodziejskim flecie" w reżyserii słynnego Güntera Rennerta. Jako Królowa Nocy wystąpiła obok takich sław jak Hilde Güden w roli Paminy czy Erich Kunz i Walter Kreppel. A już kilka dni później śpiewała Królowa Nocy z Gundulą Janowitz jako Pamina. Tak zaczęły się sceniczne spotkania ze światową elitą śpiewaczą, bo w następnych latach partnerami Janiny Stano byli tej miary artyści co Lisa della Casa czy Martii Talvela.

Od 1 stycznia 1962 roku, przez dwa sezony, była solistką Opery w Lipsku, następnie przeniosła się do Düsseldorfu, gdzie występowała w Deutsche Oper am Rhein (wówczas jednego z czołowych teatrów operowych Europy) święcąc na jego scenie prawdziwe triumfy.

– Na początku mojej kariery najchętniej śpiewałam Gildę. Natomiast kiedy byłam już w pełni dojrzałą śpiewaczką, moją ulubioną rolą stała się Zerbinetta w operze Richarda Straussa "Ariadna na Naxos" – powiedziała Stano,

Nina Stano w Królowej Nocy, wiedeńska Staatsoper fot. Fayer

Nina Stano i jej kanadyjska uczennica Sussanne Gavi na Festiwalu Moniszkowskim w Kudowie – 1985 r. fot. Zbigniew Pachla

kiedy w düsseldorfskim mieszkaniu, przy ulicy Schumanna, przeglądaliśmy razem albumy ze zdjęciami z przedstawień.

Działalność pedagogiczną rozpoczęła Nina Stano w 1973 roku w Wyższej Szkole Muzycznej w Akwizgranie. Potem przez dwa lata (1976-78) była konsultantem wokalnym w Teatrze Wielkim w Warszawie, prowadząc też klasę śpiewu w stołecznej Akademii Muzycznej. Wówczas to do grona współpracujących z nią śpiewaczek dołączyły dwie solistki warszawskiej Opery: Zdzisława Donat i Hanna Lisowska, które do dnia dzisiejszego konsultują u Stano nowe partie wokalne. Na jednej z widokówek, które nadchodzą z całego świata, czytam słowa skreślone ręką pani Donat: "Dzięki za lekcje! Dodajesz mi ducha. Buzi – Zdzisława."

W 1978 roku Janina Stano wróciła do Düsseldorfu i objęła kierownictwo wokalne studia operowego przy Deutsche Oper am Rhein. W rok później została docentem w tutejszej uczelni muzycznej, która ma chyba jedną z najdłuższych nazw na świecie: Robert Schumann Institut – Musikhochschule Rheinland-Westfalen. Od dwunastu lat prowadzi tu klasę śpiewu. A jej uczniowie występują obecnie na najbardziej liczących się scenach i festiwalach operowych.

Wacław Panek

Stanisław Skrowaczewski z Hallé-Orchester w Berlinie Zachodnim

Zachodnioberliński *Tagesspiegel* (9.05.90) informuje, iż najstarsza w Wlk. Brytanii (rok. zał. 1857) Hallé-Orchester na zakończenie 14-dniowego tournee po RFN bawiła w Berlinie Zach. Od 1983 roku orkiestrą kieruje Polak, Stanisław Skrowaczewski, od lat 50-tych pracujący przede wszystkim w USA. ■

Biblioteka Polska w Paryżu

Niewiadoma przyszłość

rozmowa z dyrektorem Biblioteki, Andrzejem Krzeczunowiczem

– W Polsce zmienił się rząd. Czy nie myśli on o wspomożeniu tak ważnej placówki kulturalnej za granicą jaką jest Biblioteka Polska w Paryżu?

– Do tej pory nie było na ten temat żadnych rozmów. Mamy swoje kontakty z krajem, na przykład z Towarzystwem Historycznym w Warszawie, dotyczą one jednak wymian naukowych, przysyłania tutaj ludzi, którzy pomogliby przy porządkowaniu archiwum, a nie pomocy finansowej. Trzeba pamiętać, co podkreślam, że Biblioteka musi pozostać instytucją niezależną od wszelkich wpływów politycznych.

– Mówi Pan o przyjazdach badaczy z Polski. Kto daje im stypendia?

– Biblioteka, a konkretniej – związane z nią małe fundacje. Są dwa fundusze stypendialne – Stanisława Łama i Jana Brzękowskiego. Wystarczają na to, by rocznie przyznać około 10 bardzo skromnych stypendiów. Każde z nich to kilka tysięcy franków, co umożliwia stypendyście przybycie na kilka miesięcy do Paryża. Niektórzy z nich pomagają przy inwentaryzowaniu i sortowaniu archiwum. Poza tym prowadzą swoje badania naukowe.

– Po Paryżu krąży wiele opowieści na temat zaniedbań archiwalnych Biblioteki. Są tu podobno pudła nie rozpakowane od pół wieku.

– Nie ma dymu bez ognia. Archiwum Biblioteki jest zinwentaryzowane mniej więcej w połowie. Po prostu brak ludzi do wykonania tej zaiste benedyktyńskiej pracy. W archiwum zatrudnione są tylko dwie osoby. Niektóre z XIX-wiecznych materiałów nie są jeszcze zinwentaryzowane. A ciągle dochodzą rzeczy nowe. Mamy szanse na otrzymanie archiwum emigracyjnego dziennika *Narodowiec*, który przestał ukazywać się w ubiegłym roku, być może też dostaniemy archiwum paryskiego biura "Solidarności" i paryskiego oddziału Stowarzyszenia Kombatantów. A ludzi do pracy brakuje.

– Ile osób zatrudnia Biblioteka?

– Pięć na pełnym etacie, tyle samo na pół etatu i mniej więcej pół tuzina pracujących społecznie. Zupełnie niespodziewanie otrzymaliśmy w tym roku dodatkowy etat bibliotekarki, a to dzięki ofiarności pana Romana Zaleskiego, polskiego przemysłowca pracującego we Włoszech. Dla upamiętnienia swego ojca, Zygmunta Lubicza-Zaleskiego, związanego przez wiele lat z Biblioteką, utworzył on fundację, która będzie nam ten etat finansowała. Czasami otrzymujemy spadki, ale stosunkowo małe, po kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Oczywiście, to wielka pomoc, ale nie wystarczy na to, by postawić Bibliotekę na solidnych podstawach finansowych.

– Może należałoby ją bardziej reklamować?

BIBLIOTEKA POLSKA W PARYŻU – największy zbiór książek i pamiątek polskich poza granicami kraju – powstała ponad 150 lat temu, założona przez uczestników Wielkiej Emigracji. Wspomagał ją finansowo m.in. książę Adam Czartoryski. Pod koniec XIX wieku podupadła finansowo. W 1891 roku przekazano ją warunkowo Polskiej Akademii Umiejętności. Po II wojnie światowej próbowała przejąć ją Polska Akademia Nauk, ale francuski sąd, przed którym toczył się proces, do tego nie dopuścił. Pozostała instytucją niezależną, wydzierżawioną istniejącemu od 1838 roku Polskiemu Towarzystwu Historyczno-Literackiemu. Dzierżawa ta kończy się za 40 lat.

Po ciężkich latach 1950-70 sytuacja Biblioteki uległa względnej poprawie, gdyż zaczęła ją subwencjonować emigracyjna Fundacja Lanckorońskich. Niewielkie subwencje uzyskuje także z francuskiego Ministerstwa Kultury oraz z kasy miejskiej Paryża. Jednakże są to sumy niewystarczające na prowadzenie szerszej działalności. ■

– Chcemy w tym roku wydać rocznik Towarzystwa Historyczno-Literackiego. Będzie to pierwszy numer, bo nie było niczego takiego od bodaj 25 lat. Teraz wreszcie znaleźli się sponsorzy. Mam nadzieję, że jesienią lub w zimie rocznik dotrze do rąk czytelników.

– Czy kiedykolwiek próbowano handlować obrazami wiszącymi na ścianach Biblioteki?

– Nigdy nie próbowano ich sprzedawać, bo są to pamiątki narodowe. Mamy tutaj Norblinów, Norwida, Grotgera, Aksentowicza, Chełmońskiego. Lista jest długa. Mamy też dzieła malarzy nie-Polaków, przede wszystkim ze zbiorów Kamila Gronkowskiego. Przed wojną i po wojnie, aż do śmierci, był on konserwatorem muzeum Petit Palais. Swoje wspaniałe zbiory przekazał Bibliotece.

– Co ma zrobić człowiek, który przyjechał z kraju, żeby dostać się do Biblioteki?

– Jest ona otwarta dla każdego, szczególnie dla tych, którzy interesują się polską książką, historią, literaturą, głównie XIX i XX wieku. Mamy nadzieję, że w przyszłości ulepszymy nasze usługi, bo w tej chwili wiążą nam ręce problemy finansowe.

Rozmawiała
Maria de Hernandez Paluch

ANDRZEJ KRZECZUNOWICZ wyjechał z Polski jako dziecko, w czasie ostatniej wojny. Wychowywał się i uczył we Francji i w Wielkiej Brytanii. Po ukończeniu studiów rozpoczął pracę w rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa. Był przez pewien czas zastępcą dyrektora Rozgłośni. Spokojną emeryturę w Anglii przerwała propozycja objęcia stanowiska dyrektora Biblioteki Polskiej w Paryżu. Pełni tę funkcję od 1 grudnia 1989 roku.

Pochodzi z rodziny o rodowodzie ormiańskim. Jego przodkowie przybyli na ziemie polskie w XVII w. Najpierw zostali ziemianami, później stali się zamożnymi mieszczanami lwowskimi. Jego ojciec, w czasie wojny 1920 r. rotmistrz VII Pułku Ułanów, osiadł w Londynie i stał się autorem kilku książek z dziedziny wojskowości.

Recenzje

Marta Waliszewska

Z biblioteczki reemigrantki *

Wacław Iwaniuk. *Powrót.* Wyboru dokonał i wstępem opatrzył Marek Zieliński. Biblioteka "Więzi", Warszawa 1989, s. 188.

Tytuł tej książki i sam fakt jej wydania nabierają wymowy symbolicznej. Swój powrót do krajowych czytelników świętuje oto nestor polskiej poezji emigracyjnej, pisarz, który wskutek swojej nieprzejednanie antykomunistycznej postawy był w tym kraju przez całe dziesięciolecia oficjalnie bojkotowany. Cieszy, że nie jest to powrót pośmiertny, że Iwaniuk – który patronuje całej plejadzie polskich poetów, tworzących w Kanadzie – ma teraz szansę lepszego dotarcia do młodszych poetów i miłośników poezji w kraju.

Gwoli ścisłości trzeba zaznaczyć, że, jak wiele innych zjawisk w naszym pogmatwanym życiu literackim, także i ten powrót miał swoją zapowiedź. W 1987 roku "Gdzieś w Polsce", nakładem Wolnej Spółki Wydawniczej KOMITYWA ukazał się – w wyborze samego autora – pięknie wydany tomik "Kartagina i inne wiersze". Ci zatem, którym naprawdę zależało, mieli już wcześniej okazję cieszyć się tą poezją.

Wacław Iwaniuk – który rok przed wojną wyraziście zaznaczył swą obecność na mapie polskiej poezji poematem "Dzień Apokaliptyczny" – jest poetą o wyobraźni apokaliptycznej. Przez wiele lat po wojnie materiał do swoich apokaliptycznych wizji czerpał z doświadczenia Holocaustu – wiersze z tej grupy znalazły się także w niniejszym wyborze ("Kołek", "Gnębi mnie jeszcze zmora hitleryzmu", "Przewrażliwieni", "Ocalenie", "Epilog"). W wierszach tych dochodzą do głosu "ci, co ocaleli, zdruzgotani wojną" – a obok nich dopominają się o pośmiertne istnienie ci, których "wchłonął piec".

Z tymi doznaniami harmonizowała pierwsza praca, jakiej Iwaniuk podjął się w Kanadzie: praca w rzeźni. Bez niej zapewne nie powstałby turpistyczny wiersz "Zamiast epitafium" ani piękny, zwięzły liryk "Nagie jak kość".

Wyobraźnia Iwaniuka współbrzmi też z innymi tendencjami w literaturze Zachodu, dla których sygnałem wywoławczym jest nazwisko Orwella (pojawia się ono zresztą w ostatniej linijce wiersza "Nemezis idzie pustymi drogami"). W latach osiemdziesiątych apokaliptyczna wyobraźnia Iwaniuka żywo zareagowała na realia stanu wojennego. Powstały wówczas wiersze (nieobecne w omawianym tomie): "Po ogłoszeniu stanu wojennego", "Tak jak ludzie", "Monolog o wolności".

Niektóre wiersze Iwaniuka mówią o sobie – o pisaniu, o roli poety, o wyobraźni. Przesłaniem tomu "Powrót" i przesłaniem całej tej powracającej dziś do krajowego czytelnika poezji, symbolicznym autoportretem Wacława Iwaniuka może być zakończenie wiersza pt. "Wiersz":

> Nie ten co przeżył prometejski los
> I żaden sen nie może go pokrzepić
> Lecz ten co odgadł naturę człowieka
> I życie mierzy miarką rymu.

Mieczysław Jastrun. *Dziennik. Wybór z lat 1955-1960.* Wybór, opracowanie, słowo wstępne: Włodzimierz Bolecki. Wydawnictwo Puls. Londyn 1990, s. 192.

Kiedy po mrocznych latach socrealizmu pisarze zaczęli otwierać szuflady, okazało się, że nie ma tam arcydzieł. Strach był tak obezwładniający, że krępował nawet to, co pisano z myślą o swobodniejszych czasach. Zawiedzeni krytycy pocieszali się myślą, że jeśli nawet nie dostali na razie z dawna wyczekiwanej wielkiej powieści, to chociaż po śmierci najwybitniejszych pisarzy epoki wypłyną ich dzienniki – mniej lub bardziej intymne zapisy ponurego czasu. Ta właśnie nadzieja powoli zaczyna się spełniać. W londyńskim wydawnictwie Puls (jako dziewiętnasty już tom serii literackiej) ukazał się – w opracowaniu warszawskiego krytyka Włodzimierza Boleckiego – Dziennik poety Mieczysława Jastruna z okresu od 7 marca 1955 do 31 grudnia 1960.

Dziennik Jastruna z lat odwilży, października i popaździernikowego skostnienia odbieramy dziś jako świadectwo stopniowego odkrywania prawdy o mijającej stalinowskiej nocy. Możemy obserwować, jak Jastrun coraz dobitniej zdaje sobie sprawę z uderzających podobieństw doświadczenia stalinizmu z poprzednim doświadczeniem totalitarnym – doświadczeniem hitleryzmu. Styka się z ludźmi, którzy wrócili z sowieckich łagrów, którzy byli torturowani w polskich więzieniach – poznaje inną stronę ledwie minionej rzeczywistości, której nie dostrzegał, wyniesiony przez reżim do stojącej blisko władzy elity literackiej. (Uważny czytelnik spostrzeże tę zmianę statusu społecznego w takim choćby szczególe: z Sylwestra 1955/56 Jastrunowie wracają służbowym samochodem, a rok później – "Wracaliśmy ponurą trasą autobusem 107 – do domu przez śnieżną, zaczynającą się dopiero rozświetlać neonami Warszawę".)

Mieczysław Jastrun w latach, które obejmuje opublikowany teraz dziennik, musiał nie tylko zmierzyć się wewnętrznie z docierającą zewsząd wiedzą o prześladowaniach stalinowskich: musiał także rozliczyć się ze sobą. Jego stanowisko najlepiej wyraża zapis z 23 grudnia 1957, cytowany przez Boleckiego we wstępie (dlaczego nie ma go w odpowiednim miejscu książki?): "Zapłaciłem ciężkimi wyrzutami za to zauroczenie, któremu uległem. To, że nie zaprotestowałem publicznie, że nie znalazłem się w więzieniu

---

* Od września 1987 do grudnia 1988 Marta Waliszewska publikowała w każdym numerze berlińskiego "Poglądu" kilka krótkich recenzji, zatytułowanych "Z biblioteczki emigrantki". Ponadto o niektórych książkach pisywała dłuższe artykuły recenzyjne.

Obecnie recenzentka przeniosła się do Warszawy, stąd też – jeden raz – ten tymczasowy tytuł: "Z biblioteczki reemigrantki".

– jest nie do wybaczenia! A jednak – to nie tylko ze strachu, naprawdę wierzyłem w sens przynajmniej ogólnego biegu historii. Dziś rozumiem, że wszystko, wszystko było pomyłką. Jak to się stało?"

Dziś, kiedy pisarze aktywni w latach pięćdziesiątych zaczęli "puszczać farbę" na temat tamtego okresu, dziennik Mieczysława Jastruna, pisany wówczas, na gorąco, nieufryzowany (jeśli pominąć niezbyt dokładnie maskowany egotyzm) staje się ważnym głosem w dyskusji o mechanizmach i zagrożeniach, jakie wiążą się z flirtem pisarzy z władzą. A tak się składa, że nie jest to dyskusja wyłącznie historyczna...

Marek Zaleski. *Mądremu biada? Szkice literackie.* Libella, Paryż 1990, s. 148.

Mówi się, że stan wojenny wyprowadził polską krytykę literacką na Zachód. To prawda. Jeśli przyjrzymy się liście krytyków, którzy zdaniem Jana Błońskiego ("Teksty Drugie" 1990 nr 1) najaktywniej zabrali się w latach osiemdziesiątych do "odzyskiwania, odkłamywania i przewartościowania dorobku półwiecza" (Zimand, Trznadel, Łapiński, Werner, Malewski, Nyczek, Zieliński, Zaleski, Burek, Barańczak, Sławiński), to okaże się, że – z wyjątkiem bodaj Janusza Sławińskiego i Jana Zielińskiego – wszyscy oni wydali w ostatnim czasie znaczące książki w Londynie bądź w Paryżu. Tam też właśnie, w "niebieskiej" serii "Historia i Teraźniejszość", ukazał się na wiosnę tego roku zbiór szkiców Marka Zaleskiego.

Powiedz mi, gdzie publikujesz, a powiem ci, kim jesteś. Szkice, składające się na tom "Mądremu biada?" miały swe pierwodruki w pismach drugiego obiegu ("Arka", "Kultura Niezależna", "Nowy Zapis"), w emigracyjnych "Zeszytach Literackich", w katolickim "Przeglądzie Powszechnym", wreszcie w "Twórczości" i w miesięczniku "Res Publica" (w którym Zaleski prowadzi dział krytyczno-literacki). Są to wszystko pisma ambitne i (może z wyjątkiem podupadającej "Twórczości") – "dobrze notowane". Zaleski pisze też o pisarzach ambitnych i "dobrze notowanych": Grynbergu, Stryjkowskim, Vincenzie, Czapskim, Wacie, Konwickim, Kazimierzu Brandysie, Jarosławie Marku Rymkiewiczu, Kuśniewiczu, Herlingu-Grudzińskim, Łubieńskim i Zagajewskim.

Zestaw nazwisk pisarzy, których twórczości Zaleski poświęcił osobne szkice, mógłby sugerować, że mamy do czynienia z krytykiem środowiskowym. Tak nie jest. Marek Zaleski to krytyk surowy i trzeźwy. Bez pardonu traktuje największe autorytety, pokazując, jak najwybitniejsi nasi prozaicy i eseiści wikłają się sami w polskie kompleksy, od których pragnęliby uciec. Autor omawianej książki jest szczególnie uczulony na wszelkie przejawy nadmiernego estetyzmu i pięknoduchostwa. Literaturze stawia pytania o wartości moralne, jakie za nią stoją. Mniej interesuje go "jak to jest zrobione?", bardziej – "w imię czego?". Refleksja Marka Zaleskiego dotyczy takich zagadnień, jak dziedzictwo kresowe w polskiej literaturze współczesnej, jak moralne aspekty tzw. "tematu żydowskiego", jak miejsce intelektualistów w życiu narodu i związana z tym szczególna odpowiedzialność. Można polecić tę książkę wszystkim, którzy w literaturze szukają nie tylko pięknego słowa i doznań estetycznych, tym, którzy niepokoją się kryzysem współczesnej prozy polskiej i pragną określić społeczne powinności pisarza, którzy, słowem, wykazują podejście obywatelskie.

Marta Waliszewska

Polacy w świecie

LESZEK KOŁAKOWSKI ODPOWIADA

Na łamach FRANKFURTER ALLGEMEINE MAGAZIN (15.06, nr 537), tygodniowego dodatku do dziennika FAZ, w ramach cyklu "Fragebogen" (kwestionariusz wg Marcela Prousta), znany polski filozof Leszek Kołakowski odpowiada na szereg pytań. Frankfurcki tygodnik prezentuje życiorys i obszerny dorobek filozofa. Poniżej publikujemy wybór pytań i odpowiedzi:

– Co jest dla Pana największym nieszczęściem?
– *Własna ignorancja.*
– Gdzie chciałby Pan żyć?
– *Głęboko w lesie, nad jeziorem; na skrzyżowaniu Champs Elysees i Fifth Avenue w Nowym Jorku.*
– Jakie cechy charakteru ceni Pan najbardziej u mężczyzny?
– *Gotowość do podjęcia ryzyka.*
– U kobiety?
– *Bezinteresowność, opiekuńczość.*
– Najukochańsza cnota ludzka?
– *Umiejętność nieokłamywania samego siebie.*
– Najbardziej lubiane zajęcie?
– *Nic nie robić.*
– Kim albo czym mógłby (chciałby) Pan zostać?
– *Cyrkowym klaunem.*
– Jakie reformy podziwia Pan najbardziej?
– *Prawne zagwarantowanie równości.*
– Pański obecny stan psychiczny?
– *Zmęczenie.*
– Pańskie motto?
– *Ama nesciri.*

* * *

■ Zachodnioberliński dziennik TAGESSPIEGEL (27.5.) odnotowuje pojawienie się na rynku niemieckim kolejnej pozycji książkowej uznanego w RFN polskiego pisarza Andrzeja Szczypiorskiego: "Notizen zum Stand der Dinge" (polski tytuł: "Notatki ze stanu rzeczy"), w tłumaczeniu z polskiego Klausa Staemmlera, wydawnictwo Diogenes Verlag, Zurych, s. 262. ■ W Otto-Suhr-Institut, jednym z instytutów zachodnioberlińskiego Freie Universität, doszło w końcu maja br. do pierwszego po wojnie spotkania polskich i niemieckich politologów. Sympozjum zorganizował przyjaciel Polski, pochodzący z Olsztyna prof. Helmut Wagner. ■ Zachodnioniemiecki konserwatywny dziennik FRANKFURTER ALLGEMEINE ZEITUNG (8.06.) omawia polski film w reżyserii Macieja Dejczera pt. "300 mil do nieba". Scenariusz napisany został na podstawie autentycznych wydarzeń z 1985 roku, kiedy to dwójka dzieci uciekła do Danii, chcąc stamtąd dostać się do Stanów Zjednoczonych. ■ TAGESSPIEGEL (6.06.) informuje o ukazaniu się na zachodnioniemieckim rynku wydawniczym "Dzienników" Marii Dąbrowskiej z lat 1914-1965; wybór Tadeusza Drewnowskiego, tłumaczenie Klausa Staemmlera, wydawnictwo Suhrkamp, seria: Biblioteka Polska, s. 386, nazywając Dąbrowską "największą damą polskiej literatury". ■ FAZ (2.06.) informuje o pobycie zespołu Opery Narodowej z Warszawy w Wiesbaden na tamtejszym festiwalu majowym; wystawiano operę Stanisława Moniuszki "Halka". ■

NIECENZUROWANY
NIEZALEŻNY

Pogląd

KRYTYCZNY
POZAPARTYJNY

MIESIĘCZNY MAGAZYN POLITYCZNY

IMPRESSUM

»**Pogląd**« — niezależny, ponadpartyjny, niecenzurowany miesięczny magazyn polityczny — wydawany jest przez wydawnictwo »**Pogląd**«. Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i tłumaczenia wyłącznie za pisemną zgodą wydawcy. Niezamówionych materiałów nie zwracamy, a w przypadku ich publikacji zastrzegamy sobie prawo do skrótów. Materiały podpisane nawet nazwiskiem niekoniecznie oddają stanowisko redakcji. Odpowiedzialność za artykuły podpisane nazwiskiem ponoszą autorzy. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Ceny ogłoszeń ustalamy każdorazowo ze zleceniodawcą.

»**Pogląd**« ukazywał się od stycznia 1982 roku w Berlinie Zachodnim jako niezależne pismo zrzeszenia »Gesellschaft Solidarność« e.V. Od numeru 153 (wrzesień 1989) ukazuje się w Warszawie.

Kolportaż i prenumerata za granicą wyłącznie poprzez »Gesellschaft Solidarność« e.V., Geßlerstr. 10, D-1000 Berlin 62 (West) oraz jego wymienionych niżej przedstawicieli.

Prenumerata krajowa: przez kolportaż, cenę ustalają oficyny wydawniczę.
Prenumerata zagraniczna: cena pojedynczego egz. na Zachodzie DM 5,—.

RFN:
półroczna: ..... DM 35,—
roczna: ..... DM 65,—

Kraje zamorskie (poczta lotnicza):
półroczna: ..... DM 57,—
roczna: ..... DM 105,—

Europa i kraje zamorskie (poczta zwykła):
półroczna: ..... DM 40,—
roczna: ..... DM 75,—

Australia:
półroczna: ..... DM 67,—
roczna: ..... DM 130,—

Wysyłkę podejmujemy po przekazaniu należności na konto — z dopiskiem »prenumerata«:

»Gesellschaft Solidarność«
Sparkasse Berlin West
Konto-Nr. 1220012382
BLZ 10050000

»Gesellschaft Solidarność«
Postgiro Berlin West
Konto-Nr. 586 90-102
BLZ 10010010

Adres redakcji:

»Pogląd«
Kierownik biura: Masza Kmicik-Lejman
ul. Hoża 37 m. 31
00-681 WARSZAWA
tel. 0048/22/218881

»Pogląd« (»Gesellschaft Solidarność« e.V.)
Kierownik biura: Leszek Kaleta
Geßlerstr. 10, Postfach 620224
D-1000 BERLIN 62 (WEST)
tel. 030/7829384, 7829515

Editor: **Edward Klimczak**
Redakcja: **Stanisław Gałęziowski — zagranica**
Adam Kowalski— aktualności
Zbigniew Zbikowski— reportaż
Fotoskład: **Leszek Kaleta**

Korespondenci zagraniczni:
Ewa Darmas, Maria de Hernandez-Paluch — Paryż, **Wiktor Grotowicz** — Monachium, **Aureliusz M. Pędziwol** — Wiedeń, **Maciej Radwan Rybiński** — Bonn, **Cezary Stolarczyk** — Chicago, **Roman Śmigielski** — Kopenhaga, **Andrzej Zwaniecki** — Waszyngton

Przedstawiciele i kolporterzy:
AUSTRALIA — Andrzej Lewandowski, 8 View Street, 6008 Subiaco, tel. 09/3821662; **AUSTRIA** — Księgarnia Polska, Zofia Reinbacher, Burggasse 22, 1070 Wien; **DANIA** — Roman Śmigielski, Worsaaesvej 7, 4th., 1972 Frederiksberg C, tel. 01/31393330; Marek Przykorski, 5050 Roslyn, Apt. 32, H3W2L2 Montreal, P.Q.; **RFN** — Robert i Stanisław Brodnicki, Zum Luftschacht 17, 4600 Dortmund 15, tel. 0231/374673; Anna i Zbigniew Dominik, Freiherr-vom-Stein-Str. 46, 5800 Hagen; Jerzy Jankowski, Oskar-Maria-Graf-Ring 54, 8000 München 83, tel. 089/6371213; Tadeusz Leń, Wiener Str. 307a, 7000 Stuttgart 30, tel. 0711/8567415; Z. J. Pilarski, Im Hirschfeld 19, 5190 Stolberg, tel. 02402/84348; Marek Poliwski, Jülicher Str. 22, 5000 Köln 1, tel. 0221/219480; Christoph Pyrek, Wagenerstr. 27, 7000 Stuttgart 1, tel. 0711/463038; Stanisław Rejman, Buocherstr. 12, 7057 Winnenden, tel. 07195/74356; Waldemar Tymoszuk, Alster Arkaden 10, 2000 Hamburg 36, tel. 040/346047; **SZWECJA** — Tadeusz Karoluk, Box 83, 13525 Tyreso, tel. 08/7421457; **USA** — Tamara Sochacka, 5026 Cadiff, Detroit, MI. 48212, tel. 311/8715317; **WIELKA BRYTANIA** — Solidarity with Solidarity, 7 Quintin Ave., London SW20 8LD, tel. 01/6734456;

Zostań naszym kolporterem!

ISSN 0930-9500 *Index 36892x*